



KURS PISANIA KRYMINAŁÓW

Miasta Literatury UNESCO

ANTOLOGIA
2016



United Nations
Educational, Scientific and
Cultural Organization



KRAKOW
UNESCO CITY
OF LITERATURE

Member of the UNESCO
Creative Cities Network
Since 2013



KURS PISANIA KRYMINAŁÓW

Miasta Literatury UNESCO



United Nations
Educational, Scientific and
Cultural Organization



KRAKOW
UNESCO CITY
OF LITERATURE

Member of the UNESCO
Creative Cities Network
Since 2013

kbf ★

Spis treści

WSTĘP | 4

TEKSTY WYRÓŻNIONE | 7

Bartek Borucki – Astronauci | 8

Paweł Graczak – Przez krew | 16

Joanna Łopusińska – Zderzacze albo zimowa opowieść | 25

Jakub Trzeciak – Demony | 16

POZOSTAŁE TEKSTY | 32

Bartosz Chandoszek – Hotel Venus | 33

Magdalena Drozd – Wspomnienie | 43

Jowita Kania-Stachura – Kula śniegowa | 50

Aleksandra Muciek – Grassyczyk z Wrocławia | 59

Magdalena Niziołek-Kierecka – Pierwszy autor | 68

Grzegorz Reiwer – Pema. Opowiadanie o komisarzu Jakubie Śpiechu | 77

Magdalena Siemieńska – Sploty | 84

Agata Tutecka-Hryciuk – Dobrodziej | 91

Kurs Kreatywnego Pisania Miasta Literatury UNESCO | 112

Jak odnieść literacki sukces?

Podobno John Boyne pisał *Chłopca w pasiastej piżamie* niecałe trzy dni. Stevenson potrzebował na ukończenie *Doktora Jekylla i pana Hyde'a* sześciu dni, a Burgess uwinął się z *Mechaniczną porażką* w trzy tygodnie. Dla odmiany Salinger biedził się z nie-
zbyt opastym *Buszującym w zbożu* dziesięć lat i tak go to wyczerpało, że nie napisał już potem ani jednej powieści. Wiktor Hugo rzeźbił *Nędzników* przez dwanaście lat, zaś Tolkien pracował nad *Władcą Pierścieni* lat szesnaście. Dwóm ostatnim oddajmy jednak sprawiedliwość – ich dzieła mają po kilka tomów, a licznik ze sporą nadwyżką przekroczył tysiąc stron.

Te dane znajdziemy na blogu electricliterature.com. Analizując cały przedstawiony tam diagram, można doszukiwać się zależności pomiędzy czasem pisania a objętością i umownym stopniem wyrafinowania powieści. Ale w ten sposób zabrnijemy w ślepy zaułek. O wiele więcej zależy od charakteru i wewnętrznej dyscypliny pisarza. Skłonność do prokrastynacji może zwieść na manowce i pogrzebać niejednego talent, zaś do ostatecznego sukcesu niejednokrotnie przyczynia się wewnętrzna dyscyplina godna księgowego.

„Czytanie jest dla mnie jak zbilansowana dieta” – pisała w eseju *Sztuczki warsztatowe* Zadie Smith. „Jeśli wychodzą mi zdania zbyt

rozlażłe, zbyt barokowe, odkładam, powiedzmy, tłustego Fostera Wallace’a i biorę obfitego w błonnik Kafkę. Kiedy przestaję widzieć siebie zza własnej przeestetyzowanej dupy, przestaję martwić się, co powie Nabokov, i przerzucam się na Dostojewskiego, świętego patrona przewagi treści nad formą, który upomina nas, że dobra proza to nie tylko piękne zdania”.

Juliet Mushens, brytyjska agentka literacka, która w olbrzymiej mierze przyczyniła się do sukcesu Jessie Burton (autorki *Minia-turzystki i Muzy*), w wywiadzie dla *Lubimy Czytać* znacząco rozszerza tę listę pisarskich powinności: „Po pierwsze, praktyka czyni mistrzem, więc nie przestawaj pisać, nawet jeśli to tylko kilka stron dziennie. Ucz się z tego, co piszesz, to najlepsza droga do poprawy. Po drugie, dużo czytaj. Najlepsi pisarze to mole książkowe. Staraj się zrozumieć, co czyni daną książkę interesującą, a co sprawia, że odkładasz ją szybko z powrotem na półkę. Postaraj się wykorzystać to we własnej pracy. I po trzecie, pracuj nad tekstem! Skończyłeś książkę i wystąłeś ją do agenta lub wydawcy? To nie koniec twojej pracy. Upewnij się, że jest należycie zredagowana, szlifuj tekst i nanosź konieczne poprawki”.

Można odnieść wrażenie, że autor pracujący nad książką musi się napocić jak przygotowujący się do olimpiady długodystansowej. Plany treningowe, odżywki, dieta i przestrzeganie monotonnego reżimu. Przed świtem jest pierwszy na bieżni, po zmierzchu schodzi z niej jako ostatni. O sukcesie decyduje mnóstwo umiejętności, praca całego sztabu ludzi – a także tuł szczęścia. Oczywiście to wszystko nie jest niezbędne – ale z pewnością może ułatwić wspinaczkę na Parnas.

Dlatego właśnie, organizując drugą edycję Kursu Kreatywnego Pisania Miasta Literatury UNESCO (tym razem gatunkiem przewodnim był kryminał), zafundowaliśmy naszym uczestnikom na prawdę wymagający plan treningowy. Dziesięć weekendowych zjazdów w ciągu pięciu miesięcy. Na rozgrzewkę dwie Katarzyny:

Bonda i Puzyńska, a do tego Mariusz Czubaj. Oprócz wykładów z pisarzami – trening z psychologiem twórczości, zajęcia z ekspertem od prawa autorskiego, konsultacje z czworgiem redaktorów z czołowych krakowskich wydawnictw, zaprawy z krytykiem literackim, ekspertem od wystąpień publicznych, specjalistą od marketingu literatury. Wreszcie, jako wisienka na torcie, konfrontacja z policyjnym profilerem. A do tego mnóstwo ćwiczeń i wytężonej pracy w trakcie aż pięciu weekendów pod okiem Filipa Modrzejewskiego, który od lat redaguje książki Zygmunta Miłoszewskiego, a dla grupy naszych kursantów stał się prawdziwym mistrzem pisarskiej techniki.

Na zakończenie przygotowaliśmy ostateczny sprawdzian formy: każdy z uczestników miał za zadanie napisać opowiadanie, w którym wykaże się nabytymi umiejętnościami. Wszystkie te teksty można przeczytać w niniejszej antologii. Cztery, naszym zdaniem, najciekawsze (są to: *Demony* Jakuba Trzeciaka, *Zderzac albo zimowa opowieść* Joanny Łopusińskiej, *Przez krew* Pawła Graczaka i *Astronauci* Bartka Boruckiego) umieściliśmy na samym początku – i szczególnie polecamy je uwadze czytelników, tak jak samych autorów polecamy gorąco uwadze wydawców.

Czy to wszystko wystarczy, żeby osiągnąć literacki sukces? Wierzę, że tak – a utwierdza mnie w tym to, jak dobrze radzi sobie Ahsan Ridha Hassan, jeden z absolwentów pierwszej edycji kursu, który od ukończenia go wydał już dwie książki. Jestem przekonany, że wśród autorów tekstów prezentowanych w tej antologii są pisarze nie mniej zdolni – i mocno im życzę, by stali się kogoś dnia bohaterami takich scen, jak opisywana niżej przez Juliet Mushens:

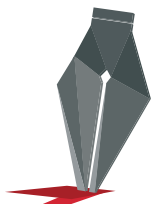
„Powiedziatąbym, że to była prawdziwa trąba powietrzna. Pierwszego dnia zorganizowaliśmy chyba osiem aukcji. Może nawet trochę więcej. Wydawcy pojawiali się jeden za drugim przy naszym stoliku, składali oferty i przekonywali nas do ich przyję-

cia. Miniaturzystka była najważniejszą książką tych targów. To było wydarzenie.”

A Tobie, Drogi Czytelniku, życzę emocjonującej lektury!

Jakub Kulasa

Koordinator edycji kryminalnej Kursu Kreatywnego Pisania



TEKSTY WYRÓŻNIONE

Bartek Borucki

Astronauci

REKOMENDACJA ORGANIZATORÓW KURSU

...autor kameralnej, subtelnej i wyrafinowanej fabuły, z zabawnym psem i ekscentrycznym bohaterem, który pracuje w hucie szkła, żyje muzyką i grą na trąbce; *Astronauci* – epizodyczna historia dramatycznej i niezwyklej przygody muzycznej i artystycznej – powstała z miłości do muzyki i są wręcz jak literacki odpowiednik *Whiplash*! Napięcie, mrok i suspens, a w tle nadchodzący koniec świata, niech ten koncert trwa!

*Gdy rozpoczynam śniadanie, czarny pies
czeka na swoją dolę, od śniadania do obiadu
nie przestaje szczekać.*

Samuel Johnson

W końcu złapał oddech. Śniło mu się, że spada. W takich okolicznościach nietrudno postradać zmysły. Odwrócił się na plecy i błyskawicznie otworzył oczy. Łapczywie wciągnął powietrze. Był bezpieczny. Wsunął pod głowę dłoń i wlepił w sufit nieświeże jeszcze spojrzenie. Zdążył już przywyknąć do żółto-brązowych plam wżerających się powoli w sklepienie. Brud i zacieki zajmowały kolejne terytoria, a on, nie wiedzieć czemu, wciąż kibicował białym. Bywały dni, kiedy godzinami analizował zachodzące na suficie zmiany. W takich momentach żadna siła nie była w stanie wyszarpać go z pościeli. Uważał, że tylko czas utracony nabiera gęstej, namacalnej wręcz formy. To doświadczenie musiało prowadzić gdzieś dalej. Być drogowskazem, a nawet ścieżką do abсолutu. Niestety, nigdy nie dotarł w okolice źródła. Mógł zastanawiać się nad tym do nocy, jednak nie miał już czasu. Zbliżał się najważniejszy dzień jego życia.

Był czwartek szóstego grudnia dwa tysiące dwunastego roku. Jakies trzy kwadranse do południa. Właśnie tego dnia po raz pierwszy nazwał Świętego Mikołaja grubym fagasem. Nie zaprzeczam, miał ku temu słuszne powody. Dzień wcześniej, gdzieś za oceanem, ktoś ważny dla niego pożegnał się z życiem. Biedny Dave Brubeck. Był w drodze do kardiologa, kiedy pękło mu serce. To był jego ostatni wyścig, ale tym razem obstawił niewłaściwego konia. Dokładnie dzisiaj obchodziłby swoje dziewięćdziesiąte drugie urodziny. Miłośnicy jazzu popadli w zbiorową histerię, nie rzadko ocierając się o absurd. Zupetnie jakby matuzalowy wiek nie był dostatecznym powodem wycieczki na drugą stronę. Andrzej cierpiął, ale zdecydował się nie wychylać. Do spraw życia i śmierci

podchodził z namaszczeniem. Zwyczajnie zamknął się w domu i przy dźwiękach pianina uchlał się do nieprzytomności. Stracił kontrolę, aby ostatni raz przybić piątkę z legendarnym Dave'em.

W ogólnym rozrachunku cały ten rok był okresem wielkiego niepokoju. Od początku stycznia media, bez względu na wzajemne animozje i partyjne konotacje, zapowiadały zbliżający się koniec. I to nie byle jaki. Tym razem zmierzch cywilizacji gwarantował urywający się kalendarz Majów. Dwudziestego pierwszego grudnia miał pojawić się ktoś i zgasić nam wszystkim światło. Temat był nośny, więc podchwycili go najgorszej maści uczeni i profesorowie. W ich ślady poszli blogerzy i poważni, zdawać by się mogło, dziennikarze. Zbiorowa świadomość, bezustannie grillowana przez pseudonaukową nowomowę, osiągnęła punkt wrzenia. Nadaktywność słońca, bieguny magnetyczne, wędrujące oceany, śmiercionośne promieniowanie. Gdyby jednak Ziemia przetrwała ten nawał, czekało ją nieuchronne zderzenie z tajemniczą planetą. Tą samą, która przed laty postanowiła nawiać z Układu Słonecznego. Jak by na to nie patrzeć, perspektywa była kiepska. Niby nikt się nie martwił, jednak ludzie masowo gromadzili zapasy wody i peklowanej golonki. Andrzej zdawał się nie stresować nadchodzącą zagładą. Dla niego ten rok był wielkim wydarzeniem. Pytany o kres, powtarzał tylko: „nie wykończyła nas milenijna pluskwa, więc zrobią to Indianie. Karma zawsze wraca” – urywał. Na głowie miał sprawy zupełnie innej rangi.

Usiadł na materacu. Przeczesał dłonią pozostałość po bujnej czuprynie. Na szafce nocnej stała pusta butelka i szklanka niedopitej whisky. W środku pływał kiep. Tuż obok leżała popielniczka najeżona armią niedopalonych papierosów. Na lepkiem blacie było coś jeszcze. Mały, metalowy bączek. Jego prywatny talizman. Andrzej od miesięcy borykał się z problemem bezsenności. Bez rezultatu szukał recepty na spokojny sen. Lekarzy szczerze nie nawidził, a zaprzyjaźnieni szarlatani bezradnie rozkładali ręce.

W końcu odkrył, że wprawiony w rotacyjny ruch przedmiot wprawiał go w błogie otępienie. Wirujący bączek okazał się panaceum. Od tamtej pory zasypiał jak niemowlak. Częściej też padał ofiarą niespokojnych, wielopoziomowych snów. Nie przypominał sobie, czy używał talizmanu poprzedniej nocy. Śmierć Brubecka dotknęła go tak mocno, że poleciał po bandzie. Nie pamiętał nawet, kiedy zerwał mu się film. Spokojnie znosił ból pulsujących skroni. Miał nadzieję, że noc spędził w pojedynkę. Bał się odwrócić za siebie, ale w końcu to zrobił. Na wielkim materacu leżała wyłączone pozwijana pościel. Na wszelki wypadek przejrzał jeszcze zawartość popielniczki. Żadnych śladów szminki. Odetchnął z ulgą. W ostatnim okresie ilość skonsumowanych lub chociaż nadgryzionych relacji zdawała się przekraczać jego możliwości. Bądźmy szczerzy. Andrzej nie mógł się opędzić od kobiet, jednak nigdy wcześniej nie pomyślałby, że rozwiązłość będzie mu kulą u nogi. Aby uprościć sprawy oraz dać sobie czas na regenerację, wprowadził w życie pewien plan. Nic niezwykłego. Samotne wieczory. Minimum trzy razy w tygodniu.

Podniósł się z łóżka i ruszył w kierunku okna. Odchylił firankę. Ujrzał rząd niedużych, dwupiętrowych kamienic. Każda ukrywała dwa, góra trzy mieszkania. Budynki różniły się tylko kolorem lub pokryciem fasady. Sporego fragmentu zabudowy w ogóle nie pokryto tynkiem, przez co krajobraz zdominował widok tysięcy równo ułożonych cegieł. Andrzej mieszkał w identycznym ciągu budynków, zamykającym przestrzeń po przeciwnej stronie chodnika. Pośród szeregowców znajdował się ogrodzony niewysokim płotem trawnik. Poczut niepokój, kiedy zauważył mężczyznę w ciemnym prochowcu. W jego ocenie dobijał do pięćdziesiątki. Postępujące zakola przesunęły jego czoło w stronę potylicy. Szedł szybkim, dynamicznym krokiem. Zupełnie jakby chciał kogoś dopaść. Po przeciwnej stronie trawnika truchtał wąty, może ośmioletni chłoptec. Nie odwracał się za siebie. Ubrany był zwyczajnie.

Szczególną uwagę przykuwały jego ogromne okulary. Ciężkie rogowe oprawki mocno kontrastowały z drobną twarzą dziecka. Po chwili oboje zniknęli za zakrętem. Andrzej machnął ręką. To pewnie nic wielkiego. Zwykła sprzeczka ojca z synem, o jaką nietrudno w czasach podszytych lękiem.

Wróćmy jeszcze do budynku, w którym mieszkał Andrzej. Była to dosyć wąska, jednopiętrowa kamienica. Jedna z tych pomalowanych na biało. Zajmował całe pierwsze piętro. Na parterze znajdowały się dwa mniejsze lokale. Mieszkanie po lewej stronie od schodów należało do pani Lilianny Crane. Miała około sześćdziesięciu lat i spokojnie mogłaby być jego matką. Była uroczą, zadbaną i elegancką kobietą. Zwracała szczególną uwagę na każdy detal swojej garderoby. A przyznać trzeba – ubierała się obłudnie. Włosy spinała w ciasny kok, przebijając go bogato zdobioną szpilą. Perfekcyjnie pomalowana. Nie rozstawiała się z czerwoną szminką. Dla wielu mieszkańców ulicy Kruczej była ikoną stylu. Kochała klasykę, opierając się krótkotrwałym trendom. Chodziła wyprostowana, z wysoko uniesioną głową. Mówiła wolno i wyraźnie, ważąc każde wypowiedziane słowo. Podobno kiedyś miała męża, jednak gdy dowiedziała się, że jej stary mocno zaangażował się w pozamążelński projekt, ekspresowo pognąła sukinsyna. Znów była wolna. Wpierw wróciła do panieńskiego nazwiska, później zapisała się na fitness. Już nigdy nie zaufała żadnemu mężczyźnie. Dlatego wielką zagadką była czułość, jaką darzyła Andrzeja. Człowieka roztargnionego, desperacko poszukującego swojego miejsca na Ziemi. Jakkolwiek by go oceniać, zawsze pozostawał faceitem – reprezentantem zgnilizny i powszechnego zepsucia. Mimo to regularnie gotowała mu obiady, zapraszała na podwieczorki i w spokoju zносиła wielogodzinne hałasy dobiegające z mieszkania na piętrze. Uwielbiała również Winstona – zabawnego psa sąsiada. Opiekowała się czworonogiem, kiedy jego pan przepadał na długie noce i dni. Jakby tego było mało, wyprowadzała Win-

stona również wtedy, kiedy Andrzej odsypiał skutki swoich tajemniczych wypadów.

Odkąd pamiętał, mieszkanie sąsiadujące z lokalem pani Lilianny pozostawało puste. Podobno mieszkał tam jakiś pisarz, ale niespodziewanie powrócił do Tel Awiwu. Ponoć dwa razy w roku pojawiał się na ulicy Kruczej, jednak nigdy nie zostawał tam na dłużej. Andrzej obserwował go kiedyś przez okno. Facet stał przed wejściem do budynku, nerwowo szukając kluczy. Początkowo nie wiedział, że to ten zagadkowy literat. Dopiero pani Lilianna uświadomiła mu, kogo miał na celowniku. Pamiętał dobrze ubranego, niezbyt wysokiego, za to przystojnego mężczyznę. Miał elegancką koszulę i czyste materiałowe spodnie. Jego zadbana, lekko wzburzona fryzura była zaprzeczeniem artystycznych kottunów. W żadnym układzie nie pasował do dziurawego swetra. Przecież nie tak wyglądają pisarze – protestował. Ludzie mówili, że pomieszkiwał również w stolicy. Jakaś fundacja zbudowała mu tam dom. I nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że budynek wciśnięto w wąską szparę pomiędzy blokami. Tego Andrzej zupełnie nie ogarniał. Mieszkanie wąskie jak sklepowy wózek? „To jakiś nonsens” – powtarzał poirytowany. Potwierdzenie znalazł w sieci. Na ekranie pojawiło się zdjęcie mężczyzny, którego jakiś czas temu obserwował zza firanki. Ludzie mieli rację.

Wrócił w okolice szafki nocnej. Chwycił w dwa palce metalowy bączek i wprawił go w ruch. Wirujący talizman zdawał się tańczyć po drewnianym blacie. Zabrał pustą butelkę, szklankę z pływającym kiepem i popielniczkę. Ruszył dalej. Znalazł się w przestronnym pomieszczeniu łączącym funkcję pokoju dziennego i kuchni. Połamany sufit oraz dachowe okna zdradzały, że znajdował się na poddaszu. Przestrzeń zagospodarowana była oszczędnie. Często wyjeżdżał, więc nie miał potrzeby gromadzenia. Na swój sposób gardził przepychem. W rogu pokoju stał szeroki, specjalnie wzmacniany regał, który mimo to ugiął się pod naporem winylo-

wych płyt. Prawie dwa tysiące pozycji. Kilkaset kilo dobrej muzyki. Najcenniejszy skarb Andrzeja. Tuż obok znajdował się adapter i para słusznej wielkości głośników. Na środku pomieszczenia stał drewniany stół i krzesło. Nie potrzebował więcej. Nie zwykł zapraszać gości, z którymi przesiadywałby przy stole. Za to łóżko bez problemu pomieściłoby nawet cztery dorosłe osoby. O krzesło oparty był futerał. Jego kształt sugerował, że skrywa trąbkę. Za plecami Andrzeja stała dębowa komoda. Zabudowa kuchenna znajdowała się na tej samej ścianie co wejściowe drzwi. Do lodówki przypięty był kalendarz. Prezent od Fabryki Instrumentów Dętych i Perkusyjnych. Był potwornie dumny z tych wszystkich trąbek, waltorni i puzonów produkowanych w jego mieście. Całą przestrzeń domykał duży, pełen geometrycznych kształtów obraz.

I kiedy wydawało się, że pomieszczenie nie skrywa już żadnych tajemnic, Andrzej zaniósł się śmiechem. Coś polizało go po łydce. Spuścił wzrok. Przy stopach siedział Winston. Mały buldog angielski. Wierny towarzysz zabaw i jeszcze wierniejszy przyjaciel. Zwierzę o szalonej naturze, ale i dobrych manierach. Czarny pies nie odstępował Andrzeja przez ostatnie miesiące. Ich relacja była zażyta, lecz problematyczna. Częste rozstania kładły się złowrogim cieniem na ich międzygatunkowej komitywie. Odłożył butelkę i wyciągnął dłoń w kierunku czworonoga. Pies zacharczał i zatrząsł się w kłębie. Andrzej pogłaskał go po pysku i podrapał za uchem. Winston na moment znalazł się w psim raju. Biedak nie spodziewał się, że niebawem czeka ich najdłuższa w życiu rozłąka. Nikt nie wiedział, jak pies to wszystko znieśie. Całkiem możliwe, że w zamian za wikt i opierunek w mig zapomni o swym właścicielu. Andrzej widział to jednak w ciemnych barwach. Obawiał się, że narastający ból i tęsknota rozsadać małe zwierzęce serce. Był dozgonnie wdzięczny pani Liliannie za opiekę nad Winstonem. Gdyby nie ona, musiałby oddać psa do adopcji.

Przygotował kawę. To chyba jedyny produkt, jaki można było znaleźć w ascetycznej kuchni. W drodze do stołu na moment zboczył z trasy. Stał przed majestatem i ogarnął wzrokiem płytowy regał. Większość winyli znał na pamięć. I to nie tylko zapisany materiał, ale również przynależne w kolekcji miejsce. Na zewnątrz było chłodno, więc zdecydował się na podróż do słonecznej Andaluzji. Wybór padł na „Sketches of Spain”. Wystawił wskazujący palec, którym następnie sunął po gładkich krawędziach okładek. Wzrok wlepił w ścianę. Nie zamierzał podglądać. W kwestiach muzycznych zawsze był uczciwy. Opuszek palca zatrzymał się mniej więcej w połowie regału. Wydobyt album. Żółto-czerwona okładka oznaczała, że nie wyszedł z wprawy. W dłoni trzymał „hiszpańskie szkice”. Kochał Milesa, bo widział w nim niedościgniony wzór. Wyczuwał ten boski pierwiastek, którego próżno szukać wśród muzyków ostatniej dekady. I szczerze powiedziałszy, w dupie miał fakt, że słuchali go wszyscy. Nawet ci, którzy nie znosili jazzu, słuchali Milesa. Mógł oczywiście wychwalać innych trębaczy, skrzypków czy pianistów, ale w kwestiach muzycznych zawsze był uczciwy. Zawirowało mu w głowie. Świat zakręcił się w tempie czterdziestu trzech obrotów na minutę.

Usiadł przy stole. Delikatnie gładził dłonią oparty o krzesło furał, spoglądając jednocześnie na zawieszone na ścianie płótno. Na ciemnobrązowym tle osadzone były różnej wielkości błękitne trójkąty. Ich układ był zupełnie przypadkowy. Znajdował się poza jakimkolwiek schematem i nie był nośnikiem żadnych ukrytych treści. Jeden z elementów, z uwagi na kolor i kształt, nie pasował do reszty. Było to białe koło, znajdujące się tuż przy dolnej krawędzi obrazu. Lokalny marszand powiedział mu, że obraz był esencją kryzysu tożsamości. Brązowe tło symbolizowało bezkres stepu. Błękitne, zachodzące na siebie trójkąty to rządzące człowiekiem namiętności. Białe koło to z kolei jednostka poszukująca sensu. Szczerze mówiąc, to trochę tego nie rozumiał, ale w zamian za

solidny upust zdecydował się na zakup. Kiedy przyzwyczaił się do wszystkich tych figur, stwierdził, że obraz Jakuba Sokołowskiego był doskonałą inwestycją. Poruszał go do rdzenia, skłaniając nie- rzadko do refleksji. Z zadumy wyrwał go dzwonek telefonu. Ode- brał. „Andrzej, na którą zmianę, na którą...” – połączenie zostało przerwane. „Zmianę? Na jaką kurwa zmianę?” – zapytał sam siebie. Gdyby nie zastrzeżony numer, w mig wyjaśniłby sprawę. Liczył na to, że tajemniczy rozmówca zadzwoni raz jeszcze.

Pociągnął tyk chłodnej już kawy. Nie robiło to jednak żad- nej różnicy. Nie mógł już dłużej ignorować sytuacji, w której się znalazł. Kottowało się w nim, a wewnętrzny skowyt rozrywał mu trzewia. Nazywał się Andrzej Lakan. Był trębaczem. Cholernym samoukiem. Miał trzydzieści cztery lata. Od dziewiętnastu nie roz- stawał się z trąbką. Otrzymał ją od dziadka, tuż po zakończeniu szkoły podstawowej. Ojca nigdy nie poznał. Początkowo muzy- kowanie łączył z nauką w liceum. Po pewnym czasie zrozumiał jednak, że wybitny muzyk nie może być zarazem doskonałym uczniem. Wbrew sugestiom matki porzucił dalszą edukację. Od tamtej pory miał się wyłącznie zająć dorywczych. Malował klat- ki schodowe, sprzątał mieszkania, doglądał składu budowlanego. Cały swój czas wolny poświęcał trąbce. W niedługim okresie roz- padły się wszystkie jego znajomości. Nie miał głowy do spotkań z kolegami i wspólnych wypadów na piwo. Nie garnął się również do podrywania dziewczyn, chociaż strasznie uwierała go ta pozy- cja. Uważał jednak, że na wszystko przychodzi odpowiednia pora. Zdziczał w zastraszającym tempie. Bańka nieporozumienia mię- dzy nim a matką osiągnęła masę krytyczną. Kiedy zmarł dziadek, jedyny entuzjasta jego talentu, spakował walizki i wyprowadził się z domu. Miał ułatwiony start, gdyż w spadku otrzymał całkiem przyzwoite mieszkanie. Życie na własny rachunek okazało się jed- nak kłopotliwe. Głównie z uwagi na nieustanny brak pieniędzy. Na szczęście dosyć szybko znalazł regularne zajęcie. Praca w hucie.

Dział wydmuchiwania szkła. W jego mniemaniu wymarzona posada dla kogoś, kto po godzinach też lubił podmuchać.

Z trudem wspominał lata, kiedy cały wszechświat zdawał się być głuchy na jego talent. Setki godzin w towarzystwie trąbki nie przynosiły żadnych wartych odnotowania rezultatów. W końcu jednak nadszedł dzień, kiedy został zauważony. Okazało się, że wydmuchiwiał najpiękniejsze bańki szkła w całej pieprzonej hucie. Z tej okazji prezes, w obecności zarządu i nieco mniej ważnych dyrektorów, wręczył mu wyróżnienie wraz z reklamówką smakowitych wędlin. Andrzej wszystko, łącznie z dyplomem, rzucił na pożarcie bezpiecznym psom. Desperacko poszukiwał inspiracji. Poza trąbką i płytami nie posiadał wiele. Balansował na ostrzu brzozy o krok od całkowitego załamania. Oswajał się z myślą, że skończy w hucie, a gra na trąbce przeobrazi się wyłącznie w niegroźne hobby. W sam raz na przaśne festyny i partyjne wiece. Kiedy zauważył, że coraz częściej rozmawia ze sobą, przygarnął psa. Czworonoga pokraka okazała się doskonałym towarzyszem. Z należytą powagą wstuchiwała się w wyrzucane pasjami kwestie. I tak zrodziła się przyjaźń z Winstonem.

Doskonale pamiętał też, że przełom nadszedł zimą dwa tysiące dziesiątego roku, kiedy przypadkiem trafił do modnego w środowisku klubu Tutu. Nazwa przybytku przynajmniej z dwóch powodów nie była przypadkowa. Po pierwsze, była hołdem dla samego Davisa, po drugie, adoracją genialnego albumu z wyraźnym, polskim akcentem. Podobno Czarny Książę, zachwycony talentem pewnego skrzypka, wykrzyczał do managera: „Give me this Polish fucking fiddler. He's got the sound”. Z tego też powodu nad wejściem zaiskrzył neon z napisem Tutu, a nie Amandla czy Doo-Bop. Krętymi schodami zszedł na dolną scenę. Właśnie tam, zaraz po koncercie Essential Quintet, którego autentycznie nienawdził, odbyło się dzikie jam session. Zamówił piwo i usadowił się przy stoliku. Pod blatem ukrył trąbkę i niczym rewolwerowiec czekał

na właściwy moment. I choćby ten nastąpił, nie ruszyłby z miejsca. Drżały mu dłonie. Siedział jak zahipnotyzowany, wyłuskując z diabelnej kakofonii zwinne dźwięki perkusji. Sprawcą zamieszania był szczupły, szpakowaty mężczyzna o ustach zaciętych i wąskich. W głębokich i ciemnych oczodołach uwięził demona. A właściwie cały piekielny legion. Musiało być coś na rzeczy, bo grał jak sam szatan. Obserwował go wnikliwie, zanim zdecydował wejść się na scenę. Gitarzysta w mig załapał, że jego rola dobiegła końca. Zostali tylko we dwóch. Gubili się i odnajdywali, tracąc poczucie czasu. Dwóch czartów – Andrzej Lakan i Witek Stein.

Andrzej spojrzał w pusty już kubek. Musiał szybko doprowadzić się do porządku. O trzynastej powinien wyjść z domu. Po drodze do łazienki zatrzymał się przy dębowej komodzie. Leżały na niej poprzewracane ramki. Każda skierowana zdjęciem do blatu. „Przeszłość bywa bolesna” – wycodził przez zęby. Zrzucił nieświeżą koszulkę i stanął przed lustrem. Wyglądał jak późny Marlon Brando i, podobnie jak pułkownik Kurtz, pragnął ukryć się przed światem. Najlepiej w gęstej, nieprzyjemnej dżungli. Chciał również, aby operator filmował go tylko od ramion w górę. Wyłącznie w niedomagającym oświetleniu. Lustro okazało się jednak bezlitosne. Wpatrując się w swoje odbicie, bez trudu zgadywał, gdzie ciało zdeponowało zbędny balast. Pełne policzki, podwójny podbródek, zwąły tłuszczu w okolicach pasa i biust, którego nie powstydziliby się niejedna kobieta. Ostatecznie jednak problem nie tkwił w kilogramach. Andrzej hurtowo gubił włosy. Wmawiał sobie, że to tylko chwilowa niedyspozycja, a postępujące tysienie to tylko efekt długotrwałego stresu. I kiedy poczucie beznadziei sprawnie wypełniało przestrzeń, naszło go olśnienie. Może nie był doskonały, ale łamał serca z gracją Charltona Hestona. Kiedy zbliżał wargi do stalowego ustnika, kobiety traciły dla niego głowę, a mężczyźni, zostawiając na barze ostatnie banknoty, wznosili za niego toasty. Każdy, choć na kilka chwil, chciał założyć spodnie

Andrzeja. W świetnym nastroju wszedł pod prysznic. Odkręcił wodę i zamknął oczy.

Doskonale pamiętał, jak wiele zmieniło się od spotkania w Tutu. Spędzał z Witkiem mnóstwo czasu, poruszając tematy nie tylko związane z muzyką. Od lat nie miał okazji zwyczajnie z kimś porozmawiać. Witek był o dwa lata starszy. W przeciwieństwie do Andrzeja pochodził z bardzo bogatej rodziny. Cechowały go nie-naganne maniere oraz coś na kształt wewnętrznej schludności. Zawsze dobrze ubrany. Wyważony. Mimo to miał w sobie coś nie-spokojnego. Witek dość szybko się otworzył, snując swoją historię. Od dziecka marzył o tym, aby grać na perkusji, jednak ojciec miał wobec niego zupełnie inne plany. Do czasu wszystko układało się po myśli starego. Po ukończeniu prywatnego liceum Witek z wyróżnieniem dostał się na prestiżowe studia. Aeronautyka była niespełnionym marzeniem ojca. I kiedy młody otrzymał pieniądze na czesne, nawet i tyle go widzieli. Był względnie zabezpieczony. Przez okres liceum uciuchał pokaźną sumkę, gdyż nie był w stanie przejechać kieszonkowego, jakim obdarowywali go zatro-skani rodzice. A zaznaczyć należy, że był nastolatkiem nad wyraz rozrzutnym. Wspierała go także babcia, której nie podobało się, w jaki sposób jej jedyny syn traktuje ukochanego wnuka. Niestety, szybko odeszła. Witek był umysłem ścisłym, co wprost przekładało się na jego sposób gry. Piekielnie precyzyjny. Skupiony. O jego timingu i wytrzymałości krążyły legendy. W kwestiach muzycznych doskonale się uzupełniali, mimo to wciąż grali na doczepkę. Zdawali sobie sprawę, że brakuje im mięsa. Szukali magika. Kogoś, kto domknie ten muzyczny trójkąt. Zaczęli rozglądać się za basistą.

Ostrzegano ich, że wchodzenie w układy z Henrykiem Grimesem było nierozsądkiem ocierającym się o brawurę. Witek miał złe przeczucia. I nie chodziło tutaj o warsztat, bo na tym polu Henryk był klasą samą w sobie. Problemem mogła być, nazwijmy to wprost, jego niestabilność emocjonalna. Stanęli przed trudnym

wyborem. Zwerbować obliczalną miernotę czy ryzykować z szalonym geniuszem. Jedno było pewne. Henryk wywijał nie lada numery. Ostatni, chyba najbardziej spektakularny, aż raził swoją prostotą. Pewnego dnia wyszedł z domu, rzucając w progu zwykłe „cześć”. Nie było go przez bite cztery lata. Rodzina poruszyła niebo i ziemię, aby odnaleźć Henryczka, ale ten zniknął jak igła w stogu siana. Plotkowano, że szukał go nawet Interpol. Bezskutecznie. Kiedy ostatecznie rodzina pogodziła się ze stratą, ten kilka miesięcy później stanął w tym samym progu i krzyknął do matki – „Nie widziałas mojego kontrabasu?”. Sukinsyn nie widział nic dziwnego w tym, że zafundował sobie dłuższe wakacje. Kiedy pytano go, co robił, odpowiadał z uporem, że nie pamięta. Jedynym świadectwem tej czteroletniej tułaczki był bardzo osobisty tomik wierszy zatytułowany „Łzy bliskich niewidoczne, kiedy pada deszcz”. Ostatecznie zdecydowali się na Henryka. Inni kandydaci nie byli nawet w połowie tak dobrzy jak on. Zgodził się od razu. Wiedzieli jednak, że z takim samym zapatem może opuścić pokład.

Andrzej nawet pod prysznicem nie rozstawał się z muzyką. Przybierał dziwne pozy i dął w wyimaginowaną trąbkę. W pamięci przywoływał wielogodzinne jam sessions. Pamiętał ten moment, kiedy w umysłach zakietkowała im wspólna idea. Zawiązany sojusz musiał dać efekt. Grali głównie w małych, zadymionych spelunach, od czasu do czasu odwiedzając bardziej nobliwe lokalizacje. Nobliwe w tym sensie, że nikt nie palił w środku, a piwo kosztowało więcej niż sześć złotych. Na ich koncertach pojawiały się ćmy barowe, drobne cwaniaczki, a także zaprasowane w kant japiszony. Wspominano o nich na internetowych forach. Raz dobrze. Raz źle. Ważne, że wspominali. Rozpoznawani byli jako LSG Trio. Był to zlepek liter rozpoczynających ich nazwiska. Po jakimś czasie doszli do wniosku, że muszą zmienić nazwę. Potrzebowali czegoś lotnego, nadającego ich robocie większego znaczenia. Potrzebowali czegoś zapadającego w pamięć. Usiedli przy

barze. Padały różne propozycje – Lunatycy, Rozbitkowie, a nawet Poławiacze peret. Przez długie godziny nie mogli dojść do porozumienia. Błądzili. W końcu Witek przypomniał sobie, jak w sześciu latach zaczytywał się opowiadaniem Lema. W dorosłym wieku pochłoniął też „Astronautów”. Pociągało go nieznanne. Postrząsał godzinami rozmyślać o złożoności kosmosu i o śmiatkach ekspluatających odległe galaktyki. „Wiem – krzyknął podniecony. – Astronaucci! Będziemy nazywać się Astronaucci” – powtarzał. Propozycja niemal wszystkim przypadła do gustu, ale Henryk jak zwykle miał wątpliwość. Ze znanych tylko sobie powodów nie zamierzał odpuszczać. Zastanawiał się. Zawiesił wzrok na kieliszku, sunąc palcem po cienkim jak żyłka rancie. Trwało to kwadrans. Piętnaście długich jak wieczność minut. W końcu podniósł głowę i powiedział: „Często wpatruję się w gwiazdy. Niebo nad Polską bywa piękne, ale bywa też przerażające. Zostanmy Astronautami” – oznajmił, unosząc kieliszek w kierunku gwiazd. Odetchnęli z ulgą i stuknęli się szkłem. Pokochali Henryczka. Nic nie stało już na przeszkodzie, aby zrobić kolejny krok.

Obwieszane kocami mieszkanie trudno było nazywać studiem nagraniowym, ale to wszystko, na co było ich stać. Ostatnie pieniądze wydali na mikrofon, który miał zarejestrować najmniejszy nawet szmer spółdżony tamtej nocy na ulicy Kruczej. Późnym popołudniem odwiedzili panią Liliannę, uprzedzając ją, że zrobią tęgi hałas. Kobieta nie widziała problemu. Obiecała nawet przekazać ostrzeżenie mieszkańcom sąsiednich kamienic. Zapytała jeszcze, czy przenocować Winstona. Obawiała się, że wielogodzinny hałas mógłby źle odbić się na zdrowiu czworonoga. Z perspektywy czasu to trochę dziwne, ale nikt wtedy nie wyraził zgody na przeprowadzkę psa. Zupełnie jakby zwierzę miało być świadkiem przetomowego dla ludzkości kroku. Zapukali również do pisarza, ale zgodnie z przewidywaniami nie było go w domu. O dwudziestej pierwszej weszli na poddasze. Witek skinieniem głowy ogłosił

stan gotowości. Cała dzielnica wstrzymała oddech. Nawet największym malkontentom nie przeszkadzały dobiegające z mieszkania hałasy.

Andrzej przetarł zaparowaną szybę kabiny. Chciał sprawdzić, jak długo może jeszcze oddawać się kąpeli. Miał kilkanaście minut, więc w pośpiechu powrócił do pamiętnej nocy. Chciał ostatni raz odtworzyć kompletną historię Astronautów. Wbrew przewidywaniom Winston wylądował w sypialni. Głośnym szczekaniem dawał wyraz psiej dezaprobachie. Nie podobał mu się cały ten projekt. Planowali nagrać kompletną sesję składającą się z dwóch niepowiązanych ze sobą części. Pierwsza nosiła tytuł „Maktat”, była ukłonem w stronę szamanizmu i religii wudu. Utwór miał przenosić słuchacza na nieznane, pełne metafizyki i tajemniczych obrzędów lądy. A wszystko za sprawą kilkunastu minut dziękich, na pozór niepasujących do siebie dźwięków. Dłuższy odsłuch nadawał jednak wszystkiemu głębokiego znaczenia. Była to czysta magia przemyczona w rozgrzanych do czerwoności instrumentach. Drugi rozdział był spokojniejszy, wręcz liryczny. Nosił tytuł „Zwodzone mosty”. Opowiadał o trudnych relacjach międzyludzkich i nieodwracalnie zerwanych więziach. Od pierwszej sekundy Witold, operując doskonale kontrolowanym rytmem, wprowadzał słuchacza w stan płytkiej hipnozy. Henryk dopełniał zwinny takt swoim niskim i tłustym brzmieniem. Powolnymi szarpnięciami strunrozmywał pole dźwięków. Wspólnie konstruowali atmosferę narastającego niepokoju, a on cierpliwie czekał, eskalując wszechobecne poczucie niedosytu. Kiedy niespodziewanie wkroczył, przestrzeń rozszarpał długi, metaliczny dźwięk. Zupełnie jakby ktoś spłoszył blaszane ptaszysko. Z rozciętego wora rozsypały się emocje. Grał z gracją skrytobójcy, wdrapując się na kolejne piętra ludzkiej wrażliwości. Królowała tęsknota. Tylko za czym? Za prestiżową uczelnią? Za wieczną tułaczką? Czy może za uwięzionym w sypialni Winstonem?

Okolo drugiej w nocy zarejestrowali cały materiał. Nie obyło się bez poprawek, ale mieli już wszystko. Nadeszła chwila prawdy. W szczególności obiecywali sobie obiektywną ocenę. Wiedzieli, że bezpieczniej ptonąć w ogniu własnej, niewidocznej dla świata krytyki. Trwoga pojawiła się szybciej, niż się spodziewali. O ile utrzymane w onirycznym klimacie „Zwodzone mosty” broniły się same, to „Maktat” obnażał liczne niedociągnięcia. I to zarówno od strony warsztatowej, jak interpretacyjnej. W utworze były dziury. Puste, głuche pola rujnowały doszczętnie całą kompozycję. Henryk nie miał szans wypełnić całej przestrzeni dźwiękiem, bo dziwota, z jaką szarpał struny, powodowała, że zwyczajnie się męczył. Witek również niedomagał. Znaleźli się na kursie kolizyjnym z olbrzymią, rozgrzaną do czerwoności asteroidą. Fakt, że niemal cała dzielnica trzymała za nich kciuki, potęgował tylko rozmiar zbliżającej się katastrofy. I kiedy wydawało się, że nie ma już wyjścia, spełnił się sen szaleńca.

Henryk niespodziewanie otworzył drzwi do sypialni. On nam pomoże – powiedział zachrypniętym głosem. Do pokoju wbiegł Winston, skomląc i radośnie trzępiąc korpusem. Na wspomnienie tej chwili Andrzej przykręcił kurek z ciepłą wodą, gdyż mimowolnie zrobiło mu się gorąco. W dalszym ciągu nie miał pojęcia, jak mógł zgodzić się na to wszystko. To wtedy po raz pierwszy dostrzegł w Grimesie stuprocentowego szajbusa. I kiedy chłodna już woda spływała mu po karku, myślami wrócił na skąpane w absurdzie poddasze. Henryk wziął psa na ręce i wszedł w pole mikrofonu. Głosem nieznoszącym sprzeciwu rozkazał włączyć nagrywanie. Skołowany Witek wcisnął duży czerwony przycisk. Henryk zbliżył do ust palec wskazujący, dając towarzyszom do zrozumienia, że mają zamknąć pyski. Po chwili zaczął tarmosić Winstona. Starał się robić to delikatnie, z dużą dozą czułości. Gdyby ubrać go w kilt, wyglądałby jak dudziarz. Przymknął oczy i rozpoczął szaleńcze widowisko. To drapał psa po tyłku, to głąskał za uchem, to

masował miękkie podgardle. Z rozważą ścisnął też mały, owłosiony brzusek. Winston wydawał z siebie całe spektrum dźwięków. Od delikatnego mruczenia, poprzez miarowe sapanie i donośne pochrząkiwanie, na ostrzegawczym warczeniu kończąc. Po kilku minutach obłądnej improwizacji Henryk odłożył skotowanego psa. Winston bez zastanowienia dał dyla do sypialni. Gdyby mógł, zatrzasnąłby za sobą drzwi. Farbowany Szkot otarł oklejone czarną sierścią czoło. Zapowiedział, że psie odgłosy wypełnią przerwy demolujące „Maktat”. Chcieli zaprotestować, ale Grimes był śmiertelnie poważny. Karnie wrócili pod ścianę. Przez resztę nocy nie odzywali się do siebie. O szóstej rano Henryk zakończył chałupniczy mastering. Minutę później wduśił enter. Sesja trafiła do sieci.

Andrzej wyszedł spod prysznicza. Od natłoku wspomnień rozboleła go głowa. Owinął się dużym białym ręcznikiem. Nie chciał dłużej oglądać się w lustrze. Otworzył szafkę i wyciągnął metalowe pudło. Trzymał tam witaminy i resztę ważnych dla zdrowia suplementów. Na kaszel, nadpotliwość i wstydliwą przypadłość nietrzymania moczu. Starał się dbać o siebie, przynajmniej w obszarze uzupełniania niedoborów. Wsypał do ust garść pigułek i popił wodą z kranu. Wysuszył pozostałości po bujnej czuprynie i wysmarował twarz kremem. Sięgnął po spodnie. Pilnował, aby w łazience zawsze znajdowało się ubranie na kolejny dzień. Czuł wielką niepewność. Właściciel klubu Tutu udostępnił im salę. Mogli grać do woli. Brak publiki pozwalał na niezobowiązujący, a przede wszystkim wygodny strój. Naciągnął więc na tyłek bawełniany dres. Przez głowę wsunął czarną koszulkę z dużym nadrukiem „Zoloft”. Na koniec wcisnął się w gruby bawełniany sweter. Dostał go od pani Lilianny, bez żadnej konkretnej okazji. Wklepał w kark wodę kolońską i wrócił do pokoju. Przestrzeń wciąż kontrolował Miles Davis. Narzucił płaszcz i zawołał Winstona. Pełen radości pies podleciał do swojego pana. Najwyraźniej puścił w niepamięć osobliwy incydent, kiedy to Henryk przerobił go na dudy. Andrzej

zapiął psu obrozę, wrócił po futerał i chwycił się za spodnie. Chciał upewnić się, że zabrał wszystkie dokumenty. Z kieszeni wygrzebał dowód osobisty, kartę dostępową oraz pudełko miętowych cukierków. Wyszli, zatraskując za sobą drzwi. Schodząc po schodach, cofnął się myślami kilkanaście miesięcy wstecz.

„Maktat” i „Zwodzone mosty” krążyły po sieci. O ile drugim utworem nikt się nie interesował, to ten pierwszy wywołał prawdziwą burzę. Na Astronautów spłynęła fala krytyki, podsycana skutecznie przez obrońców praw zwierząt. I na nic zdali się tłumaczenia, że Henryk tarmosił psa z należnym szacunkiem, dbając jednocześnie o to, by nie zrobić mu krzywdy. Przecież gdyby Winston czuł dyskomfort, zwyczajnie by go ugryzł – protestowali. Dla aktywistów jednak miętolenie psa na zawsze pozostawało miętoleniem psa. Czyn podwójnie obrzydliwy, gdyż wykonywany w późnych godzinach nocnych. Opinia publiczna jednogłośnie mianowała ich oprawcami braci mniejszych. Ogólnokrajowy Ruch Obrony przed Sektami wydarzenia na ulicy Kruczej powiązał z krwawym okultyzmem. Byli na celowniku. Zaraz po długowłosych wyznawcach złowrogiego kultu. Odpowiedzialność za cały ten bajzel spadła na Henryka. Zapadła decyzja. Postanowili na dobre rozstać się z Grimesem. Umówili się na dwudziestą. Doskonale pamiętał, że chwilę później otrzymał bardzo dziwną wiadomość. Nie zawierała treści, ale nadawca podpiął załącznik. Był to zrzut z ekranu, pochodzący z jakiegoś anglojęzycznego portalu. Bez entuzjazmu powiększył dokument. Okazało się, że pewien amerykański krytyk wychwalał pod niebiosa „Maktat”, nazywając go jedynym i słusznym powrotem korzeni. Recenzja pochodziła z serwisu All About Jazz. Z wrażenia upuścił telefon. Potwierdził to jeszcze w sieci, chociaż roztrzęsione dłonie skutecznie utrudniały to zadanie. To nie był żart. Piorunem udostępnił recenzję na wszystkich profilach Astronautów. Później powiadomił Witka. Było im głupio. Kilka godzin wcześniej chcieli pozbyć się Grimesa.

Na odzew nie trzeba było długo czekać. Jeszcze tego samego dnia najbardziej poczytne serwisy zaczęły wystawiać Astronomom wysokie noty, usuwając w pośpiechu wszystkie nieprzychylnie im opinie. Wyszło na jaw, że świat jazzu od lat czekał na przebudzenie i to właśnie oni okazali się wyczekiwanym katalizatorem zmian. Krytycy zastanawiali się nad granicami sztuki. Analizowali postępujący proces zezwierzęcenia, szumnie odwołując się do pierwotnych instynktów. Powrót do źródeł nie zniknął z ust rozentuzjasmowanych recenzentów. Obrońcy praw zwierząt ostatecznie doszli do wniosku, że Winston nie padł ofiarą przemocy. Ktoś pofatygował się nawet, by wystać Henrykowi przeprosiny. Grimes wzruszył się do żywego, gdyż nikt wcześniej nie proponował mu fajki pokoju. No może raz. Pamiętał, jak zapłakana matka przeproszała go, kiedy po czterech latach tułaczki z powrotem pojawił się w domu. Niemal wszystkie grzechy zostały odpuszczone. Tylko Ogólnokrajowy Ruch Obrony przed Sektami wciąż groził wielomilionowym pozwem, ale nikt nie brał ich na serio. Astronauci podróżowali po kraju, poprzedzając występy muzyków światowego formatu. Jak zwykło się mawiać, każdy pies ma swój dzień – i to ich dostownie i w przenośni dopadło. Coraz częściej widywani byli w towarzystwie pięknych kobiet, w miejscach, gdzie piwo zwykle kosztować więcej niż sześć złotych. Nawet chwiejny Henryk nie miał powodów do narzekań. Wraz z rozgłosem pojawiły się również pieniądze. Może nie kosmiczne, ale pozwalające bez reszty poświęcić się muzyce. Winston nie podróżował z Astronautami, bo nikt nie chciał już dłużej drażnić aktywistów. Swoje sekcje dogrywał w studio, pod czujnym okiem psiego psychologa. Zresztą wstawki buldoga coraz rzadziej pojawiały się w repertuarze trio.

Była połowa dwa tysiące dwunastego roku. Astronauci bezdyskusyjnie potwierdzili swoją wartość. Ich sukces nie był przypadkowy. Winston był drogowskazem, który sprawnie skupił uwagę świata na ich twórczości. Nagrywali dla niezależnych wytwórni.

Na koncie mieli dwa studyjne krążki. Pierwszym był utrzymywany w klimacie zbiorowej improwizacji „Czarny pies”. O dziwo, w żadnym z dziewięciu utworów nie pojawił się Winston. Drugim – bebopowy „Ajer” inspirowany kolejnym tomikiem wierszy Henryka Grimesa o brawurowym tytule „Ostatni król Basków”. Pomimo osiągnięć wciąż grali w drugiej lidze. Nadzieja pojawiła się w okolicach lipca. W kuluarach zaczęto szeptać, że interesuje się nimi jakiś grubas z ECM. Wszystko potwierdziło się we wrześniu, kiedy otrzymali zaproszenie na rozmowę. Okazało się, że wytwórnia z Monachium organizuje trasę dla dobrze rokujących muzyków jazzowych. Astronauci znaleźli się w gronie wyróżnionych artystów. Nie trzeba było ich namawiać, chociaż Henryk zwyczajowo miał wątpliwość. Widział w tym wszystkim przemysł – nie widział ducha. Ostatecznie jednak zaakceptował wszystkie postawione przed nim warunki. Startowali ósmego grudnia w Krakowie. Lądowali w stolicy Bawarii dzień przed zbliżającym się końcem świata. W międzyczasie mieli wystąpić w Sztokholmie, Pradze i Wiedniu. Nikt nie powiedział tego wprost, ale dano im do zrozumienia, że najlepsi podpiszą kontrakt z ECM. Wiedzieli, że ta szansa nigdy się nie powtórzy.

Andrzej zszedł na parter. Zapukał do pani Lili. Kiedy uchyliła drzwi, przekazał jej Winstona. Uśmiechnęli się porozumiewawczo. Nie musieli nic mówić, gdyż oboje doskonale wiedzieli, że zbliżał się przełom. Ostatnia próba. Kolejny raz dmuchnie w ustnik dopiero w krakowskim Harrisie. Odwrócił się, przycisnął do pierśi futerał i wybiegł przed kamienicę. Zrobił zaledwie kilka kroków, kiedy zza pleców usłyszał: „Andrzejku, wróć na moment!”. Zamarł. Rozejrzał się, czy nikt przypadkiem nie był świadkiem tej żenującej sytuacji, ale na szczęście nikogo nie było w pobliżu. „Co za przypa!” – wyszczał pod nosem. Odwrócił się na pięcie i wrócił do budynku. Drzwi do mieszkania były uchylone. Wszedł i z zalem w głosie powiedział: „Mamo, ile razy prositem cię, żebyś nie mó-

wiła do mnie w ten sposób”. Uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę. Podał jej futerał. Uchyliła wieko i spojrzała na syna z dezaprobatą. W skrzyneczce znajdował się termos z wczorajszą herbatą. Wpakowała do środka jabłko i worek kanapek z serem. Dużo masła. Żadnych warzyw. Takie lubił najbardziej. Była przekonana, że bez tego syn umarłby z głodu. Zatrzasnęła futerał i, całując Andrzeja w czoło, powiedziała: „Leć, bo się spóźnisz”.

Zbliżał się do przystanku autobusowego. Z ust przechodniów wydobywała się para. Od kilku dni trzymał siarczysty mróz. Powoli przechodziła mu złość. Kochał matkę, gdyż nieustannie stała po jego stronie. Odkąd pamiętał, zawsze mieszkali w kamienicy przy ulicy Kruczej. Piętro wyżej rezydował dziadek. Ostatni lokal należał do jakiegoś pisarza, ale nie pojawiał się tam za często. Podobno pomieszkiwał w domu wąskim jak sklepowy wózek. Kiedy dziadek odszedł, Andrzej nieformalnie zajął jego mieszkanie. Nieformalnie, gdyż tak naprawdę nigdy nie wyprowadził się od matki. Kiedy znikał na poddaszu, z wypiekami na twarzy wertował setki pozostawionych przez dziadka płyt. I słuchał, upajając się doskonałą w każdym detalu muzyką. W skromnym mieszkaniu ukryty był fragment nowoorleańskiej ulicy. Prywatne i dzikie Preservation Hall.

Już z daleka wyłowił z grupy osób Henryka. Nie było trudno, gdyż wspierał się o potężny, czarny futerał. Andrzej wielokrotnie zastanawiał się, co szmugluje w środku. Grimes mieszkał z rodzicami kilka przecznic dalej i nigdy się tego nie wstydził. Uważał wręcz, że miał moralny obowiązek zaopiekować się matką. Czteroletnia nieobecność syna doszczętnie zrujnowała jej zdrowie. Od tamtej pory znienawidził go ojciec, regularnie grożąc mu śmiercią. W tym świetle bezpieczniej było nie wiedzieć, co kryje wielki futerał Henryka. Tuż obok stał Witek. Palcami wskazującymi wystukiwał o uda piekielnie szybki, wciągający rytm. Jako jedyny mieszkał w innej części miasta. Wynajmował kawalerkę na ulicy Krokodyli. Był to adres szczególnie dla ludzi związanych ze sztuką, chociaż

mówiono, że prędzej znajdziesz tam guza niż dobrego artystę. Poza grą na perkusji miał jeszcze jedną pasję. Lotnictwo. Marsz w chmury zaprzepaścił jednak niekontrolowany pociąg do valium. Zostały marzenia i kartonowe modele.

Astronautów oprócz muzyki łączyło coś jeszcze. Wszyscy pracowali w fabryce instrumentów perkusyjnych i dętych. Była trzynasta trzydzieści i za pół godziny rozpoczynali drugą zmianę. Kiedy Andrzej zbliżył się do nich, uścisnęli sobie dłonie. Sięgnął po papierosa, ale paczka była już pusta. Poprzedniej nocy wszystko poszło z dymem. W palcach nerwowo obracał kartę dostępu. Nadaremnie wspominał tragicznie zmarłego Brubecka. Nikt nie chciał również słuchać o jego przedziwnym śnie. Liczyło się wyłączenie promieniowanie kosmiczne i lęk przed potężnym tsunami. Podjechał autobus. Weszli do środka. Henryk z trudem wygramolił się po schodkach. Podróżowanie z wielkim futeratem bywało uciążliwe. Kottowali się chwilę, po czym każdy zajął swoje miejsce. Autobus leniwie ruszył w kierunku dzielnicy przemysłowej.

Był szósty grudnia dwa tysiące dwunastego roku. Piętnaście dni przed nieuchronnym końcem świata. To właśnie wtedy widziałem Astronautów po raz ostatni. Andrzej Lakan – trąbka. Witold Stein – perkusja. Henryk Grimes – kontrabas.

O AUTORZE

Bartek Borucki (ur. 1982) – finansista z wykształcenia. Zawodowo zaangażowany w tworzenie tekstów o charakterze ekonomicznym. Prywatnie wegetarianin nieradykalny, pochłonięty przez jazz i rock progresywny. Wielbiciel Witolda Gombrowicza i Brunona Schulza. Kolekcjoner krótkich scen z życia, utrwalanych w formie kilkudzaniowych miniatur. Amator rozmów prowadzonych nocą oraz sztuki zmysłowego kontrapunktu, ale ponad wszystko oddany wielbiciel swojej córki Heleny.

Paweł Graczak

Przez krew

REKOMENDACJA ORGANIZATORÓW KURSU

Dynamiczne dialogi, umiejętnie prowadzona akcja, interesujący zamysł – te cechy opowiadania od razu się zauważa. Młody autor świadomie operuje środkami artystycznymi przyswojonymi w trakcie kursu pisania. Z dużą swobodą narracyjną wychodzi poza klasycznie rozumiany kryminał, wtrącając w finale elementy thrillera i grozy. Z pewnością warto go obserwować i poczekać na pierwszą dłuższą formę fabularną.

Łódź płynęła z nurtem Wisły. Nie płynęła spokojnie, nie płynęła majestatycznie, nie płynęła w żaden ze sposobów, jakich oczekivalibyśmy od łodzi. Poruszała się raczej chaotycznie, raz to obijając się o kamienie, raz to kręcąc się i trzeszcząc. Nie miała steru. Nie miała również nikogo, kto mógłby z niego skorzystać.

Aspirant Janusz Cholewiak, człowiek, który, jak mówił, niejedno widział i niejedno przeżył, patrzył ze zgrozą na znalezisko. O tym, co widział i co przeżył podczas służby w rodzinnej wsi, Starym Bógpomożu pod Włocławkiem oraz Bobrownikach, gdzie znajdowała się komenda, już mówić nie chciał. Ale wiedział, co należy zrobić w takiej sytuacji. Zadzwoń do wojewódzkiej. A tamci zareagowali. Zaskakująco szybko przystali swojego człowieka, komisarza Arkadiusza Olszewskiego. Komisarz, pomimo niedawno przebytej, długiej i męczącej podróży z Krakowa, wykazywał ogromne zainteresowanie trupem. Niezdrowe zainteresowanie, w opinii Cholewiaka. Z uśmiechem na ustach i błyskiem w oku postawił stopę na tódce, którą odholowano do najbliższego pomostu zaraz po tym, jak ściągnięto ją z łachy.

– A że tak zapytam, czemu pana do naszej biednej wsi aż z Krakowa przystali? Nie ma może u nas dobrych śledczych? – zapytał nieco rozzłoszczony aspirant. Zaledwie tydzień temu wnuk tłumaczył mu, czym jest patriotyzm lokalny. Janusz Cholewiak, który zawsze uważał się za patriotę, na swój sposób zrozumiał i zaadaptował ogólne założenia tej szlachetnej idei, i zdecydował się przestrzegać ich i krzewić je, kiedy tylko mógł. Postanowił więc walczyć z obcymi wpływami, w tym wypadku reprezentowanymi przez komisarza pochodzącego z innego województwa.

– Może są. Tyle że ta tódka była ukradzioną osiem dni temu pewnemu przedsiębiorcy z Krakowa. A to oznacza, że ta kra-

dzież podchodzi pod nas. Razem z morderstwem. – Nadinspektor przykucnął nad foliowym workiem. Cokolwiek było w środku, układało się w kształt ciała. – A skąd wy w zasadzie wiecie, że to trup? Otwierał to ktoś? – Worek wyglądał na nienaruszony.

– W zasadzie to nie wiemy. Czekaliśmy z otwarciem na pana... – zaczął Cholewiak.

– Chcecie powiedzieć, że nie wiedząc, czy to trup, wezwaliście z innego województwa wsparcie? – Zapytał pozornie spokojnym tonem Olszewski, po czym odwrócił się do aspiranta i ostrożnie zszedł z tódzi na pomost.

– Tu jest nie tylko worek... – odpowiedział młody, na oko dwudziestopięcioletni technik z grupy, którą przyprowadził Cholewiak. Tymczasem aspirant zauważył niepokojącą rzecz: Olszewski nie przestawał się uśmiechać. Co gorsza, uśmiech komisarza odstonił kły. Policjanta przeszył dreszcz.

– A co? – zapytał złowieszczo Olszewski. Technik pewnym krokiem wszedł na tódkę i otworzył mały pojemnik znajdujący się na dziobie tódzi.

– Spójrzy pan?

Komisarz spokojnie zajrzał do skrzynki. W środku była przykryta przezroczystą folią blaszana miseczka. A w miseczce ludzkie serce. Olszewski odwrócił się. Podeszedł w milczeniu do worka z domniemanym ciałem. Z kieszeni wyciągnął szczyryk. Ostrożnie podniósł kawałek materiału, wbił nóż, rozciął tworzywo. W środku rzeczywiście było ciało. Mężczyzna, na oko dwudziestoletni, był nagi. Wzdłuż jego mostka widać było zsyte niewprawną ręką nacięcie. Jednak nie to wzbudziło zachwyt komisarza. Na piersi miał wycięte dziwne znaki. Układały się w krąg. Średnicę koła stanowiło nacięcie.

– Morderstwo rytualne... Albo ktoś chce, żebyśmy tak myśleli. – Powiedział Olszewski po chwili namysłu. – Wszystko jedzie do Krakowa. Denat i serce do patologa, resztę, co znajdziecie, do-

wody, dokumenty, tę skrzynkę zabezpieczyć i wystać do komen-
dy wojewódzkiej w Małopolsce.

– Wszystko? – jęknął Cholewiak. – Sam protokół...

– Wszystko. Chcę to najpóźniej do jutra widzieć w NASZYCH
magazynach.

– Ale... – Tu aspirant otrzymał tak nienawistne spojrzenie, że
słowa zamarty mu w gardle.

– I ta łódź. Razem z cholerstwem, którego nie uda wam się wy-
montować i wystać, ma być odholowana. Do Krakowa.

„Sabbath, bloody sabbath, nothing more to do”... Aplikacje muzyczne były jedynym powodem, dla którego komisarz kupił smartfon. Muzyka powoli cichła. Olszewski z dużą prędkością jechał leśną drogą. Lubił tę piosenkę. Lubił ten zespół. W takie noce musieli pisać niektóre teksty... Księżyc wysoko, rzuca bladą poświatę na małe światło u swych stóp. Patrzy z góry i widzi przez krew. Świadek wszystkiego, co miało pozostać w ukryciu, co było czynione w nocy, w tej porze złej, godzinach mroku, czasie drapieżcy. Krew, jaką rozlał człowiek, rozlał na jego krąg, tłumiąc jego światło, ten okrucieństwo dnia, jaki dostajemy w ciemności, by rozświetlić nasze myśli. Przez krew jednak widzimy w czerwieni, jak w ferworze walki, budzą się żądze i instynkty dzikich bestii... Huk pękającej opony był zarówno niespodziewany, jak i przerażający dla kierującego. Olszewski opanował się jednak – szybko i pewnie obracając kierownicą, by utrzymać kierunek, zaczął hamować. Z trudem zatrzymał się na poboczu, uważając, by nie wpaść do rowu. Wysiadł. Wyciągnął z bagażnika samochodu torbę sportową, w której zwykł trzymać sprzęt używany podczas pracy. Wydobył latarkę Maglite, straszliwe urządzenie, które dostał od podwładnych z okazji jednego z awansów. Długi na trzydzieści centymetrów przeno-

śny reflektor rzucał długi snop światła, z dwieście metrów, jak sądził. Poza tym obudowa latarki była bardzo wytrzymała – pewnie można by było jej używać jako pałki. Zaświecił i obszedł mercedesa, szukając przebitej opony. Nie znalazł. Wszystkie były w całości. Pewnie kamień uderzył w karoserię, pomyślał. Już miał wsiadać do samochodu, ale wtem za krzakami błysnął mu czerwony blask. W zagajniku nieopodal ktoś palił ogień. Komisarz uznał, że nie zaszkodzi sprawdzić, kto o dziesiątej wieczorem, w chłodną, jesienią noc pali ogień w lesie. Przeskoczył płotek oddzielający drogę od drzew i szybkim krokiem ruszył w kierunku ogniska. Przedzierając się przez krzaki, ujrzał trzy sylwetki: dwie kobiety, jedną należącą do dziecka. Dobrą chwilę tak się przedzierał. Sylwetki nie poruszały się, jakby ludzie, do których należały, nie słyszeli hałasu, jaki wywoływał. Wreszcie stanął w świetle. Jedna z kobiet miała twarz przeoraną zmarszczkami, siwe włosy i długie, krzywe palce, zakończone zaniedbanymi paznokciami. Druga wyglądała na trzydzieści lat, jej długie włosy związane były w warkocz. Miała na rękach niemowlę. Karmiła je piersią. Trzecią uczestniczką niecodziennego spotkania była na oko dziesięcioletnia, czarnowłosa dziewczynka. Nad ogniem bulgotał garnek. Trzy kobiety stały w milczeniu, patrząc w gotującą się ciecz. Krew. Przez krew. Przez krew widać.

Telefon zadzwonił. I uratował życie komisarza. Olszewski obudził się i z przerażeniem zobaczył, że zasnął za kierownicą. Nie wiedział, jak to możliwe, ale dalej jechał. Chyba. Trzymał sztywno kierownicę i jechał prosto. Nie miał pojęcia, jak mu się to udało przez sen. Dzwonił patolog. Przywieźli śmigłowcem zwłoki do prosektorium. Tylko w ten sposób można było je transportować, nie naruszając ich w sposób uniemożliwiający badanie. Komisarz podziękował za informację, równocześnie sugerując, by lekarz pośpieszył się z sekcją – Olszewski liczył bowiem na szybkie rozwiązanie sprawy. Jego obecnym celem było uzyskanie awansu

do stopnia nadkomisarza. Myśląc o sekcji, zauważył coś niezwykłego – sen nie zniknął z pamięci. Nie zdarzało mu się zapamiętywać snów. Ale ten dalej tam był – włącznie ze szczegółami, takimi jak kolce jeżyn wbite w nogę podczas przedzierania się przez chaszcze. Uczucie bólu było bardzo wyraźnie, ani trochę się nie zatęchło. Jakby nadal miał rany po uktuciach. Ostrożnie, uważając na drogę, nachylił się i podciągnął nogawkę spodni. Skóra była nienaruszona. Kim były postaci otaczające ognisko? Trzy. Córka, matka i... ta trzecia.

– Trzy, kurwa, więdźmy... – mruknął zniesmaczony. Godzinę później był już w Krakowie.

Już następnego ranka Olszewski w swoim gabinecie czytał raport z sekcji zwłok. Gabinet nie był specjalnie duży, jednak wystarczał komisarzowi. Jego największą zaletą było duże okno, przez które wpadało światło słoneczne, naturalnie oświetlając cały pokój. Wszystkie ściany zastawione były szafami i półkami. Przy oknie stał niewielki kredens, w którym Olszewski trzymał kawę, herbatę i niemal wszystko, co nadawało się do dodania do tych napojów. Na szafce stał czajnik oraz ciśnieniowy ekspres do kawy. Centrum pokoju było zdominowane przez duże, dębowe biurko wyposażone w znaczną ilość szuflad. Drzwi zostały ustawione tak, by osoba siedząca za biurkiem od razu widziała, kto wchodzi. Cały blat był zavalony papierami, głównie zdjęciami z łodzi, na której znaleziono ofiarę. Komisarz siedział za biurkiem. Co chwilę mrugał z niedowierzaniem. Jak można było zrobić coś tak... z ofiary spuszczone krew, prawdopodobnie kiedy jeszcze żyła... niewiarygodnie brudnego i hałaśliwego, nie wzbudzając niczych podejrzeń. Ofiarą był Jerzy Zajdler, dwudziestoletni student inżynierii materiałowej na AGH. Jego zaginięcie zostało zgłoszone trzy dni

przed znalezieniem ciała. Zgłaszającą była jego siostra. Niedługo później przyszło jej identyfikować ciało. Na kartce leżącej zaraz obok raportu znajdowała się lista osób wartych przestuchania. Stworzono ją na podstawie kilku wyznaczników, w tym sąsiedztwa w akademiku, częstotliwości konwersacji SMS i rozmów na komunikatorach internetowych, aktywności kont na portalach społecznościowych i relacji rodziny. Owa rodzina ofiary składała się raptem z jednej osoby – siedemnastoletniej siostry. Pochodzili z Podkarpacia. Razem z bratem żyli przez dwanaście lat w patologicznej rodzinie, aż pewnego dnia ojciec, w napadzie pijackiego szału, zabił na oczach dzieci matkę, rozbijając jej głowę krzyżem. Następnie wsiadł do samochodu i odjechał, zostawiając Jerzego i matkę Annę. Rozbił się dwa kilometry dalej, uderzając z prędkością 110 kilometrów na godzinę w drzewo. Zginął na miejscu.

Pukanie. Spokojne trzy uderzenia. Aspirant Wiśniewski.

- Proszę – policjant wszedł do pomieszczenia.
 - Przywieźli dowody z łodzi. Technicy już je badają...
 - A co z łodzią? Doholowali już? – pytał zniecierpliwiony Olszewski
 - Jeszcze nie, ale już się szykują do wyptynięcia...
 - To niech tego nie biorą do miasta. Mają to zostawić... jakieś pół godziny przed centrum. Tam wyciągnąć na brzeg i zabezpieczyć, ale tak, żeby tego nikt nie ukradł.
 - Może przy służbie w Przewozie...
 - Gdzie to jest?
 - Pięć minut autem od Szczurowa.
 - To niech będzie. I żeby tego czasem nie znaleźli dziennikarze.
- Prasa w ogóle wie o naszym znalezisku?
- Na razie nie. Rzecznik szykuje oświadczenie...
 - To niech szykuje, ale na razie nic nie ogłaszać. Poza tym znajdźcie mi jakiegoś religioznawcę i lingwistę.

– Można zapytać, w jakim celu? – zapytał aspirant. Olszewski był przyzwyczajony, że jego podwładni nie zawsze widzieli sens w jego działaniach. Niekiedy musiał im coś tłumaczyć, niekiedy rezygnował z jakichkolwiek wyjaśnień, będąc zwyczajnie zmęczonym ciągłymi tłumaczeniami. Tym razem jednak sprawa była dość oczywista. Komisarz ograniczył się jedynie do wygrzebania spod stosu dokumentów zdjęcia klatki piersiowej ofiary. Podsunął je do obejrzenia Wiśniewskiemu.

– A ty powiesz mi, co to jest? – aspirant pokręcił głową. – To teraz idź i załatw tego lingwistę. I o łodzi nie zapomnij.

Wiśniewski wyszedł. Olszewski podszedł do stojącego na szafce przy oknie czajnika. Nastawił wodę. Wyrzął przez okno. Na podwórzu właśnie przyjechał radiowóz – przywieźli siostrę ofiary z domu dziecka, w którym była tymczasowo zakwaterowana. Zaraz pójdzie z nią porozmawiać, najpierw jednak skończy czytać raport z sekcji. Im szybciej, tym lepiej. Podszedł do biurka, podniósł teczkę i wrócił do lektury, czekając na zagotowanie wody. Nagle na jego twarzy zagościł uśmiech. Ofierze wycięto serce. Serce znalezione przy ofercie należało bez wątpienia do człowieka. Nie należało do ofiary. Będzie drugi trup. Nieźle. To wiele zmienia. Jeżeli uda się znaleźć drugie ciało, wykrycie sprawców będzie łatwiejsze. Jeśli nie – pojawi się dość poważny problem – denat znajdzie się dopiero w wypadku wykrycia sprawcy. Może to zająć niewiele, ale jest też możliwość, że śledztwo się przeciągnie, może też zostać umorzone. Co gorsza, jeśli ktoś był w stanie spuścić krew z człowieka i wyciąć mu serce w okolicach dużego miasta, nie będąc przy tym wykrytym, pojawia się niebezpieczeństwo, że drugiego ciała nie znajdą nigdy.

Telefon zadzwonił, wyrывая go z zamyślenia. Wiśniewski. Znalazł jakiegoś wykładowcę, który zgodził się zbadać znaki do wieczora. Olszewski poprosił o adres e-mailowy. Następnie szybko zeskanował i wysłał zdjęcie denata. Wtedy zorientował

się, że woda już dawno przestała się gotować. Włączył czajnik elektryczny raz jeszcze, tym razem zaczekał, aż się zagotuje i gorącą wodę wlał do przygotowanego wcześniej kubka. Po chwili namysłu przygotował drugi kubek. Podszedł do telefonu stacjonarnego, wybrał numer na recepcję i kazał przyprowadzić Annę. Szybko zebrał wszystkie papiery z biurka. Bardzo uważał, by dziewczyna nie zauważyła zdjęć – do tej pory widziała jedynie twarz zmarłego brata. Psycholog twierdził, że widok całego ciała zmarłego mógłby ją doprowadzić do hysterii.

Rozległo się pukanie. Szybkie, energiczne pięć uderzeń. Andrzejczuk. Dwudziestokilkuletni funkcjonariusz, bardzo szybko pięł się po szczeblach kariery aż do stopnia aspiranta. Kiedy dostał upragniony awans, uznał, że na razie tyle mu wystarczy,

i konsekwentnie odmawia wszelkich propozycji promocji, jakie oferowali mu przełożeni. Był on prawdopodobnie jedyną osobą, której obawiał się Olszewski. Nie działał według logicznych schematów, nie było sensu w spowolnieniu jego kariery. Dla komisarza było to po prostu niezrozumiałe. Poza tym ten człowiek budził inny rodzaj niepokoju u Olszewskiego – nie był w stanie opisać tego uczucia. Czuł, że ten człowiek jest niewłaściwy. Nie wiedział, dlaczego. Nie wiedział nawet, co to oznacza...

– Proszę wejść!

Do gabinetu weszła Anna Zajdler. Średniego wzrostu, miała czarne, długie włosy i brązowe oczy. Uwagę Olszewskiego zwrócił przerażający fakt – dziewczyna w tym wieku siwiata. Był niemal pewny, że to nie farba. Andrzejczuk gestem skłonił komisarza do wyjścia na korytarz. Poprosił więc Annę, by ta poczekała na niego w gabinecie, a sam wyszedł. Aspirant dał mu niezbyt grubą teczkę.

– Tu są informacje, które ustalił wczoraj psycholog. Ona jest w szoku – ta informacja nie zaskoczyła Olszewskiego.

– A jak z możliwością przestuchania? Nadaje się do tego? – zapytał komisarz.

– Raczej nie.

– Spróbuję się czegoś dowiedzieć.

– Psycholog mówił, że trochę mu powiedziała, trochę o rodzinie, trochę o jej bracie – należeli do jakiejś grupy religijnej, ale nie chciała powiedzieć jakiej, ani co tam robili. Tylko, że jej brat szukał tam ukojenia, po tej tragedii...

– Rozumiem – powiedział.

Ale w rzeczywistości nie rozumiał. Obce mu były ludzkie uczucia, takie jak smutek, żałość czy tęsknota za bliskimi. Czuł natomiast potrzebę realizacji ustanowionego przez siebie celu – uzyskania jak najwyższych stopni w policji. Uznał, że ten zawód daje największe możliwości budzenia strachu u innych bez narażania się na konsekwencje prawne. Budowanie i wzmacnianie swojej pozycji było po prostu zapewnieniem sobie bezpieczeństwa – ludzie, którzy się boją, nie zaatakują. Był to również powód, dla którego cieszył go morderstwa – były to przecież okazje, by uzyskać rozgłos i szacunek zwierzchników. Im brutalniejsze, bardziej niezrozumiałe i trudniejsze do rozwiązania – tym lepiej. Tym większa radość na jego twarzy i tym większy strach u ludzi, którzy ją zauważyli. O tej „przypadłości” komisarza wiedziała jedynie biegała psycholog oceniająca zdolność do pełnienia służby. Absolutnym przypadkiem kilka dni po rozmowie kwalifikacyjnej potrącił ją samochód. Sprawcy nie ustalono, a młody wówczas Olszewski włamał się do jej mieszkania i zmienił treść raportu. „Włamał” to za dużo powiedziane – po prostu zabrał z depozytu (gdzie akurat miał praktyki jako stróż) jej klucze. Na szczęście nikt z jego obecnych współpracowników o tym nie wiedział.

– Spróbuję z nią porozmawiać. Może mi coś powie. – Komisarz odwrócił się, otworzył drzwi do gabinetu i wszedł. Zamknął za sobą. Dziewczyna siedziała przy biurku po stronie przeznaczonej

dla gości. I zamart – pokrywa skanera była podniesiona. Zdjęcia nie było. Powoli podszedł do biurka. Przed Anną leżało zdjęcie. Siostra ofiary ukrywała głowę w ściśniętych razem rękach. Bordowe łaty na łokciach koszulki łączyły się w trójkąt... Nie, to nie łaty. To przez krew, którą przesiąkała. Podszedł i delikatnym, acz stanowczym ruchem odciągnął jej ręce od głowy. Wewnętrzne strony rękawów były całe we krwi. Pomiedzy zaciśniętymi rękami Anna trzymała... No kurwa mać. Stalowe ostrze szczyryka Olszewskiego lśniło, zabarwione przez krew. Przecież to było w szufladzie zamkniętej na klucz. Jak ona to wyciągnęła. Klucz miał na szyi, czuł metalowy kształt na piersi. Spokojnie odebrał jej ostrze. Trzeba będzie to zabrać do materiałów dowodowych. Szkoda noża. Nie stawiała oporu, była bezwładna, jakby wpadła w śpiączkę. Jedynie otwarte oczy zdradzały, że jest świadoma. Powoli odciągnął rękawy Anny; całe ręce miała pokryte wyciętymi wzdłuż linii żył symbolami podobnymi do tych, które pokrywały pierś Jerzego. Znaki były niemalże identyczne. Z jedną różnicą – cięcia na rękach dziewczyny były świeże.

– Aspirancie! – zawołał komisarz. Andrzejczuk wpadł do gabinetu gwałtownie.

– Idę po pomoc... – zaczął.

– Czekaj – rozkazał Olszewski. – Ty mu to zrobiasz? – Pokręciła głową.

– Ty mu wyciętasz te znaki? Nie pytam, czy go zabił. Pytam, czy ty to napisałaś?

– Tak. – Dziewczyna po raz pierwszy się odezwiała.

– Pilnuj jej. Idę wezwać pogotowie. I przyślę ci kogoś do pomocy.

Psycholog stwierdził, że złoży skargę. Olszewski stwierdził, że złoży do prokuratury wnioski o umieszczenie Anny Zajdler w pogotowiu opiekuńczym zamiast w domu dziecka, przynajmniej na czas śledztwa.

Sfatszowany protokół użycia materiału dowodowego, wypełniony 18 listopada 2021, za pięć lat, już jutro trafi do księgowego. I nóż będzie można odebrać.

Zadzwoił wykładowca znaleziony przez Wiśniewskiego. To nie były symbole należące do żadnej znanej religii bądź sekty. Wykazały one pewne podobieństwo do pisma pierwszych Słowian, jednak zgodność to była na tyle niska, że mógł to być przypadek – pismo było prawdopodobnie jedynie dziełem grafika, bądź innej osoby uzdolnionej artystycznie. Pewnie autorem była Anna – w liceum była znana z talentu do rysunków, chciała studiować na Akademii Sztuk Pięknych. To, co zrobiła, cokolwiek było, złamie jej życie. Chociaż, kto wie... Podobno zawsze można się podnieść. Nie. To nieprawda. To nie życie... Odetchnął.

Teraz. Nadszedł czas na prowokację.

Łódź płonęła. Słup ognia miał dobre dwa i pół metra wysokości. Olszewski pomyślał, że jak manewr się uda, to dopisze wykonanie tego ładunku pirotechnikowi do akt jako pochwałę za wzorowo wykonane zadanie. Jeśli manewr się nie uda, lepiej, żeby nikt nie wiedział, że pirotechnik brał w tym udział. Przydali się wreszcie na coś graffitiarze. Olszewski był zwolennikiem kar w postaci prac społecznych. Można to było czasem wygodnie wykorzystać. Przygotowana łódka była niemal identyczna. Policyjna patrolówka odholowała ją na środek Wisły w nocy. Wtedy też ją zakotwiczyła. Ładunek zapalający został odpalony zdalnie. Z wyciem do łódki podpłynęła jednostka straży pożarnej. Strażacy nie byli o niczym

poinformowani. Jeżeli morderstwo Jerzego Zajdlera było rzeczywiście efektem działań sekty, a wszystko na to wskazywało, mogli mieć ludzi wszędzie. Taki jest problem z nowo odkrytymi organizacjami przestępczymi – nie wiadomo, kto do nich należy. A jeśli informacje o tym, co planował komisarz, wydałyby się, cały plan spaliłby na panewce. Oczywiście była możliwość, że mordercy wiedzą już o sytuacji od pracowników opieki społecznej. Olszewski miał jednak nadzieję, że jeszcze nie doszło do rozpowszechnienia tej informacji. Oczywiście wiele pomniejszych kwestii pozostawało jeszcze niewyjaśnionych – dlaczego Anna zgłosiła zaginięcie? By się oczyścić z ewentualnych zarzutów? A może po prostu potrzebowała opieki...

Płonąca łódź była pomalowana dokładnie tak samo jak ta na łasze w Starym Bógpomożu. Miała podobne rozmiary i kształt. A za chwilę, jak tylko ją odholują na plażę obok hotelu Forum, obstawioną przez funkcjonariuszy, rzecznik prasowy ogłosi napisane nie tak dawno oświadczenie. Wprowadzono w nim jedynie niewielkie zmiany, na przykład zmienione miejsce znalezienia łódki. Strażacy kończyli swoją pracę – ogień już prawie całkiem zniknął. Tymczasem po obu stronach Wisły zebrały się spore grupki gapiów. Gdzieś w oddali mignął wóz transmisyjny TVP Info. Jeden z gaszących przeskoczył ze statku strażackiego na dogasającą łódkę. Zaczepił linę o metalowy krążek znajdujący się na dziobie, następnie rzucił drugi koniec czekającemu na to strażakowi. Akcja wyglądała bardzo profesjonalnie. Po godzinie obiekt obserwowany z takim zainteresowaniem przez rzeszę ludzi stał na plaży, zabezpieczony przed wzrokiem ludzkim za pomocą sporego, brezentowego namiotu. Technicy rozstawiający konstrukcję i „badający” łódź nie byli poinformowani o prowokacji – Olszewski nie wierzył w ich zdolności aktorskie. Liczył na to, że morderca lub choć ktoś powiązany z zabójstwem przyjdzie obejrzeć łódź pod osłoną nocy, kiedy nie będzie pilnowana. Nie pomylił się.

Komisarz siedział schowany w granatowym passacie zaparkowanym nieopodal namiotu na plaży. Na samochód została narzucona stara, dziurawa płachta. Dzięki niej nikt postronny nie mógł zobaczyć siedzącego w niej komisarza przez okna, a ten bez problemu mógł obserwować namiot. Około godziny trzeciej nad ranem zobaczył wysokiego człowieka w ciemnym płaszczu. Niewiele więcej mógł o nim powiedzieć ze względu na otaczające go ciemności. Przybysz wszedł do namiotu. Trzeba działać. Wyciągnął ze schowka służbowego glocka. Włożył magazynek, a następnie nabił pistolet. Wtedy gwałtownie otworzył drzwi, wyskoczył z samochodu, stanął przed jedynym wejściem do namiotu. I krzyknął.

– Stać! Policja! Nie ruszać się! – Z namiotu wyszedł powoli człowiek w płaszczu. Nie był młody, jego ciemne włosy przyprószył popiół siwizny. Zachowywał się zaskakująco spokojnie jak na swoją sytuację.

– Pan sobie po prostu nie zdaje sprawy, kogo ruszył, prawda? – Zapytał obcy, bardziej siebie niż Olszewskiego. Wtedy ze straszliwą szybkością uniósł ręce do ust, wsadził sobie małe palce pod policzki i przygryzł je zębami, po brodzie pociekła mu czerwona ciecz. I zagwizdał straszliwie. Zagwizdał w sposób, jakiego rozsądny człowiek nie oczekiwałby od innego przedstawiciela swego gatunku. Zagwizdał głośno i piskliwie, Olszewski dałby głowę, że takim gwizdem można złamać drzewo, jak to robili regenci cerkiewni w starych rosyjskich historiach. Zagwizdał przez krew. Otworzyły się drzwi stojącej nieopodal furgonetki. Z pojazdu wypadła grupa ludzi uzbrojonych w patki teleskopowe i noże. Komisarz odwrócił się do biegnącej w jego kierunku bandy i wycelował. Wtedy poczuł straszliwy ból w ramieniu. Gwizdzący jeszcze przed chwilą mężczyzna wbił mu w prawe ramię znacznych rozmiarów nóż myśliwski. Olszewski próbował walczyć, ale ból w ramieniu mu to uniemożliwił. Już po chwili leżał na plaży przynięciony do

ziemi przez czterech napastników. Pozostali odwinęli mu nogawki oraz rękawy i zaczęli podcinać żyły. Chciał krzyczeć, ale krew wzbierająca w gardle skutecznie mu to uniemożliwiła. To przez to ginie. Przez krew. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył, był siwy człowiek rozdierający mu koszulę i przygotowujący się do zrobienia skalpelem nacięcia wzdłuż mostka...

Łódź płynęła z nurtem Wisły. Nie płynęła spokojnie, nie płynęła majestatycznie, nie płynęła w żaden ze sposobów, jakich oczekivalibyśmy od łodzi. Poruszała się raczej chaotycznie, raz to obijając się o kamienie, raz to kręcąc się i trzeszcząc. Nie miała steru. Nie miała również nikogo, kto mógłby z niego skorzystać.

Aspirant Janusz Cholewiak, człowiek, który, jak mówił, niejedno widział i niejedno przeżył, patrzył ze zgrozą na znalezisko. O tym, co widział i co przeżył podczas służby w swojej rodzinnej wsi, Starym Bógpomożu pod Włocławkiem oraz Bobrownikach, gdzie znajdowała się komenda, już mówić nie chciał. Ale tym razem zdecydował się uchylić rąbka tajemnicy posterunkowemu.

– Widziałem już takie gówno – kiedy w pobliżu nie było dostojników z Krakowa, nie miał żadnych powodów, by się powstrzymywać. – To jest, kurwa, to samo, co wtedy. Nawet Łódź podobna. Pomalowana, kurwa, identycznie.

– Kiedy, panie aspirancie, pan widział coś takiego?! – posterunkowy zaczął służbę dopiero dzień wcześniej, a tu coś takiego na wstępie...

– To było... – zaczął młody technik, który ostatnio pokazywał Olszewskiemu serce.

– A gówno cię obchodzi, kiedy! – zaryczał Cholewiak.

Epilog

Patolog... z ofiary spuszcza krew, prawdopodobnie kiedy jeszcze żyła... powoli... ofierze chirurgicznie usunięto serce... kończy... znaleziony przy ofierze organ... raport... nie należał do ofiary... dla... badania porównawcze... nowo... przyniosły ciekawe... mianowanego... informacje... komisarza Andrzejczuka. Serce znalezione przy ofierze wykazuje zgodność genetyczną z materiałem pobranym od zmarłego Jerzego Zajdlera. Natomiast organ znaleziony przy Zajdlerze, choć przeczy to wszelkiej logice, jest niewątpliwie sercem komisarza Olszewskiego. Beznadziejnie melancholijną, melancholijnie beznadziejną. I choruję do dzisiaj.

O AUTORZE

Paweł Graczak (ur. 2000) – nie ukończył studiów, nie posiada żony, gromadki dzieci czy stopnia naukowego. Nie ma stałych dochodów, nie pisze zawodowo. Nie zdobywa nagród literackich. Nie pracuje, ale nie jest też bezrobotny. Nie zajmuje się gotowaniem, informatyką, demonologią, malarstwem ani nawet geodezją. Według niektórych nie istnieje, co jednak nie przeszkadza mu w chodzeniu do liceum.

Joanna Łopusińska

Zderzaczn albo zimowa opowieść

REKOMENDACJA ORGANIZATORÓW KURSU

Opowiadanie *Zderzaczn albo zimowa opowieść* jest niezwykle staranne językowo – autorka niespiesznie i w przemyślany sposób odstawia nam kolejne fragmenty układanki. Świetnie zarysowana warstwa obyczajowa, realizm postaci sprawiają, że od razu widzi się poszczególne sceny. Aż szkoda, że to tylko opowiadanie, a nie pełnowymiarowa powieść. Wyobrażenia autorki i jej oddanie charakterystyce postaci pozwalają mieć nadzieję na ciekawy rozwój pisarstwa Joanny Łopusińskiej.

*Jesteśmy trafiać jęćami, jak muchy
Miotane wiatru powiewem.*

„Zimowa opowieść”, W. Shakespeare

Nic nie jest przypadkowe, i nigdy nie będzie.

„Zimowa opowieść”, M. Helprin

1.

21.12.2011

CERN, Meyrin, kanton Genewa

Wszyscy, których kochałem, umierali w grudniu.

Jakby nienawidzili świąt i nie byli w stanie przetrwać kolejnych. Moja babka, później ojciec i Mia, każde odeszło tuż przed gwiazdką, zostawiając mnie niezmiennie ogłupiałego, wypętnionego jednak niejasnym zrozumieniem. Skoro i tak umierasz, to czy bożonarodzeniowe rozedrganie, ściśnięty na ulicach tłum, a na koniec pełna fatsu nadzieja na lepsze jutro, za miesiąc czy rok, są tym, czym chcesz żyć w oczekiwaniu kresu? Raczej nie, powiedziałaaby ostrożnie Nanusia, gdyby jej ptuc nie zabraty papierosy wypalane przez czterdzieści lat w salonie ich domu przez dziadka. Raczej nie, w takim razie.

Tak to widziałem. Nie żeby ujmowało to cokolwiek z bólu, który codziennie, a w grudniu ze szczególnym upodobaniem, zadawałem sobie, przywołując przed oczy najpiękniejsze spędzone z nimi chwile. Stońce we włosach Mii, latem, tuż przed zmierzchem, smak konfitur, którymi babcia nadziewała smażone na smalcu pączki, i uśmiech ojca, kiedy wymykał się z kubkiem kawy i zamykał w gabinecie z sobotnią „Wyborczą”. Na przykład.

Noah Majewski też umarł w grudniu. I też go kochałem, co do-
tarło do mnie rano w hali Atlasa, kiedy opuszkami palców przymy-
kałem powieki na jego martwych oczach.

Atlas to jeden z sześciu detektorów na LHC, czyli Wielkim
Zderzaczu Hadronów. Gdy razem ze zderzaczem uruchamiano
go w 2008 roku, ja męczyłem się nad drugą pracą magisterską
w dusznym Krakowie i nawet przez myśl mi nie przeszło, że już
niedługo znajdę się w pobliżu tej całej boskiej maszynierii. LHC
ze swoimi detektorami nie był pierwszym narzędziem do bada-
nia skutków zderzeń cząstek. Wcześniej dwudziestosiedmiokilo-
metrowy tunel na pograniczu szwajcarsko-francuskim, zajmował
inny akcelerator, LEP, czyli Wielki Zderzacz Elektronowo-Pozy-
tonowy. To strasznie stare historie, bo kiedy montowano pierw-
sze synchrocyklotrony, mój ojciec dopiero przychodził na świat
w szarej, komunistycznej Warszawie, a o mnie nikt jeszcze nie sły-
szał. Nie żeby coś się w tej ostatniej kwestii zmieniło. Właściwie
nie wiem, czemu o tym wszystkim wspominam. Nie jestem histo-
rykiem, nie lubię takich zakurzonych historii, jakie tu opowiadam,
choć przyznaję, zdarza mi się wpaść do podziemi CERN-u, gdzie
można oglądać nieczynny już detektor DELPHI, który pracował na
poprzednim zderzaczu. Efekty tej kooperacji nigdy nie były jed-
nak tak spektakularne jak skutki wynalezionej całkiem przy oka-
zji protokołu HTTP i języka HTML, które dziś mają bezpośrednie
przeżożenie na życie każdego z nas.

– Hello? – telefon zadzwonił parę minut po szóstej rano. Mru-
żąc oczy, rozpoznałem numer centrali Atlasa.

– There is a blackout – powiedział zdenerwowanym głosem
dyżurny i kazał mi jak najszybciej przyjechać. W budynku detek-
tora wysiadła elektryka. Cała, całutka. Kiedy zajeżdżałem na pusty
parking przed Atlasem, noc nadal wisiła nad Meyrin, choć ho-
ryzont już bladł. Zawiadomiono innych, ale mieszkąłem najbliżej
i pierwszy dojechałem na miejsce.

Jestem inżynierem i od dwóch lat pracuję na Atlasie. Zespół, do którego należę, opracował nowy system chłodzenia LHC, który dopiero co zaimplementowaliśmy. Zajmujemy się też innymi rzeczami, stricte technicznymi i naprawczymi, jak choćby takie właśnie awarie, których przyczyną są zwykle mikrosiępnięcia w układach komputerowych obsługujących detektor. Uwielbiam tę pracę. Zanim przyjechałem do CERN-u, Nanusia narzekwała, że nie robię doktoratu, jakby fizyka i mechatronika to było dla niej za mało. Jakby oczekiwała po mnie więcej.

Odbiegam od tematu, wiem, odrzucam wspomnienie ciała Noah. Mam wrażenie, że kiedy wymażę je z pamięci, zagrana taśma życia cofnie się do ostatniego momentu, gdy jeszcze oddychał, pozwalając na nowy zapis. I w tej sekundzie, kiedy złe już ma się stać, zrobię krok, odpowiedni ruch i uratuję Noah.

2.

Tego ranka hala Atlasa była zimna. Kiedy wszedłem do środka, temperatura wydawała się nawet niższa niż na zewnątrz, bo z moich ust w świetle latarki buchały kłęby pary. Winda nie działała i po raz pierwszy, poza szkoleniami, użyłem schodów awaryjnych.

Wszędzie panowała cisza. Ta z gatunku absolutnych, jak wtedy kiedy sypie śnieg, kiedy mikropłatki chłoną cały gwar życia. Musiałem dostać się do centrali zlokalizowanej na ground zero, przy samej podstawie detektora. Było kilka innych, ale tylko z tamtej uruchamiało się wszystkie obwody. Jeśli nie dało się uruchomić zasilania z centrali A, trzeba było szukać przyczyny na zewnątrz. Albo w generatorach, albo w samej sieci elektrycznej miasteczka Meyrin, suburbiów Genewy, na terenie których w ciągu dziesięcioleci rozlokowano większość naziemnych budynków Europejskiej Organizacji Badań Jądrowych, w skrócie: CERN.

Nie powinienem był schodzić na dół sam. Ale zszedłem. Chciałem szybko opanować sytuację, sądziłem, że wiem, co się stało. Drzwi do hali głównej nie były zablokowane, po odcięciu prądu odblokowywały się, zamiast zamykać na głucho, tak je zaprojektowano. Nikt nie chciałby utknąć w środku w trakcie na przykład awarii zderzacza.

Wracając do samego Atlasa, wyobraźcie sobie kilkusetmetrowej wysokości hektarowy hangar z systemem metalowych pokładów porozpinanych na jego ścianach, opasujących go ze wszystkich stron. Miliony błyszczących węży światłowodowych i wszelkich innych wielokolorowych przewodów w metalowych obudowach dziesiątków tysięcy komputerów. Wyobraźcie sobie w końcu ogromny, wielokrotny, złoty pierścień detektora w środku tego wszystkiego. To właśnie Atlas.

– Zapiera dech – powiedziałem do Noah, kiedy zjechałem na dół po raz pierwszy. Światło drgało pod moimi stopami, wszystko wokół huczało i żyło. Stałem oniemiały w obliczu tej boskiej maszyny i trudno mi było zrobić krok. Dziś rano też zatrzymałem się na najwyższym pokładzie hali oniemiały, nie mogąc się ruszyć. Otaczały mnie absolutna cisza i ciemność.

I śmierć.

3.

Śmierć jest jak pudełko czekoladek, nigdy nie wiesz, na co trafisz. Chodzi o to, że nie da się przewidzieć, jak umrzesz. Chyba że jesteś uzależniony od kokainy, adrenaliny, upijasz się co wieczór do nieprzytomności albo przepracowujesz tak, że od dekady nie przespałeś ciągiem pięciu godzin. Albo kiedy popadasz w obłąd, jak Noah. Wtedy śmierć jest bardziej jak pudełko After Eight, z którego zawsze wyciągasz miętową pralinę w niezmiennie czarnej czekoladzie. To myślę sobie teraz, kiedy wszystko się dokonało,

a ja siedzę w areszcie przy Chemin de Bandonnet, najbliższej Meyrin jednostce policji kantonalnej. Nikt mnie specjalnie nie pilnuje, czasem tylko rzucą okiem, czy na pewno wciąż jestem tam, gdzie widzieli mnie przed godziną. Wracając do głównej myśli, chodzi o to, że powinienem być wiedzieć. Powinienem być wiedzieć, że wokół Noah źle się dzieje. Ale nie wiedziałem, bo nie rozmawiałem z nim od dwóch tygodni. Po roku od wydarzeń, które zabiły Mię i naszą przyjaźń, pokłóciliśmy się na śmierć. O jego szaleństwo.

Stojąc u szczytu hali Atlasa dziś rano, w ciszy i ciemności tak obcych temu miejscu, nie myślałem jednak nic. Usłyszałem tylko dalekie brzęknięcie metalowego pokładu, jakby ktoś podskończył. Co dziwne, nie było zamknięcia dla tego dźwięku, nikt nie opadł z powrotem na podłogę. Dobiegł mnie za to głuchy odgłos w dół. Jakby coś ciężkiego, ale miękkiego spadło na dno hali. Podeszedłem do barierki i snopem światła zacząłem przeszukiwać ciemność pod sobą, szczególnie dokładnie sprawdzając widoczne w dół siatki zabezpieczające.

Najpierw wcale go nie zauważyłem. Dopiero za którymś razem, schodząc coraz niżej i niżej, dostrzegłem ludzką postać na jasnej podłodze. Mężczyzna leżał twarzą do góry, ręce miał rozrzucone na boki. Wokół jego głowy rozptywała się upiorna, ciemna aureola. W pierwszej chwili znieruchomiałem, jednak szybko opanowałem szok i biegłem na ground zero. Chyba wiedziałem, że to Noah, jeszcze zanim do niego dopadłem. Mózg rejestruje mnóstwo sygnałów na długo przed tym, nim zdoła je przetworzyć.

Miał otwarte oczy, ale nie poruszał się. Krew formowała katużę wokół jego ciała. Przykucnąłem i sprawdziłem puls przyjaciela. Nie wyczułem go ani na nadgarstku, ani na szyi. Wstałem i podniosłem stopę. Czarna kropla skapnęła z podeszwy buta z powrotem w lepkie jezioro. Nie rozumiałem, co się stało, chyba nie myślałem nawet o tym, co się stało. Ani jak. Zareagowałem instynktownie.

Wbiegłem po schodach na szczyt hali, a później wyjściem awaryjnym na parking. Kiedy otworzyłem drzwi, cały sptywałem potem. Na peryferiach świadomości odnotowałem przyjemność, jaką poczułem, kiedy zimny podmuch owionął moją rozognioną twarz. Na zewnątrz byli już inni. Zaskoczeni patrzyli na mnie zgiętego wpół, z trudem łapiącego oddech.

– Karetka – wychrypiąłem po polsku. – Ambulance! – wrzasnąłem po angielsku, kiedy żaden nie zareagował. Po chwili, kiedy tamci nadal trwali w stuporze, wyciągnąłem telefon i wybrałem numer emergency rescue service. Kiedy skończyłem podawać wszystkie dane, zorientowałem się, że inni stoją wokół mnie. – Noah Majewski is dead – szepnąłem i ciężko usiadłem na krawężniku.

– O czym ty mówisz? – zapytał Arthur Fisher, szef naszego zespołu.

– Noah Majewski jest na dole. Nie żyje – odpowiedziałem, chwytając telefon do kieszeni. Arthur wahał się chwilę, po czym pobiegł w stronę schodów awaryjnych. Nie zatrzymywałem go, choć może powinienem, mając na uwadze ewentualne ślady w hali detektora. Czy w ogóle miał latarkę, zastanawiałem się. A jeśli sam spadnie? Chciałem go zawołać, ale zrezygnowałem. Spadnie? Wróciłem do słowa, którego użyłem przed momentem i zacząłem obracać je w myślach. Spadnie, powtórzyłem, przypominając sobie wysokie barierki i siatki zabezpieczające. Tam praktycznie nie da się spaść. Trzeba byłoby skoczyć. Albo dać się zepchnąć. W tej samej chwili zerwałem się i mimo protestów reszty ekipy ruszyłem z powrotem na dno hali. Musiałem ostrzec Arthura. Na dole wciąż mógł być morderca.

4.

– Znałem Noah przez pół życia – zacząłem, kiedy inspektor policji kantonalnej Lara Hauser zapytała o relacje łączące mnie

z denatem. – To znaczy, znałem go prawie całe życie, moje i jego, ale przez połowę czasu byliśmy tysiące kilometrów od siebie i nie wiem, czy mogę to zaliczyć na poczet trwania naszej przyjaźni. Raczej nie – dodałem po chwili namysłu patrząc w szare oczy siedzącej przede mną kobiety. Później spojrzałem na jej szare włosy i szarą garsonkę. Zastanowiło mnie, czy wszystkie kobiety po sześćdziesiątce wyglądają tu tak samo. Funkcjonując w międzynarodowym środowisku CERN-u, praktycznie nie znałem Szwajcarów. Może dlatego Lara Hauser wydała mi się stereotypową przedstawicielką społeczeństwa, w którym się wychowała, wzrosła i dojrzała. No i przejrzała. – Więc znałem Noah połowę życia – podsumowałem. Nie powiedziałem, że poznaliśmy się w Warszawie, w odrapanej podstawówce na Mokotowie, przypadkiem siadając razem w ławce pierwszego dnia szkoły. I że tak już zostało.

Przez kolejnych dziesięć lat Noah, był moim najlepszym przyjacielem, choć dzieliło nas wszystko, począwszy od temperamentu, na stosunku do religii i polityce kończąc. Tylko gust co do dziewczyn mieliśmy zawsze podobny. Miał dziwne imię. Jego matka była Szwajcarką, szaloną, bo zakochana w ojcu Noah, zamiast wrócić do siebie, została w tym obcym kraju, w tych smutnych latach osiemdziesiątych. Gdzieś w połowie naszego liceum zmieniła zdanie, rozwiódła się z doktorem Majewskim i zabrała syna do Zurychu. Noah aż palił się do wyjazdu. Już wtedy miał na koncie finał ogólnopolskiej olimpiady z fizyki. Marzył o studiach na politechnice zuryjskiej, ETH, tej samej, którą kończył Einstein, a później – o pracy na zderzaczu w Genewie. Dopiął swego. Praktycznie od początku pracował w CERN-ie jako fizyk, i to w zespole mającym za zadanie odkrycie tak zwanej boskiej cząstki, bozonu Higgsa. To było wielkie wyróżnienie, zwłaszcza dla kogoś tak młodego. Na ten projekt szły grube miliardy euro, oczekiwania były przeogromne, zatrudniano tylko najlepszych. Cieszyłem się, że Noah robi to, co kocha.

Zawsze mi się wydawało, że zakochał się w fizyce jądrowej, zanim w ogóle zrozumiał, na czym ona polega. A może tak właśnie jest z zakochaniem? Zakochujemy się w wyobrażeniu, a w miarę poznania nasze uczucie albo wypala się w rozczarowaniu, albo przeciwnie, rozpala w potwierdzeniu. Nie wiem. W każdym razie to Noah załatwił mi pierwszą rozmowę w CERN-ie dwa lata po obronie drugiej pracy magisterskiej na AGH. Pojechałem i sam się zakochałem. W spokoju i ładzie tamtego życia, Genewie z jej lazurowym jeziorem, zimozielonymi parkami i wyniesioną starówką, w uroczym, malutkim Meyrin, gdzie w końcu zamieszkałem, i w lodowcach nieodległych Alp, które pozwalały jeździć na nartach nieomal cały rok. Nie mówiąc o czystym powietrzu! Kto mieszkał choć chwilę w Krakowie, wie, że nie ma tam czym oddychać. Dostównie. Na końcu zakochałem się w Mii, ale to trochę później. Bo najpierw zakochany był w niej Noah. I co rozdziera mi serce każdego dnia, a dziś podwójnie, nigdy nie przestał.

– Czy zna pan profesor Francescę Accardi? – zapytała nagle inspektor Hauser, podnosząc na mnie szare oczy. Do tej pory sądziłem, że nie dawali tej sprawie wysokiego priorytetu. Teraz zrozumiałem, że się myliłem. Lara Hauser była bystra. I szybka. Kiwnąłem głową.

5.

Zaraz za karetką przyjechała policja. Nie wiem, kto ich wezwał, może Arthur. To by się nawet zgadzało, przypominam sobie, że kiedy pobiegłem za nim, krzychałem coś o mordercy, który zepchnął Noah z najwyższego pokładu. Policjanci wyprosilili nas z hali Atlasa i skierowali z resztą ekipy do sali konferencyjnej w naziemnej części kompleksu. Musieliśmy ich zdenerwować, bo byli mało delikatni. Na ramieniu mam siniaka po tym, jak jeden złapał mnie, odciągając od Noah, kiedy ukląknęłam, żeby zamknąć mu

oczy. Właściwie to ich rozumiem, dwóch facetów roznoszących na butach krew ofiary i zdeptujących ślady zbrodni.

Usiadłem w najdalszym kącie sali konferencyjnej, musiałem się skoncentrować. Noah nie żył. Co rusz zapominałem o tym, myśli rwały się, pierzchając na wszystkie strony byle dalej od świadomości jego śmierci. Choćby na moment. Ale to wciąż wracało, uderzając mnie niczym zbyt mocny policzek, taki, którego się nie spodziewasz i na który nie zasłużyłeś.

Rozejrzałem się. Pozostali stali zbici w grupki. Złapałem wzrok Arthura, pełen pytań pod zmarszczonymi brwiami. Dochodziły mnie urywki zdań w trzech językach. „Co on tam w ogóle robił, miał dostęp?“, „Did Noah have anything to do with the blackout though? You can easily go in if electricity is cut off“, „Je ne sais pas, Il a travaillé sur le cas de Higgs, qui a fait de l'Atlas?“ i tak dalej. Sam zastanawiałem się nad tym wszystkim.

Noah nie miał kart umożliwiających wejście do Atlasa, nie znał się na obsłudze technicznej detektora i trudno mi uwierzyć, żeby wiedział, jak spowodować awarię o takim zasięgu. I po co miałby to robić? Żeby dostać się do środka? Wiedział, że po wyłączeniu prądu drzwi w Atlasie, zamiast blokować się, stają otworem? Bardzo wątpię. Nawet w naszym zespole nie wszyscy o tym wiedzieli. Co więcej, Noah nie był, jakby to ująć, techniczny. Jakim cudem człowiek, który każe swojej dziewczynie wymieniać halogeny w łazience (tak, to Mia wymieniała w ich domu przepalone żarówki i naprawiała zepsute kontakty), miałby wywołać blackout w urządzeniu tak skomplikowanym jak Atlas?

Był za to świetnym teoretykiem. Pracował nie tylko w zespole od bozonu, ale i nad własnymi rzeczami. Do niedawna nie wtajemniczał mnie w efekty swojej pracy. Zrobił to dwa tygodnie temu. To wtedy przestaliśmy rozmawiać. Idea, która stanowiła podwalinę jego teorii, zaczęła się kłuć zaraz po śmierci Mii. W tamtym czasie

zniknął nagle, biorąc zaległy urlop. Nie wiem, gdzie był, co robił, kiedy pytałem, nie odpowiadał.

Westchnąłem ciężko, bo nagle dotarło do mnie, że będą mnie podejrzewać. Zwłaszcza jeśli powiem prawdę. Że byłem w hali, kiedy Noah spadł, że to właśnie słyszałem. I nic więcej. Podejrzewać będzie mnie nie tylko policja, ale i ludzie w CERN-ie.

Kiedy mundurowi wpadli do Atlasa, nie zastali nikogo poza naszą grupą. Nie było śladu nikogo obcego. Nie znaczyło to oczywiście, że nic tam nie ma, jednak zbieranie dowodów w miejscu, gdzie w ciągu tygodnia przewija się setka ludzi, jest syzyfowym zajęciem. Zbiorą nasze odciski, zbiorą odciski wszystkich, którzy byli w Atlasie poprzedniego dnia, i zaczną porównywać z tym, co znajdują. Miesiącami. A morderca Noah pozostanie na wolności. Bo przecież ktoś jeszcze musiał być wtedy na dole! I musiał to być jeden z nas, co skonstatowałem z niechęcią. Ktoś znający wszystkie wejścia i wyjścia, skróty i przejścia. Awaria musiała być jego dziełem. Albo jej, pomyślałem po chwili, bo w CERN-ie pracowało zawsze sporo kobiet. Blackout miał umożliwić przeprowadzenie całego planu, pomyślałem. Tylko jakiego? Zabicia Noah? W takim razie jak go tam ściągnięto, pod jakim pozorem? Czy to rzeczywiście było morderstwo? A może przypadek, może chodziło o coś innego? I dlaczego nie słyszałem krzyku Noah, kiedy spadał? Czy zabójca go pobił, ogłuszył, a może czymś naszprycował? Pode-rwałem się z krzesła, zwracając powszechną uwagę.

– Muszę iść – powiedziałem przepaszająco – do łazienki. – Nie postawili przy nas straży, głupie, choć zbawienne dla mnie i moich celów. Wymknąłem się z sali konferencyjnej i korytarzem przeszedłem w stronę drzwi wyjściowych z budynku, mijając po drodze model Atlasa z klocków LEGO umieszczony w szklanej gablocie. W ostatniej chwili cofnąłem się za załom ściany, dostrzegając przy drzwiach uzbrojonego policjanta. Poznałem niebiesko-granatową

kurtkę policji kantonalnej. Poczekąłem, aż funkcjonariusz się odwróci i ruszy w drugą stronę, wtedy cicho wymknąłem się na parking.

Mój samochód stał zaparkowany zaraz koło wejścia, wsiadłem więc szybko i niezatrzymywany odjechałem. Skręcając w główną ulicę, gwałtownie zahamowałem, nieomal zderzając się z nadjeżdżającym z naprzeciwka czarnym SUV-em, który zjechał na mój pas skręcając w stronę Atlasa. Za szybą mignęła mi wściekła twarz profesor Accardi, szefowej zespołu Noah, włoskiej gwiazdy, która miała znaleźć dla nas Higgsa. Nawet mnie nie zauważyła. Pokręciłem głową, włączając się do ruchu. We wstecznym lusterku uchwyciłem jeszcze, jak wypada z auta, nie zamykając go, i w czarnym dresie, a może pidżamie pędzi do wejścia. Ja też musiałem się śpieszyć i dostać się do mieszkania Noah.

Zanim zrobi to policja.

6.

Noah mieszkał po francuskiej stronie, w niewielkiej miejscowości, której nazwa niewiele komukolwiek powie, ale niech będzie: Baizenas. Zaraz na początku kariery w CERN-ie kupił na kredyt dom na skraju Parku Narodowego Jury. Zależało mu na bliskości łąk i lasów, gór i szlaków turystycznych. Domek miał dosłownie dwie sypialnie i salonik z kuchnią. Bardzo lubiłem jego przytulny klimat z półkami uginającymi się od książek i zapachem pomidorów, bo jedną z niewielu potraw, które Noah gotował naprawdę dobrze, było bolo-gnese. Mia gotowała znacznie lepiej. Była Żydówką i kiedy wprowadziła się do Noah, ich lodówkę wypełniły produkty, z których robiła przepyszne shakshuki, kugle, hummusy, gefilte fisz i niezwykle dla nas oryginalne koszerne fast foody, na które przepisy przywiozła z rodzinnego Nowego Jorku. Była fizykiem i jak Noah pracowała w zespole od bozonu. To ona z naszej trójki najlepiej rokowała. Pech chciał, że zakochała się w niewłaściwym facecie.

Miałem klucze do domku Noah, to oczywiste. Byliśmy przyjaciółmi. On miał klucze do mojego mieszkania, tak to działa. Wtedy dotarło do mnie, w jaki sposób mógł uzyskać karty dostępu do Atlasa i że wcale nie musiał wywoływać żadnej awarii. Wystarczyło zwinąć je z mojego biurka. Ich brak złożyłbym na karb bałaganiarstwa, które cechowało mnie niezmiennie od dzieciństwa. Wszystko to byłoby możliwe, bo Atlas nie był, jak inne detektory, chroniony dostępem na podstawie czytników linii papilarnych. Mieliśmy je dopiero wprowadzać. Westchnąłem ciężko.

Powinienem spróbować wytłumaczyć, czego szukałem, przekraczając próg domku przyjaciela, i w czego znalezienie nie chciałem wierzyć. To nie będzie łatwe.

Szukałem motywu.

Szukałem dowodów obłędu Noah.

7.

Zaparkowałem na podjeździe obok czerwonego golfu Noah. To był prezent od jego matki. Prezent, którym jeździł wyłącznie do pracy i z powrotem, nie przekraczając pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Wiem, bo jechałem z nim kilkakrotnie, przeklinając soczyscie w myślach. Przed matką Noah udawał, że prowadzi znacznie więcej. Raz nawet, na któryś jej przyjazd, poprosił mnie o przesunięcie licznika o parę tysięcy kilometrów do przodu.

Dlaczego nie wziął auta dziś rano? Jak dotarł do Atlasa? Albo: z kim?

Wysiadłem i wsunąłem klucz w dziurkę, ale drzwi uchyliły się, zanim zdążyłem go przekręcić. Chwyciłem krawędź skrzydła i pchnąłem je lekko.

– Halo? – krzyknąłem w głąb domu. Cisza. Sprawdziłem kuchnię, salon i sypialnię. Czysto. Wszystko wyglądało tak jak zawsze. Jak to się stało, że Noah nie zamknął drzwi?

Jego gabinet znajdował się w najmniejszym pokoju, w głębi domu. Ruszyłem w tamtym kierunku, za drzwiami wymacałem włącznik lampy. Na tyłach posesji zaczynał się las, przez okna wpadało niewiele światła, nawet przed południem było tam ciemnawo. Kiedy żarówka rozbiła się, oświetlając pomieszczenie, stanąłem jak wmurowany.

Nie byłem tam od miesiący.

Nie chodziło nawet o pobjawisko, które zastałem, porozrzucone książki, powywracane do góry dnem szuflady, rozbebeszowane szafy. Parę sekund poświęciłem myśli, że ktoś musiał tu być przede mną, że musiał szukać czegoś, choć nie wiedziałem czego. Moją uwagę przykuł paradoksalnie nie chaos, a porządek. Vis-à-vis biurka wisiła ogromna korkowa tablica, wypełniona dziwnymi, nieznanymi mi skomplikowanymi wzorami z nieskończonymi ułamkami łańcuchowymi i pourywanymi w połowie równaniami. Po chwili dostrzegłem wypisane wotami ciągi liczb Fibonacciego i rozrysowane na przykładach linie złotej proporcji. Podeszedłem bliżej. Na jednej części tablicy przypinano zdjęcia, dziesiątki zdjęć, a to wielkoskalowej struktury wszechświata z dziwnymi siatkami układającymi się w pięciokąty, a to rozkładu ciemnej zimnej materii. To rozpoznałem. Z bliska zobaczyłem też zdjęcia makro, jak sądziłem, ziaren piasku, a zaraz obok przedstawienia kalafiorów i lawin śnieżnych, zaskakująco do siebie podobnych. Wszystko to na tle mapy z powbijanymi szpilkami i pajęczą siecią nicianych powiązań między nimi. Przy każdym punkcie przyklejono kolorową karteczkę. Odkleitem jedną z nich.

„Pani Willardowa Lovel wyszła z domu w Berkeley w Kalifornii i zatrasnęła drzwi, zapomniawszy klucza”, przeczytałem po angielsku. „Przez kilka minut bezskutecznie próbowała dostać się do środka, wtedy pojawił się listonosz i wręczył jej list. W liście był klucz do drzwi jej domu. Wysłał go brat pani Lovel, Watson Wyman, który gościł u niej niedawno i niechcący zabrał pożyczony

mu zapasowy klucz, wracając do Seattle w stanie Waszyngton”. Nie patrząc, odłożyłem karteczkę na biurko za mną i sięgnąłem po kolejną, przyklejoną gdzieś na środku Francji: „1996 rok, Paryż. W wypadku zderzyły się dwa jadące z dużą prędkością samochody, a ich kierowcy – mężczyzna i kobieta – zginęli. Okazało się, że byli małżeństwem. Rozstali się kilka miesięcy wcześniej, nie wiedzieli, że tej nocy będą jeździć samochodami po mieście. Policja podejrzewała, że może chodzić o jakieś dziwaczne morderstwo – samobójstwo, ale w końcu doszli do wniosku, że był to czysty przypadek”. Sięgnąłem po następną historię, tym razem dziesięcioletniej Laury Buxton, która wypuściła w powietrze balonik napełniony helem z przypiętymi do ogonka swoimi danymi. Balonik przeleciał dwieście dwadzieścia kilometrów i przypadkowo wylądował w ogródku innej, również dziesięcioletniej dziewczynki o takim samym imieniu i nazwisku. Obydwie, jak się okazało, miały też identyczne zwierzęta: labradora, świnkę morską i chomika. Przyjaźniły się później całe życie.

Właśnie o to pokłóciliśmy się przed dwoma tygodniami. Zaproponowałem nawet Noah, że umówię go do psychiatry.

Odwrociłem się, chcąc odłożyć odklejoną od tablicy karteczkę na biurko. Mój wzrok padł na ułożone w stos, co budziło zastanowienie pośród bałaganu dookoła, prace Wolfganga Pauliego, fizyka noblisty, a obok w podobnym stosiku dzieła Carla Gustava Junga, psychologa nienoblisty. Co najdziwniejsze, obok tych dwóch ustawiono rząd takich pozycji jak *To nie przypadek*, *Gdyby...* Całkiem inna historia świata czy *Historia wielkich pomyłek*, niektóre po polsku. Na środku biurka leżała *Naturerklärung und Psyche* wspólne, niezwykle kontrowersyjne dzieło Pauliego i Junga o synchroniczności. Kiedyś je czytałem, choć nie w oryginale, języki, poza angielskim, przychodziły mi z trudem. Książka zawiera setki przykładów niepowiązanych ze sobą przyczynowo faktów z najróżniejszych dziedzin. Pauli i Jung wierzyli w istnienie akauzalnej,

nieprzyczynowej zasady wszechzwiązku zdarzeń. Chodziło o to, że niektóre zdarzenia, nie mając związku przyczynowo-skutkowego, są ze sobą związane na innej zasadzie, której odkryciu poświęcili ostatnie lata życia. Co ciekawe, obydwaj mieszkali w tym czasie w Szwajcarii, na wschodnim brzegu Jeziora Zuryckiego, pierwszy w Zollikon, a drugi kilka kilometrów dalej, w Kusnacht.

Westchnąłem ciężko, podniosłem wzrok i ponownie przyjrzałem się skomplikowanym wzorom na korkowej tablicy, po długim czasie znajdując ten, którego od początku powinienem był szukać.

Nie obłąd, a geniusz.

Żeby to wytłumaczyć, muszę wrócić do wydarzeń z grudnia ubiegłego roku. Do dnia, kiedy Noah zabił Mię.

8.

Musiąłem odłożyć na jakiś czas wspomnienie o wydarzeniach sprzed roku, usłyszawszy wycie policyjnych, jak zaktadałem, syren. Miałem kilka minut, zanim wejdą do domku. Wyjąłem telefon i sfotografowałem odkryty przez Noah wzór. Ruszyłem do wyjścia, w korytarzu, mijając zdjęcia w ramkach.

Zatrzymałem się mimo woli. Wisiaty tam wszystkie co do jednego. Portrety Mii. Mój wzrok padł na jeden z nich, ten, na którym włosy ma ułożone w koronę z warkoczy. W brązowych pasmach pobłyskują perłowe wsuwki. Wielkie, ciemne oczy śmieją się do osoby robiącej zdjęcie, tyle jest w nich, nie boję się tego powiedzieć, miłości. Nie ja zrobiłem to zdjęcie, choć na mnie patrzyła tak samo, w te wszystkie bezsenne, niecierpliwe, kradzione oficjalnemu życiu noce.

Ktoś kopnął drzwi wejściowe i dwóch uzbrojonych policjantów wparowało do środka.

– Aleksander Keda? – wrzasnął jeden z francuskim akcentem. Skinąłem głową i podnosząc ręce, ruszyłem w ich stronę. Wpa-

kowali mnie do radiowozu. Na granicy przesiadłem się do samochodu policji kantonalnej, który zawiózł mnie na posterunek przy Chemin de Blandonnet, gdzie miałem czekać na przybycie śledczych kończących czynności w Atlasie. Nie wiedziałem tylko, co im powiem, kiedy już się pojawią. Postanowiłem spróbować z prawdą.

9.

– Zatem zna pan profesor Francescę Accardi – inspektor Lara Hauser patrzyła na mnie skupionymi, szarymi oczami. – Rozwinie pan temat? – ponagliła mnie po angielsku.

– Co chciałyby pani wiedzieć? – rozłożyłem ręce. Nie wiedziałem, ile ujawnić. – Profesor Accardi pracuje u nas od ponad roku, przyjechała z Sapienzy z Rzymie. Ma pomóc w odkryciu bozonu Higgsa. – Inspektor popatrzyła na mnie, marszcząc czoło. Na Boga, chyba każdy w Genewie słyszał o bozonie! – Boskiej części – dodałem z nadzieją. – To hipotetyczna częśćka elementarna, przewiduje ją model standardowy – brnąłem dalej. – Inaczej! Bozon to taka cząsteczka elementarna, która miałaby być odpowiedzialna za posiadanie masy przez niektóre, inne cząstki elementarne. – Lara Hauser uniosła brwi. Zniecierpliwiłem się i wybuchłem. – Francesca to gwiazda i zarząd miał nadzieję, że pod jej skrzydłami znajdziemy bozon.

– Ale Noah Majewski w to nie wierzył? – zapytała nieoczekiwanie, a ja spojrzałem na nią z nagłym szacunkiem, wstydząc się poniewczasie swojego podniesionego głosu. To nie była tajemnica, ten sceptycyzm mojego przyjaciela, ale i tak w zaledwie parę godzin zorientowała się w temacie, widząc w nim, jak sądziłem, możliwy motyw zabójstwa Noah. W końcu chodziło o miliardy euro i reputację nie tylko pracujących nad odkryciem naukowców, ale i całego CERN-u. Jeśli bozonu nie ma, jak twierdził od jakiegoś

czasu Noah, a poszły na niego kosmiczne wręcz pieniądze, państwa członkowskie, jedno po drugim, wstrzymają finansowanie i finito, jednostka stanie na granicy upadku. Bez bozonu nie ma CERN-u, a Noah krzyczał o tym najgłośniej. Najgorsze jest to, że krzyczał też o dowodach. Jakby na niczym mu nie zależało, jakby nie miał nic do stracenia. I może tak właśnie było. Wszystko to opowiedziałem Larze Hauser.

– Kłócili się o to, zwłaszcza w ostatnich tygodniach. Noah i profesor Accardi – dodałem. – Chodził do niej i starał się przekonać do skierowania badań w inną, bardziej obiecującą stronę. Nie chciała go słuchać – dokończyłem.

– Co to miało być? – zapytała inspektor. Wzruszyłem ramionami, starając się ukryć zdenerwowanie. – To tej bardziej obiecującej strony szukał pan, wtamując się rano do domu przyjaciela? Zapreczyłem ruchem głowy.

– Mówiłem już, mam klucze. Sięgnąłem do kieszeni wyciągając ich pęk, przyczepiony do niebieskiej smyczy z logo CERN-u.

– A jednak ktoś się tam wtamał, wtamując zamek – nie ustępowała Lara Hauser pochylona nad notatkami.

– Nie ja – odparłem.

– Kto w takim razie? – zapytała, podnosząc na mnie w końcu spojrzenie szarych oczu. Wzruszyłem ramionami. – Groziła mu? – zainteresowała się nagle. – Accardi – sprecyzowała.

– Sam niczego nie słyszałem, ale Noah wspomniał parokrotnie, że chce się go pozbyć – zawiesiłem głos. – Z zespołu, nie z życia – wyjaśniłem, jakby to było konieczne. – To jednostka badawcza, nie mordujemy się! – starałem się nie roześmiać. Koniec końców, to wszystko brzmiało jak żart.

– A jednak pana przyjaciel nie żyje. I jak twierdzą wszyscy dookoła, nie popełnił samobójstwa. Dodam, że w hali detektora nie znaleźliśmy śladów wskazujących na udział osób trzecich czy dowodów, które budziłyby wątpliwości – zamilkła na moment. – Nie

chodzi o to, że to nie mogło się wydarzyć czy że było niemożliwe. Chodzi o to, że przy istniejących zabezpieczeniach, wszystko, włącznie z poranną awarią, wygląda na zupełnie nieprawdopodobny zbieg okoliczności – westchnęła zrezygnowana. – Proszę jeszcze raz opowiedzieć, co się działo od momentu, kiedy odebrał pan telefon w sprawie awarii. Przebrnąłem przez wszystko chyba po raz czwarty. Inspektor Hauser słuchała, notując coś co chwila.

– Jestem podejrzany? – zapytał nieśmiało, kiedy milczenie się przeciągało.

– Proszę nie opuszczać kantonu – odparła wymijająco, po czym wstała. Narzuciła na ramiona szary, a jakże, płaszcz i ruszyła do wyjścia. Niezgrabnie powlokłem się za nią. – Wiem, że nie mówi mi pan wszystkiego, jednak na tym etapie nie będę pana dociskać, widzę inne wątki. Proszę jednak zadzwonić gdyby miał mi pan coś do zakomunikowania. – Podąa mi wizytówkę ze swoim numerem. Przyjrzałem się jej i nie do wiary, też była szara. – Aha, i doskonale wiem, czym jest higson – rzuciła, odwracając się i ruszając do wyjścia. Zostałem w tyle. Czerwony i z pótortwartymi ustami.

10.

Mój numer telefonu zapisano w ogólnokrajowej bazie danych jako emergency contact dla Noah. I dla Mii. Tamtej grudniowej nocy rok temu najpierw zadzwonili z informacją, że mój przyjaciel miał wypadek i przebywa na urazówce HUG, czyli Hôpitaux Universitaires de Genève. Kiedy zdenerwowany wsiadałem do samochodu, żeby do niego jechać, odebrałem kolejny telefon. Po drugiej stronie bardzo zatroskana pielęgniarka informowała mnie o karambolu, w którym uczestniczyła Mia. Walczyła o życie w tym samym szpitalu, w którym leżał Noah.

Nie wiem, jak dotarłem na Boulevard de la Cluse, gdzie mieścił się HUG, nie pamiętam. Rano zauważyłem na przednim zderzaku

głębokie zarysowanie i wgniecenie, skąd się wzięły, trudno powiedzieć. Zaparkowałem przed szpitalem i pobiegłem do recepcji, gdzie moją kieszonką francuszczyzną zapytałem o Mię i Noah.

– Pana przyjaciółka jest operowana, nie można tam wchodzić – powiedziała pielęgniarka ściskając współczująco moją dłoń. Czemu zawsze to robią, zastanawiałem się. Jakby ciepło cudzej skóry, obcej skóry, mogło człowieka w jakikolwiek sposób ukoić. Wyswobodziłem rękę i zapytałem o Noah. Zaprowadziła mnie do pokoju na chirurgii, gdzie niedawno go przewieziono. Miał lekkie wstrząśnienie mózgu i złamany nadgarstek, ale nic poza tym. – Niedługo powinien się zacząć budzić – powiedziała kobieta.

– Powie mi pani, jak ją skończą? – zapytałem niezdarnie. Zrozumiała, że chodzi o operację Mii i kiwnęła głową, zostawiając mnie w półmroku izolatki.

Stałem przy oknie, patrząc na przysypane śniegiem miasto. Ta cichość, ten obraz świata poutykanego między białe drobiny, do tej pory zawsze mnie uspokajał. Przeniostłem wzrok na łóżko, na twarz przyjaciela. Przyjaciela? Wciąż? A jeśli już nie? Tamtego wieczoru Mia miała mu powiedzieć. Że między nimi koniec, że odchodzi do mnie. Powiedziała? To stąd ten wypadek? Miłość to egoizm w najczystszej postaci. Chcieliśmy wyjechać. Do niej, do Nowego Jorku, zacząć tam coś na nowo, życie. Wbiłem wzrok w podłogę.

– Mia! – krzyknął Noah, budząc się nagle. Podeszedłem i chwyciłem go za zdrową dłoń. Spojrzał na mnie. Białka wokół jego błękitnych tęczywek gęsto pokrywała siatka czerwonych spękań. – Alek – szepnął. – Gdzie ona jest? – rozglądał się nieprzytomnie.

– Co się stało? – chciałem wiedzieć.

– Gdzie ona jest? – nie dawał za wygraną.

– Operują ją – odpowiedziałem. – Co tam się stało? – tym razem podniosłem głos.

– Wracaliśmy od mojej matki z Zurychu – zacisnął oczy. – Przed Genewą zaczęła się śnieżycą. Wszyscy zwolnili – przerwał. Głos mu się tętnił.

– Spokojnie – powiedziałem. Nadal ścisnąłem jego dłoń, miałem nadzieję uspokajająco, choć spokojny nie byłem. Napięcie, które czułem, było nie do zniesienia.

– Mów – szepnąłem, powściągając emocje.

– Gwałtownie zjechałem na drugi pas – spojrzał na mnie z bólem. – Ktoś zjechał mi drogę. Nie wyhamowałbym. Wpadłem w poślizg. Najpierw w lewo, potem wyprowadziłem samochód w prawo i znowu w lewo. Ledwo mijając barierki po obu stronach, sam nie wiem jak – zawiesił głos. – Obróciło nas bokiem. Z jej strony. Za nami jechała taka pomarańczowa półciężarówka. Hamowała. Ale – Noah starał się zaczerpnąć powietrza – uderzyła w nas – dokończył, po czym ucichł, zamykając oczy. Spał. – Gdzie jest Mia? – zapytał znowu po paru minutach, obudzony. Nie pamiętał naszej rozmowy.

– Operują ją – powtórzyłem, starając się uwolnić dłoń z jego uścisku.

– Co mówią? Na białej twarzy, w kątku oka, dostrzegłem łzę. Pokręciłem głową.

To mogło znaczyć wszystko. Nie chciałem, żeby znaczyło cokolwiek.

Umarła parę minut później. Taką godzinę nam podali, kiedy przyszli we dwoje, lekarz, który ją operował i pielęgniarka z dyżuru.

Nigdy nie powiedziałem Noah, że chciała go zostawić. Nie zrobiła tego tamtej nocy, nie miałem prawa. Nie zdążyła? Przez całą drogę z Zurychu nie znalazła paru minut na rozmowę? A może zmieniła zdanie? Nigdy się nie dowiem.

To wtedy, wśród ciszy nocy i syjącego śniegu, kilka dni przed gwiazdką, wykluta się obsesja Noah. Obsesja przypadku, a raczej jego braku. Mówił o tym bez końca, kiedy lekarz i pielęgniarka wy-

szli, zabierając ze sobą resztki nadziei. To były najdłuższe godziny w oczekiwaniu na świt, jakie pamiętam. Siedziałem przy łóżku, nienawidząc i siebie, i jego, trzymając go za zdrową dłoń, kiedy on budował podstawy swojej wielkiej, szalonej teorii. Teorii o regule porządkującej przypadek. Słuchałem, potakiwałem i zastanawiałem się, czy jeszcze kiedyś odzyska zdrowy rozsądek. Nie odzyskał.

Dziś rano, stojąc w gabinecie Noah, patrząc na wzór ukryty pośród zdawałoby się przypadkowych równań, ciągów, rysunków i zdjęć zrozumiałem, że nigdy nie był szaleńcem. Że zdrowy rozsądek to coś, co musimy porzucić na drodze do czystego rozumu. Nie wiem, dlaczego przypomniał mi się cytat z popularnego serialu, który oglądaliśmy razem w młodości, Xena The Warrior Princess. Tytułowa bohaterka mówi tam w pewnym momencie do swojej towarzyszki: „Bogowie ukryli przed ludźmi prawdę za zastoną rozsądku”.

Noah był geniuszem. To tylko nam, ludziom, po czubki głów zanurzonym w codzienności, czasem tak ciężko dostrzec granicę między obtędem i wielkością, szaleństwem i absolutnym porządkiem logiki. Zdarza się, że robimy to dopiero po czyjejś śmierci. Zdarza się, że nie robimy tego nigdy.

Reguła przypadku istniała, a ja znałem jej wzór.

Musiąłem porozmawiać z profesor Accardi, zanim wytropi ją Lara Hauser. Szczęśliwie wiedziałem, gdzie aktualnie się ukrywa.

11.

Ukrywa to może stwierdzenie za daleko idące, po prostu nie lubi nieproszonych gości takich jak ja. Szczególnie takich jak ja.

– O co chodzi? – Francesca, jak się spodziewałem, nie była zachwycona moim widokiem. Wciąż miała na sobie poranny dres, a może pidżamę. I tak byliśmy na ty, choć pewnie wołałaby o tym nie pamiętać. Miesiąc temu, po którejś z fet na okoliczność które-

goś z sukcesów instytutu, wylądowaliśmy w jej gabinecie. Chyba się nie spisałem. Chyba tego nie zapomniała.

– Chodzi o Noah – odpowiedziałem. Niechętnie otworzyła drzwi i wpuściła mnie do środka. Nie wiedzieć czemu wciąż mieszkała w hotelu na granicy Genewy. Może nie zamierzała zapuszczać korzeni, a może tak było jej wygodniej, skoro większość czasu i tak spędzała w pracy. Przeczesała palcami długie ciemne włosy i opadła na fotel. Na stoliku stała w połowie opróżniona butelka Jim Beama. Siadając, sięgnęła po szklankę, w której zastukały kostki lodu.

– Co tak stoisz? Siadaj – powiedziała. – I mów, o co chodzi – odwróciła wzrok. Rozejrzałem się. Pokój był całkiem przytulny, zastony zaciągnięte. Usiadłem na łóżku z rozkopaną pościelą. – Nie tu, tam – wskazała krzesło obok sekretarzysty. – Nie kojarzysz mi się pozytywnie z funkcją tamtego mebla. Przesiadłem się, nie komentując jej przytyku.

– Rozmawiałas z policją? – zagaitem. Kiwnęła głową. – Byłaś rano w domku Noah? Kolejne kiwnięcie. – Przed czy po mnie?

– Przed.

– Sama wytałaś zamek? – zapytałem. Milczała. – Zostawiłaś bałagan – wysiliłem się na żart.

– To bez znaczenia. Francesca złożyła ręce na udach, ściskając szklankę z burbonem.

– Widziałaś tam kogoś? – kontynuowałem przesłuchanie. – Z Noah? – potrząsnęła głową.

– Czekałam od wieczora, aż w końcu wyjdzie – powiedziała, przestając się ociągać. – Całą noc paliło się światło, zgasto dopiero nad ranem i wtedy się pojawił – wzruszyła ramionami. – Po prostu poszedł przed siebie, piechotą. Sądziłam, że idzie na jedną z tych swoich wycieczek. Musiałam... – nabrała powietrza. – Musiałam zobaczyć, co tam ma – zamilkła na chwilę, a ja zastanawiałem się, ile wiedziała o regule przypadku. Ile powiedział jej

Noah, a ile sama odgadła po wizycie w jego gabinecie. – Wiesz, że o logicznej niemożliwości istnienia niepowiązanych ze sobą zdarzeń przypadkowych pisali już Spinoza i Leibniz – powiedziała szybko i zaskakująco trzeźwo jak na poziom burbona pozostałego w butelce. – W dwudziestym wieku niemiecki filozof Dethlefsen zauważał też, że obserwacja rzeczywistości zmusza do mówienia o świecie jako kosmosie, czyli łańdźcie, i wyklucza istnienie przypadku – coś mi się obito o uszy, dlatego skinąłem ostrożnie głową. – Noah odkrył matematyczną regułę opisującą ukryty porządek wszystkich zjawisk przypadkowych – wypaliła na koniec, jakby zdradzała mi sekret.

– Tego szukałaś, wywalając te wszystkie szuflady i przeszukując szafy? – Nie mogłem się nadziwić, że pominęła najistotniejsze. Wzór jak byk wisiał na środku korkowej tablicy. Spojrzała na mnie z politowaniem, sięgając po coś za plecami. W jej dłoniach zmateriałizował się gruby czarny brulion, który bardzo przypominał moleskinę’a Noah. Nie doceniłem jej.

– Te same regularności dostrzeżemy w ułożeniu ziaren piasku na pustyni, spękaniach płyt chodnikowych, w wielkoskalowej strukturze wszechświata, jak również w codziennych zdarzeniach – przeczytała po angielsku ze swoim zmysłowym, włoskim akcentem. – Reguła przypadku przenika cały, widzialny i pozostający poza zasięgiem naszego wzroku, materialny i niematerialny świat – dokończyła. Westchnąłem, opierając się na krześle.

– Wzór wisi na środku tablicy w jego gabinecie. – Francesca popatrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami. Pochyliłem się nad stolikiem i pokazałem jej zdjęcie w telefonie. Wzięta go do ręki, długo przyglądając się obrazowi na wyświetlaczu. Sięgnęła po długopis, przepisując wzór do notatnika Noah.

– Przenika cały materialny i niematerialny świat – powtórzyła cicho. Po chwili jednym haustem opróżniła szklankę z bursztynowym płynem. – Wiesz, że jakby to wyszło, to mamy po bozo-

nie? – Wyrzuciła z siebie z napięciem, patrząc na mnie szklistym wzrokiem. Nie myślałam tak szybko, nie myślałam konsekwencjami. Francesca znowu otworzyła zeszyt. – Rzekoma detekcja tak zwanego bozonu Higgsa jest wynikiem nałożenia się przypadkowych błędów instrumentów obserwacyjnych – czytała drżącym głosem. – Moja teoria przewiduje momenty, w których błędy takie muszą wystąpić z największym prawdopodobieństwem. I występują – dokończyła czytanie. Chwilę się namyslałam, przetwarzając informacje.

– Reguła przypadku mówi, że co jakiś czas błędy wskazań instrumentów będą nakładać się na obraz przypominający detekcję bozonu Higgsa? Ale to nie będzie Higgs? – zapytałam z niedowierzaniem. Kiwnęła głową. To rzeczywiście nie mogło przejść bez echa w razie publikacji czy referatu. Albo mówienia o tym na głos.

– Myślałam – zawiesiła głos. – Myślałam, że nie ma dowodu, że jest jak ze strunami. Miała na myśli teorię strun i superstrun, którymi fizycy chętnie tłumaczą niektóre zjawiska. Nie mogą jednak udowodnić empirycznie prawidłowości tego wielowymiarowego modelu, dlatego teoria pozostaje teorią. – Ale jest wzór – przesuwała paznokciem po kartce, na którą przepisała równanie. – Wzór na przypadek – szepnęła w zamyśleniu. – I jest szereg testów empirycznych – spojrzała na mnie marszcząc brwi. – Noah zadał sobie trud zbadania odległości między pierścieniami Saturna, żeby udowodnić, że najczęściej pojawiającą się w stosunkach ich kolejnych szerokości proporcją jest złota proporcja. I na tej samej zasadzie badał rozkład ciemnej zimnej materii – podniosła głos. – Jego teoria przewiduje nawet, ile asteroidów znajdzie się w poszczególnych obszarach przestrzeni w pasie głównym. – Nachyliła się do mnie. – A wiesz, dlaczego są dystrybuowane tak, a nie inaczej? Bo taki rozkład jest najbardziej przypadkowy, zatem najbardziej prawdopodobny zgodnie z tą jego pieprzoną regułą przypadku! – Odstawiła szklankę na stół, rozchlapując reszt-

kę burbona. – A najgorsze, że tym wszystkim tylko udowadnia – podniosła palec do góry, jakby była na wykładzie – udowadnia, że żadnego higsona nie ma. Że to sztuczne komplikowanie obrazu rzeczywistości, a postęp nie polega na komplikowaniu, tylko na upraszczaniu – zacytowała tym razem z głowy. Musiała siedzieć z notesem Noah od rana. – A tu – w napięciu wertowała kartki moleskine’a – tłumaczy, że nie potrzebujemy bozonu, żeby mieć masę, że – zaczęła czytać. – „Bozon przeczy zasadzie brzytwy Ockhama. Masa powstaje w wyniku połączenia przestrzeni i czasu. Nie potrzeba tworzyć żadnych nowych bytów, żeby wyjaśnić wszechświat” – zamknęła zeszyt i rzuciła nim ze złością o podłogę. – Noah to koniec CERN-u – szepnęła zrezygnowana.

– Albo początek – powiedziałem. Myślałem już choćby o perspektywach, jakie otwiera samo odkrycie geometrycznego porządku w przyrodzie, nie mówiąc o regule w wydawałoby się losowych czy przypadkowych, jakkolwiek je nazwiemy, układach, rozkładach czy zdarzeniach. – Dlatego go zabiłaś? – usłyszałem swój głos. Przysięgam, nie kontrolowałem tego. Popatrzyła na mnie zirytowana.

– Głupi jesteś. Nic nie rozumiesz. Noah nikt nie zabił. – Rzeczywiście nie rozumiałem. Podniosła zeszyt i podała mi go. – Bierz – ponagliła. – Istnieją jedynie łańcuchy zdarzeń – wiedziałem, że cytuje Noah. – Nie ma zdarzeń niezależnych, nie ma zdarzeń przypadkowych. Wszystko jest po coś, każda rzecz, wydarzenie, każde życie, każda śmierć. Tylko nie zawsze od razu wiemy po co. Patrzyłem na nią bez słowa. – Nie ma przypadku, jaki znaleźmy. Nie ma go wcale – szepnęła. Milczeliśmy długą chwilę.

– Noah zabił ten nie-przypadek? – zapytałem z niedowierzaniem, a Francesca skinęła głową. – A może zabił się przez przypadek? Znowu kiwnięcie. Parsknąłem śmiechem, reakcja obronna, zdarza się. Wstałem i z notatnikiem przyjaciela pod pachą wy-

szedłem z pokoju, zostawiając Francescę nieruchomą i cichą, ze zmętniałym wzrokiem wbitym w ścianę.

12.

25.12.2011

Cmentarz w Zollikon, kanton Zurich

Zollikon to niewielkie miasteczko leżące na wzgórzu po wschodniej stronie Jeziora Zuryckiego, zaraz za granicą stolicy kantonu. Nigdy wcześniej tam nie byłem, dopiero dziś, kiedy przyjechałem na pogrzeb Noah. To w Zollikon po powrocie z Polski zamieszkała jego matka. Zajęta niewielki biało-niebieski dom z widokiem na korony wszechobecnych drzew i Zurichsee migoczącym w ich prześwitach. Chciała mieć syna blisko, dlatego wybrała dla niego cmentarz nieopodal domu, usytuowany na zboczu, z którego w słoneczne dni, jak mi powiedziała, widać odległą sylwetkę Alp i jezioro w całym jego surowym pięknie.

Mimo że śledztwo nadal trwało, dostałem od inspektor Hau-ser pozwolenie na wyjazd i przed świtem wyruszyłem z Meyrin. Dobrze zrobiła mi ta samotna podróż przez górzystą i pogrążoną w ciszy Szwajcarię. Miałem czas pomyśleć. Przypominałem sobie wspólne lata z Noah, nasze dzieciństwo na Mokotowie, pierwsze bójki, pierwsze miłości i pierwszego wypalonego za szkołą szluga. A potem czas, który spędziliśmy razem w CERN-ie. Letnie wypadki na Lazurowe Wybrzeże i zimowe weekendy w La Clusaz, Megève czy Chamonix.

Świadomość celu mojej podróży była odległa, majaczyła gdzieś na granicy pamięci. Nawet kiedy zaparkowałem samochód na zapchanym parkingu cmentarza w Zollikon i wysiadłem na dziesięciostopniowy mróz, szukałem Noah wzrokiem. Byli wszyscy, musiał być i on. Że to na jego pogrzeb przyjechałem, dotarło do mnie

w pełni, dopiero kiedy rzucałem garść zbrylonej ziemi na wieko dębowej trumny podpisanej jego imieniem.

Ceremonia była krótka. I piękna. Nie jeśli chodzi o słowa, które spływały z ust księdza, bo tych nie rozumiąłem, ale o ludzi. Stali odziani na czarno na tle wszechobecnej bieli śniegu, podnosząc do oczu białe chusteczki. Wszyscy płakali.

Mimo mrozu zostałem jeszcze, kiedy inni poszli. Usiadłem na ławce obok miejsca, gdzie złożono Noah. Patrzyłem na nagie korony drzew i odległe miasteczka wspinające się na zbocza po drugiej stronie jeziora. Wyszło słońce, zmrużyłem oczy, a dostrzegając na horyzoncie sylwetkę gór uśmiechnąłem się. Wtedy dotarło do mnie, że Francesca miała rację, choć jak i ja w tej chwili nie rozumiała wszystkiego.

Nie było żadnego mordercy. Był przypadek. A raczej reguła przypadku, niewidoczny na pierwszy rzut oka sens przenikający cały materialny i niematerialny świat. I był Noah, który szukał tego sensu w sfabrykowanej przez siebie ciemności i ciszy, największego, najbardziej skomplikowanego stworzonego ludzką ręką urządzenia na świecie. Tym, co znalazł, była śmierć. Rok wcześniej zabrała mu wszystko, co kochał najmocniej, zwracając to jednak tamtego ranka.

Pamiętam jedno zdjęcie z holu domku Noah. To, od którego zawsze odwracałem wzrok. Są na nim z Mią. Patrzą na siebie w ten sposób, w ten sekretny sposób.

Wstałem i zacząłem iść do samochodu. Na jednym z nagrobków mignęło mi znajome, jak sądziłem, nazwisko, dlatego cofnąłem się o krok i stanąłem przed granitową płytą. PROF. DR. WOLFGANG PAULI, WIEN 25 APRIL 1900, ZÜRICH 15 DEZ 1958, przeczytałem. Wielkie umysły odchodzą w grudniu, pomyślałem z uśmiechem, zatraskując za sobą furtkę cmentarza.

Całkiem przypadkiem.

Epilog

Na konferencji prasowej 4 lipca 2012 roku dyrektor Europejskiej Organizacji Badań Jądrowych CERN potwierdził detekcję bozonu Higgsa w ramach eksperymentów CMS i ATLAS w latach 2011–2012. Wyniki te poświadczono rezultatami dalszych eksperymentów publikowanych w ciągu kolejnego roku. W 2013 teoretycy, którzy przewidzieli istnienie bozonu, decyzją komisji noblowskiej otrzymali Nagrodę Nobla w dziedzinie fizyki. Zaraz po jej przyznaniu pojawiały się głosy krytyczne odnoszące się do wiarygodności odkrycia, m.in. w pracach Mieczysława W. Krasnego („The LHC excess of four – lepton events interpreted as Higgs – boson signal: background from Double Drell-Yan process?”) czy bardziej popularnych publikacjach Alexandra Unzickera („The Higgs fake. How particle physicists fooled the Nobel committee”).

Teorii reguły przypadku nigdy nie opublikowano.

O AUTORCE

Joanna Łopusińska (ur. 1984) – urodzona w Krakowie, mieszka w Warszawie. Laureatka konkursu na dramat współczesny ogłoszonego przez Krystiana Lupę w Starym Teatrze (2004) i konkursu prozatorskiego im. Zdzisława Morawskiego (2008). Autorka powieści kryminalno-obyczajowej powstającej pod roboczym tytułem: Śmierć i Małgorzata. Z wykształcenia plastyczka i egiptolożka, aktualnie dyrektorka w spółce projektującej wnętrza. Żona naukowca, właścicielka mini-świnki Loli.

Jakub Trzeciak

Demony

REKOMENDACJA ORGANIZATORÓW KURSU

Ma wszelkie zadatki na rasowego pisarza – w którąkolwiek stronę się uda, sięgnie po kryminał, thriller czy powieść obyczajową, stworzy wciągającą opowieść z pełnokrwistym bohaterem. Sprawny warsztatowo, unika pułapek zbędnych fraz i znakomicie buduje napięcie, co świetnie widać w jego opowiadaniu kryminalnym *Demony*. Warto mu się przyjrzeć, bo ma spore szanse na to, by dołączyć do grona popularnych autorów, a może i zdetronizować tych obecnych.

Na nagraniu jej twarz wydaje się ziarnista i wyblakła. Niepodobna do siebie, dopiero teraz wygląda jak przestraszone dziecko. Myślę, że właśnie taką ją widzi wpatrzona w ekran monitora Kaśka. Dla mnie Ada jest kimś więcej. Gdy słyszę dochodzący z głośników melodyjny głos, czuję, jak moje serce podchodzi do gardła („obiecałam, że nic nie powiem mamie. To nie było dla mnie trudne, bo nie miałam z nią bliskiej relacji”). Mówi spokojnie, bez zacinania się, jedynie czasem zerka na psycholożkę, która delikatnie kiwa głową, zachęcając dziewczynę, by kontynuowała: „Zaczęły się ferie, a ja, ponieważ miałam złe oceny, za karę nie pojechałam na narty. Wtedy zaczął przychodzić do mnie codziennie. Przedpołudniami, kiedy mama była w pracy. Początkowo tylko rozmawialiśmy, to znaczy – on dużo opowiadał o sobie. Ja raczej słuchałam. Głównie o tym, jakie miał okropne dzieciństwo, jak przez to jest mu teraz ciężko być normalnym. Jak się źle czuje sam ze sobą. Mówił, że brakowało mu męskiego wzorca. Nazywał mnie swoją jedyną przyjaciółką. Próbował mnie dotykać. Na początku był miły, miał w sobie coś takiego kruchego. Było mi go żal. Był jak mały chłopiec. Ale z czasem zaczął być coraz bardziej... zły. Wydaje mi się, że zauważył, że się nad nim lituję. Zaczął to wykorzystywać przeciwko mnie. Na początku prosił tylko, żebym go przytuliła, ale szybko się okazało, że chce coraz więcej. Ja tego nie chciałam, próbowałam mu tłumaczyć, że przecież jesteśmy jak rodzina...”. Chcę wam opisać Adę i nie chcę. Czuję, że powinno się to zrobić po wirtuozersku, jak malarz, który odgaduje zagadkę czyjegoś oblicza i potrafi je odtworzyć kilkoma niemal niedbatymi pociągnięciami pędzla. Niestety, nie tylko nie jestem artystą, ale wciąż nie mam pojęcia, jak rozwikłać zagadkę jej twarzy. Tej, w którą została uderzona, gdy: „W końcu kazałam mu się wynosić, a on się wściekł i na mnie napadł. Przewróciłam się na podłogę i wtedy – jej głos się załamuje – wtedy próbował mnie zgwałcić”.

Twarcz mojej zdolnej koleżanki – „aspirantki”, jak chce, by ją nazywano, Katarzyny Motylewskiej – jest równie błada jak twarcz na monitorze, a w jej oczach widzę wściekłość.

„Nie udało mu się to. Walczyłam bardzo długo. Tak mi się wydawało. Tak naprawdę trwało to pewnie kilka strasznych minut”. – Wszędzie te pierdolone zwyrole – mówi cicho, a ja – inspektor Boleśław Lichota, miło mi państwa poznać – na te słowa aż kulę się w sobie, mam ochotę rozptynąć się w powietrzu.

Demon objawił się dwa tygodnie wcześniej. To był ciemny poranek. Zbierało się na przedwiosenny deszcz. Nie lubię prowadzić, gdy zbiera się na deszcz. W takie dni trudno mi złapać oddech. Czuję się bezsilny, pełen lęku. Słyszę wtedy grający szpinet w mojej głowie. Niemal to widzę: moje omdlałe ręce wypuszczają kierownicę na najbardziej niebezpiecznym wirażu, a moje stopy w przetartych półbutach, nagle absurdalnie wypełnione otowiem, ani drgną, by dopomóc mi w uniknięciu czołowego zderzenia z morderczym drzewem. Oto ja – czujny, sparaliżowany idiota – nie zdążę nawet stracić przytomności, nim pień pogruchoce moją czaszkę.

Któż się nie obawia samospełniających się przepowiedni? Tym bardziej że wizja roztrzaskania się w smętnym, starym volkswagenie o skrzypiących klockach hamulcowych wcale nie wydaje się nierzeczywista. Czasem wręcz myślę, czy to nie jakaś nieprzychylna mi istota, demon żyjący w środku mojej głowy podsuwa mi możliwą drogę wyjścia. Wyobrażam sobie, jak z pełną premedytacją podejmuję opisany wyżej brawurowy kontrmanewr, bezwzględnie i skutecznie likwidując nękające mnie zjawy jednocześnie z innymi zbędnymi wspomnieniami, uczuciami, przeemyśleniami i tym całym galimatiasem, który składa się na moje okropne, bezwartościowe życie – aby chociaż zakończyć je z humorem, jakkolwiek banalnie. Demon ginie, a ja jestem wolny.

Już lepiej jak pada, jeśli chcecie znać moje zdanie. Wiem: być może problem nie leży w warunkach atmosferycznych. Być może i nie byłem w najlepszym humorze tego ranka.

Tym bardziej cieszyłem się, gdy chłopaki z komendy zaproponowały, bym jechał razem z nimi radiowozem, aby przyjrzeć się in locus delicti znalezionej przed niespełną godziną w urokliwym (do tej pory) zakątku Lasku Marcelińskiego denatce. Ponoć mocno zdekomponowana, zostałem uprzedzony. Już mieliśmy wychodzić, gdy zatrzymało mnie wołanie z gabinetu zastępcy. Wskazała na telewizor. „Brutalny mord w Poznaniu”. Najwyższa pora ruszać na polowanie. Już byliśmy spóźnieni.

Ścieżka wydawała się grząska od wilgoci, chociaż jeszcze nie padało. Z przykrością wspomniałem poranną czystość butów, idąc za dwójką młodszych sierżantów. Jak deptanie po wielkim ślimaku. Kilkadziesiąt metrów dalej, w pobliżu zarośli krzatali się technicy. Świeże listki na gałęziach. W oddali majaczyła rozległa polana – serce parku, gdzie psy miały swój wybieg, dzieci swoje huśtawki, biegacze pagórek do wbiegania i zbiegania w chemicznym zapale budowania kondycji, no a marzyciele – ci mogli usiąść na kocu i popatrywać to w niebo (dziś stalowoszare), to w oczy wybranki (dziś rano puste i martwe). Lasek Marceliński to kojąca plama zieleni wkomponowanej pomiędzy stadion miejski, ogródki działkowe oraz osiedla domków jednorodzinnych i szeregowców pobudowanych w okolicach portu lotniczego. Swego czasu władze miasta chciały tędy poprowadzić drogę szybkiego ruchu, a mój teść, komputerowy analfabeta, prosił mnie, abym w imieniu jego i psa Bombi (to cocker-spaniel) podpisał petycję w internecie przeciwko zakusom psujów. Zrobiłem to z przyjemnością, bo nie tylko lubiłem mojego teścia i powinowatego mi psa, ale i sam uważam to miejsce za wyjątkowe. Albo raczej uważałem – ktoś dzisiaj najwyraźniej postarał się popsuć mi moje miłe skojarzenia. Widziałem, że pod alejkę podjeżdża kolejny wóz transmisyjny

telewizji. Mineliśmy skupiony w pobliżu tłumek, odgradzony od miejsca zbrodni taśmą, i nieznanego mi wykidajkę w okularach księgowego i żółtej kamizelce z napisem „POLICJA”. Zauważyłem wśród gapiów jakiegoś szczyła machającego telefonem nad głową. Bez słowa wskazałem go krawężnikowi, aby ukrócił zapędy domorostego reportera. Pomachałem do dwóch innych młodzieńców w mundurach, zerkających ze zgrozą na pokiereszowane ciało. – Ej. Przecież ci ludzie nam tu wchodzą w szkodę. Proszę stąd usunąć widownię. Zamykamy całą alejkę – powiedziałem cicho, starając się przekazać chłopcom pełnię swojej dezaprobaty.

– Natychmiast.

Gdy zadamy człowiekowi tępym narzędziem kilka odpowiednio mocnych ciosów w głowę, zostaje z niej krwawa miazga. Krew, gwałtownie wyzwolona z kruchej szczelności żył i rygorów układu krążenia, załata ciało kobiety. Ubrana była w strój do biegania. Na podszewkach lekkich adidasów ciemna warstwa darni. Lat około czterdziestu. Włosy pofarbowane na efektowny blond, związane w koński ogon. Pokąśnych rozmiarów wyrwa z lewej strony czaszki, upstrzona charakterystycznymi śladami, które śniłyby się wam po nocach.

– Podbiegł od tyłu, ogłuszył, a później walnął jeszcze parę razy – postawił hipotezę sierżant Pniński. Sam również postanowiłem coś zaproponować: – Panowie, uprzejmie proszę stanąć trochę dalej, dajmy naszym specom popracować. Gabrys – zawołałem – daj znać, jak będzie można.

Mój kolega Gabriel Łuzyn, technik staranny i wnikliwy, krzątał się przy zwłokach i podniósł rękę na znak, że mnie słyszał. Widziałem, że niektórzy mundurowi majstrzy stroją miny, ale się grzecznie odsunęli, a w tym czasie techniczni uwijali się ze swoimi zabawkami.

Od głównej alejki dzieliło nas jakieś trzydzieści metrów. Ciało, na wpół wciągnięte w krzaki, od razu rzucało się w oczy i pierwszy biegacz lub psiarz przechodzący tędy dziś rano mógł odkryć (i odkrył) zwłoki, stawiając na nogi nasz pogrążony w weekendowym letargu komisariat. Oraz telewizję: ciało jeszcze stygło, a już cała Polska wiedziała o brutalnej napaści. Większość policjantów krążyła po lasu i jego najbliższych okolicach, wypatrując umykającego rzeźnika. Ci, którzy tkwili na miejscu zdarzenia, wyglądali, jakby ominęła ich obiecana zabawa w polowanie na grubego zwierza.

– I na co było biedaczce to całe bieganie? – pokręcił głową sierżant Kaczmarek, jakby nie mógł uwierzyć, że to takie proste kogoś zabić. – Ludzie teraz z tym powariowali. Nudziła mnie taka gadka. Tej kobiety nie wykończył sport. – Proponuję poszukać świadków – spojrzałem Kaczmarkowi-niedowiarkowi głęboko w jego małe oczka. Twarz mu stężała. Zanim na dobre zaczęło mnie mdlić na myśl o tym, jak tu zapanować nad tym przedszkolem, Gabrys przywołał mnie do siebie. Podszedłem, stąpając jak baletnica. – Spokojnie, tu już mamy posprzątane. Prawdopodobnie zaatakował ją na ścieżce, po czym przeciągnął ciało dostownie trzy metry dalej i rzucił w krzaki. Tu upadła – podążyłem wzrokiem za jego palcem – a on atakował dalej jak wściekłe bydlę. Dużo śladów w tym miejscu, zwłaszcza jeden bardzo wyraźny. Skurwiel miał porządne buty do biegania. Przyjrzałem się ściółce. Faktycznie, we wskazanym miejscu było aż gęsto od śladów, bruzd świeżej ziemi, jakby przed złożeniem niewinnej ofiary ktoś oddawał się szalonym tańcom pod dębami. – Dużo śladów krwi dookoła. Musiał uderzać z dużym impetem. Siła uderzeń wskazuje na mężczyznę. Rozmiar buta 43. Około metra osiemdziesiąt wzrostu – mrugnął. – Mhm, biały, Polak, katolik? W którą stronę uciekł? – Obstawiam, że w tamtą – Gabrys wskazał kierunek odwrotny do tego, z którego przyszliśmy.

– Przekazywałem to oczywiście drużynie. Ale jest możliwość, że gdzieś nawrócił na bocznej ścieżce. Aż tak wyraźnych śladów nam nasz Kopciuszek nie zostawił. Zapatrzyłem się na drogę zmierzającą do najbliższego wyjścia z lasu. Jak on tu się dostał? Czy zostawił samochód na parkingu pod parkiem i siedział w krzakach, czekając na przypadkową ofiarę? A może biegł za nią? – Są jakieś ślady roweru? – spytałem, ale Gabrys tylko uniósł brwi i nie zdążył odpowiedzieć, bo naszą uwagę nagle zwróciło zamieszanie, które wybuchło w zebrany u wyjścia alejki tłumku. Jakiś oszalały facet, ślizgając się na ściółce, ominął niczym rozpędzony rugbista stojącego na straży tamagę i wpadł prosto w strefę zamkniętą dla publiczności, wykrzykując jakieś niezrozumiałe słowa. Rozczochrane we wszystkich kierunkach włosy i wytrzeszczone oczy. Struchlałem – czy to zabójca, ukryty wśród gapiów, nie zniósł napięcia i postanowił się ujawnić? Zanim jednak dopadła do niego para mundurowych, którzy najszybciej otrząsnęli się z pierwszego zaskoczenia, zobaczyłem, jak facet osuwa się na kolana, łkając, zatając ręce i powtarzając żeńskie imię. – A ten tu skąd – mruknął Gabrys. „Moja żona” wrzeszczał ubrany w dres i eleganckie buty mężczyzna, wyrывая się podtrzymującym go policjantom. „To moja żona”. Wymieniliśmy z Gabrychem spojrzenia. To było aż za dobre odegranie roli zrozpaczonego małżonka. I skąd on wytrzymał te buty?

Nie mieliśmy żadnych świadków. Nikt nic nie widział, co można by tłumaczyć tym, że pora była wczesna, pogoda kiepska, a alejka, gdzie doszło do napadu, boczna. Nikt nie słyszał krzyków. Nikt nie zwrócił uwagi na zakrwawionego biegacza bądź rowerzystę, co tłumaczyłem sobie tym, że rozpędzonemu rowerzyscie potencjalni świadkowie ustępowali z drogi, a nie przypatrywali mu się, a biegacz mógł skryć się głębiej pomiędzy drzewami, tak po prostu.

Kaśka Motylewska też nie miała dobrych wieści: monitoring ulic, jaki zainstalowano wokół terenu lasku, był wybiórczy i nie dawał żadnej wskazówki, kim mógł być sprawca ani w jakim kierunku się oddalił. Szybko zrelacjonowałem jej swoje wrażenia z miejsca zbrodni. Staliśmy na korytarzu pod moim pokojem. Byłem poirytowany, bo mąż ofiary, posadzony w radiowozie, nadal tylko tkał, bełkotał o jakimś „dziecku” i nie mogliśmy z nim nawiązać jakiegokolwiek kontaktu, podczas gdy zabójca najprawdopodobniej coraz bardziej się oddalał. Chcieliśmy jak najszybciej ustalić krąg potencjalnych podejrzanych. Niestety nasz zrozpaczony Królik z Kapelusza początkowo nawet nie był w stanie podać ani swoich danych osobowych (Hubert Piątek, lat czterdzieści siedem, nauczyciel biologii), ani też danych zabitej małżonki (Małgorzata Hazelska, lat czterdzieści trzy, ginekolog). Siłą powstrzymałem się, żeby mu nie sprzedać jednego trzeźwiącego. Aspirantka Motylewska spojrzała na mnie z dezaprobatą.

– Trochę empatii, Bolek – powiedziała bez uśmiechu. – Tego faceta spotkała wielka tragedia.

Hubert Piątek dostał jakiś środek uspokajający i na szczęście już nie wrzeszczał ani się nie mazał. Siedział w moim gabinecie i patrzył w kubek z herbatą. Pomyślałem o empatii, pomyślałem o własnej żonie. Czy też bym się tarzał w błocie, gdyby to ją ktoś postanowił brutalnie zamordować podczas sobotniej przebieżki? Ta myśl wydała mi się tak irracjonalna i przykra, że od razu zacząłem rozważać całkiem inny scenariusz: pomyślałem, że ona postawiona w takiej sytuacji pewnie zachowałaby spokój. „Doigrał się”, prawie słyszałem jej głos. – Panie Hubercie – zagaiła Kaśka głosem niskim jak brzęczenie pszczoły – bardzo doceniamy, że zdecydował się pan przyjechać z nami na komendę. Obecnie trwają intensywne poszukiwania sprawcy, liczy się dostawnie każda chwila, a wszelkie informacje mogą nam pomóc go ująć.

Bardzo proszę, żeby pan spróbował się skoncentrować i udzielał rzeczowych odpowiedzi. W porządku?

Skinął głową. Rozsiadłem się wygodnie i obserwowałem delikwenta. Coś mi się w nim nie podobało. Ta fizjonomia: miał jasne, cienkie włosy, opadające na chudą twarz zakończoną ostro cienkim nosem, cały był cienki i chuchrowaty, a jednocześnie długoręki i krzywonogi jak wielka wychudzona małpa. Najpierw głęboko oddychał, patrząc w sufit, a następnie zaczął dukać: – Mieszkamy we troje, razem z córką Adą, przy samym lasku. Nasza uliczka nie ma nazwy, to jest przedłużenie ulicy Leśnych Skrzatów. Przy działkach. Nasz dom jest catoroczny. Moja żona często chodzi – skrzywił się płaczliwie – chodziła biegać w weekendy. Ja od rana byłem z córką na tenisie, jeździmy grać w każdą sobotę, na dziewiątą rano. Gramy pod namiotem, na Promienistej, jedziemy tam może dziesięć minut samochodem. Nie było nas jakieś dwie, dwie i pół godziny najwyżej. Kiedy wychodziliśmy, żona była jeszcze w domu i właśnie przebierała się w swój strój do biegania. O, Boże – zastonił twarz. Sposób, w jaki reagował, wydał mi się sztuczny i kanciasty, tak jakby bardzo starał się spełnić nasze oczekiwania co do przeciętnego zachowania zrozpaczonego wdowca. Z drugiej strony, wszyscy wychowaliśmy się na tym samym zestawie marnych środków wyrazu rodem z amerykańskich filmów i seriali. Najwyraźniej wcześniej przecenilem go jako aktora. Z rwanej opowieści pana Piątka wynikało, że po powrocie do domu nie zastał żony, co go zaskoczyło, bo zwykle jej bieganie zajmowało mniej czasu niż trening tenisowy. Telefon komórkowy zostawiła w sypialni, jak zazwyczaj. Zamierzał wziąć prysznic, ale w telewizji nadawano właśnie serwis informacyjny, w którym mowa była o zabójstwie kobiety w Lasku Marcelińskim. Jeszcze przez krótką chwilę wyglądał żony przez okno, po czym, „tak jak stał” – wybiegł z domu. To znaczy, założył buty, „pierwsze, jakie mu wpadły w ręce”, powiedział, bezradnie wskazując na niepasu-

jące do ciemnego dresu eleganckie pantofelki. Zobaczył z daleka grupę gapiów, a wtedy my zobaczyliśmy jego. – Proszę się spokojnie zastanowić – powiedziałem, pochylając się do niego bliżej – kto mógł dokonać tej zbrodni. Może ktoś, kogo pan zna? Ktoś z otoczenia pańskiej żony? Czy ktoś nie był może państwu nieprzychylny albo wręcz – zawiesiłem głos – nie groził... Podniósł na mnie przestraszony wzrok. Przez chwilę tak na siebie patrzyliśmy. Zamknął oczy i zaczął intensywnie kręcić głową: – Nie, nie... żadnych wrogów nie mieliśmy. A już zwłaszcza moja żona... Ginekolog bez wrogów? Trudno było mi w to uwierzyć. – A pana ktoś nie lubi? – nie mogłem sobie odpuścić. – Nie – szepnął. – Ja też nie mam żadnych wrogów – zawahał się – o których bym wiedział. Zapadła cisza. Facet zapadł się w siebie jak zakalec. – Od jak dawna byli państwo małżeństwem? – zapytała po chwili Kaśka z troską w głosie. Zastukałem nerwowo długopisem w rozłożony przede mną zielony skoroszyt. – W kwietniu byłyby trzy lata – wydusił z siebie Piątek. – To niedługo – zachęciłem go, ale nie podjął, tylko wzruszył ramionami małpy. – A państwa córka ile ma lat? – Czternaście... Ona tak naprawdę nie jest moją córką, tylko pasierbicą... Mamy bardzo dobrą relację, zamierzałem ją adoptować. Nadal zamierzam, jeśli to możliwe – mruzczał Piątek, nie patrząc nam w oczy. Zerknąłem na Kasię, ale ona patrzyła na Piątkę. – Zaraz, a pańska córka jest teraz w domu? Ktoś z nią jest? Nieszczęśnik zbladł i wytrzeszczył oczy, uświadamiając sobie grozę sytuacji. – Poinformujemy najbliższy patrol, żeby zajechał do pańskiego domu i sprawdził, czy wszystko w porządku. Proponuję, żebyśmy też tam pojechali – powiedziałem, wstając i sięgając po marynarkę, którą powiesiłem na fotelu. – A pan wcześniej będzie jeszcze łaskaw wykonać telefon do pasierbicy. Tak dla pewności – uśmiechnąłem się, w zamierzeniu kojąco. Wdowiec zaczął się wiercić na krześle, przeszukując kieszenie. – Wezmę kierowcę i może jeszcze kogoś do pomocy i dam znać, co dalej – powie-

działem półgłosem do Kaśki, biorąc ją na stronę – dowiedz się wszystkiego o denatce i o tym facecie. Motylewska skinęła głową. Piątek znowu był bliski płaczu. – Nie wziąłem telefonu. Nie pamiętam do niej numeru – powiedział z obtędem w oczach. Pokiwałem głową i chcąc mu delikatnie dać do zrozumienia, żeby się ruszył, położyłem rękę na jego barku. Jego dres na plecach wydawał się lepić od potu. Młodej na szczęście nic nie groziło, o czym zostaliśmy poinformowani już w drodze na Leśnych Skrzatów. Powiedziałem posterunkowemu, że zaraz dojedziemy, i się rozłączyłem.

– Chcielibyśmy się rozejrzeć po domu. Czy ma pan coś przeciwko? – siedzący ze mną na tylnej kanapie radiowozu Piątek pokręcił głową. Przede wszystkim musimy zbadać telefon zmarłej i ustalić, czy przed napadem z nikim się nie kontaktowała, zanotowałem w myślach, dla pewności nie mówiąc tego Piątkowi. Tymczasem on niespodziewanie się rozgadał, chociaż mówiąc, nie zwracał na mnie szczególnej uwagi. – Najbardziej żał mi Ady. To taka wyjątkowa dziewczyna – powiedział półgłosem. – Jak ona to znesie... Najpierw ojciec jej zmarł, gdy była małą dziewczynką, a teraz to... – Ma kogoś z rodziny, kto się może nią zająć? Spojrzałem na mnie z oburzeniem. – Ja się nią zajmę, to oczywiste. W Poznaniu nie mamy innej rodziny. Siostra żony mieszka w Gnieźnie, ale nie utrzymywały serdecznych stosunków. Jesteśmy z Adą bardzo życzliwi, nie wyobrażam sobie, że mógłbym ją gdzieś oddać. Traktuję ją jak córkę. Jak moje własne dziecko. Cóż za wzruszającą historię usłyszałem: początkowo dziewczyna nie akceptowała pana Huberta, gdy zaczął regularnie bywać u nich w domu jakieś trzy i pół roku temu, ale od tego czasu zrobili wielkie postępy. Na początku po prostu go unikała. Teraz można powiedzieć, że są przyjaciółmi. Uczy ją grać w tenisa. Oglądają razem seriale. Grają w gry planszowe. Często kupuje jej jakieś prezenty. Ostatnio planowali wziąć jakiegoś dużego psa, Małgosia w końcu dała się im namówić. Rodzinna sielanka. I nagle – taki szok. Gadał jak małą, która

nagle odkryła, że potrafi używać słów.– Naprawdę, kto mógł coś takiego zrobić – wyjęczał, a ja im częściej słyszałem to pytanie, tym bardziej nabierałem przekonania, że Hubert Piątek mi czegoś nie mówi.

Wyjątkowa Dziewczyna czekała na nas na ganku razem z dwoma policjantami. Smukła, duże oczy, krągłe usteczka. Typ małej modelki. Wiem, nie jestem malarzem. Patrzyła pytającym wzrokiem w stronę nadjeżdżającego radiowozu. Nowy Tatuś wysiadł z samochodu i porwał ją w ramiona, szepcząc uspokajające słowa. Ładnie razem wyglądali, zupełnie jak... ojciec z córeczką? Weszli do domu, zupełnie ignorując resztę towarzystwa, Ada zadawała Piątkowi płaczliwe pytania, a on, otaczając ją swoim węzowatym ramieniem, holował do domu i szeptał jej coś do ucha. Postanowiłem dać im chwilę. Droga gruntowa biegła na granicy lasu i osiedla. Po jednej stronie gęstwina drzew, po drugiej domy i domki. Wcześniej myślałem, że znajdują się tu tylko ogródki działkowe, ale posiadłość, w której zamieszkiwał Hubert Piątek, nie wyglądała na prowizoryczną budkę działkowca. Pomalowany na żółto dom był dość okazały, choć ogródek zdawał się nieco zaniedbany, tu i ówdzie poniewierały się jakieś narzędzia, szmaty niewiadomej proveniencji i zastosowania, obdrapane wiadro stało oparte o ganek. Za domem dostrzegłem pochyloną budkę wykonaną z dykty, prawdopodobnie pełniącą rolę składziku na narzędzia. Zwykła, niepozorna szopka, ale wzbudziła moją ciekawość. Chciałem zajrzeć do środka, gdy nagle z domu dobiegł głośny wrzask, a sekundę później zaptakana dziewczyna wybiegła frontowym wejściem, kierując się prosto w stronę ulicy. Zrobiłem dwa kroki w tył i zatarasowałem jej przejście do furtki. Zatrzymała się metr przede mną, zgarbiona, drżąc i pochlipując.– Kochanie – powiedziałem łagodnym głosem – nie wychodź. Tam może być niebezpiecznie. Patrzyliśmy na siebie przez chwilę. Miała wielkie, niebieskie oczy. Wytknęła coś niezrozumiałego. Niezdarnie próbo-

wałem ją uspokoić, kierując ją w stronę domu, skąd już nadbiegał zdyszany Piątek. – Chodź, Aduś, do domu, chodź. Nie ma sensu tam biec. Spokojnie, spokojnie – bezwolnie dała się odprowadzić z powrotem. Nie uszło mojej uwadze, że Piątek trochę się otrząsnął i przejął dowodzenie nad małą. Dałem znak towarzyszącym mi śledczym, by weszli za nimi do domu. „To moja wina” – chyba to usłyszałem, gdy zwróciła się do mnie przez łzy. Czy też ponosi mnie wyobraźnia? Nagle zorientowałem się, że jestem obserwowany. Przy płocie stał nieprzyjemny tysięcący osobnik o nalanej twarzy i czarnych zrastających się brwiach. Gdy go zobaczyłem, zaczął przywoływać mnie do siebie gestem, który w jego mniemaniu miał być chyba konspiracyjny, a mnie – przy tej jego fizis – wydał się obsceniczny. – Pst. A pan tu jakby nadzoruje czynności, prawda? – wymruczał. – Niektóre. A kto pyta? – nachyliłem się do niego. Był masywnym kurduplem, oczka rozbiegane. – Kukuliński Zbigniew, bo ja jestem somsiadem tych państwa – wskazał paluchem na dom. – Słyszałem w telewizji, co się stało, to panią Hubertową tak ktoś zamordował? – Śledztwo w toku – mruknąłem, nawet nie mrugnąłem.

– Bo wydaje mi się, że mogłem widzieć sprawcę. Spojrzałem zaskoczony. – Był pan w lasku? – Byłem rano, proszę pana. Z psem – wyjaśnił. – A jak wróciłem, to piłem kawkę w kuchni i patrzałem se przez okno. I nagle kątem oka widzę, jak jakiś dziwny gość biega po ich ogródku. To był taki nagły ruch, jakby ktoś przeskoczył przez płot. No to paczę w tę stronę, a on chyba pobiegł za dom, za krzakami ode mnie dobrze nie widać. Ale chwilę później już wyraźnie widziałem, jak wybiegł z posesji, tym razem przez furtkę, i poleciał dalej, tak jakby w stronę lasku. Strasznie mu się spieszyło. I miał ten kaptur na głowie. Przyjrzałem się sąsiadowi. – Która to była godzina? – Koto dziewiątej? Dziewiąta trzydzieści? – przewrócił oczami. Wydawały się tłuste. – Skoro widział pan podejrzanego mężczyznę, jak się kręci po ogródku sąsiadów, dla-

czego pan nie zawiadomił policji? – No bo widzi pan – Kukuliński mlasnął – wtedy jeszcze nie wiedziałem, że coś się stało, ale teraz tak jakby skojarzyłem fakty. Bo tamten gość, proszę pana, wprawdzie był w takim ciemnym dresie i miał kaptur na głowie, więc tak za dobrze go nie widziałem, ale przez moment mignęła mi jego twarz. I on wyglądał zupełnie jak pan Hubert. No i teraz właśnie zobaczyłem, że pan Hubert w takim dresie paraduje.

Spokojnie zapisałem dane niezwykłego sąsiada o niezwykłych zdolnościach obserwacyjno-analitycznych i poprosiłem go, żeby stawiał się na komendę w celu złożenia zeznań.

– Jeszcze jedno: czy pan Piątek dzisiaj rano wyjeżdżał gdzieś swoim samochodem? Sam albo z tą matą?

Kukuliński po głębokim namyśle stwierdził, że nie wie. Nie zwrócił uwagi, czy srebrny SUV Piątka stał od samego rana na podjeździe, czy też pojawił się tam dopiero później.

– Ale nie widziałem, żeby gdzieś dzisiaj zabierał swoją córeczkę. Na do widzenia podał mi rękę. Uściśnąłem ją z lekkim obrzydzeniem. Podszedłem do składziku na narzędzia; dyktowe drzwi otworzyły się z nieprzyjemnym skrzypnięciem. Skrzypiąca dykta, a to dobre. Zajrzałem do środka: jak się okazało, prawidłowo odgadłem zastosowanie pomieszczenia: zobaczyłem opartą o ścianę taczkę, ze skrzyni sterczały grabie do liści, miotły, diabelskie widły, plastikowa konewka stała w kącie. Żadnych ukrywających się morderców nie stwierdziłem, za to przyspieszony puls u siebie – i owszem. Już miałem wychodzić, gdy pod stertą krzesel ogrodowych dostrzegłem skrawek jasnej materii. Kucnąłem i zobaczyłem, że pod meble wciśnięto jakiś przedmiot zawinięty w szmatę. Wyciągnąłem z wewnętrznej kieszeni kurtki jednorazowe rękawiczki. Założyłem je i sięgnąłem w głąb. Rozpakowałem delikatnie zawiniątko. Zobaczyłem młotek. I krew, jeszcze lepką, na młotku i na materiale. Zgarnęliśmy Piątka od razu: w jego oczach leniwie podpyływająca żabką żałoba ustąpiła miejsca bezbrzeżnemu

zaskoczeniu rozbitka. Zabraliśmy jego i Adę na komendę. Obawiałem się, że dziewczyna trafi do pogotowia opiekuńczego, ale nieocenionej Kaśce udało się namierzyć mieszkającą w Poznaniu krewną Ady, o której Piątek zapomniał bądź nie chciał pamiętać: wiekowa, ale całkiem na chodzie ciotka zgodziła się objąć podlotka opieką. Piątek, który od momentu poinformowania go o znalezisku w szopce przestał się odzywać, został odprowadzony na noc do aresztu.

Czyja krew zdołała banalne narzędzie, tego jeszcze nie wiedzieliśmy, ale jak wiadomo, gwoździe raczej nie krwawią. Na analizę DNA musieliśmy trochę poczekać, szybko jednak udało się nam potwierdzić, że obrażenia, jakich doznała denatka, mogły pochodzić od ciosów młotkiem, a odbliski palców znalezione na trzonku najprawdopodobniej należą do Huberta Piątka. Jego sytuację pogarszał również fakt, że krew nie zdążyła jeszcze zaschnąć do końca, co wskazywało na to, że młotek został użyty najwyżej przed kilkoma godzinami. Dokładając do tego zeznania Zbigniewa Kukulińskiego, który na komendzie potwierdził, że widział, jak jego sąsiad kręci się po swoim ogródku, w czasie gdy miał jakoby grać w tenisa, mieliśmy solidne podstawy do wystąpienia z wnioskiem o tymczasowe aresztowanie.

Przyznaję, że miałem pewien kłopot z tym cholernym młotkiem. Dlaczego, skoro zaplanował zabójstwo żony, nie pozbył się narzędzia zbrodni? Nie spodziewał się, że od razu przeszukamy jego dom i zostawił sobie to zadanie na później? Chciał mieć pamiętkę? No bo jakie leśne skrzaty mogły podrzucić Piątkowi zakrwawiony młotek do jego ogródka? Jeśli ktoś próbuje go zrobić, dlaczego Piątek nic nie mówi?

Kolejnego dnia załatwiliśmy od prokuratora postanowienie o postawieniu zarzutów, a Piątkowi, jako podejrzanemu w sprawie o zabójstwo, przydzielono adwokata z urzędu. Jak się okazało, podejrzany ze swojej skromnej pensji nauczyciela licealnego

nie jest w stanie pozwolić sobie na zatrudnienie żadnej z gwiazd lokalnej palestry. Przyszedł młody adwokacina, usiedliśmy razem we trzech, poinformowano mnie o tym, o czym już wiedziałem: że pan Piątek korzysta z prawa do odmowy składania wyjaśnień, a ja poinformowałem pana Piątka, że zostaje zgodnie z postanowieniem sądu tymczasowo aresztowany w związku z wysokim prawdopodobieństwem popełnienia przez niego przestępstwa zabójstwa. Piątek nie odzywał się, tylko spojrzał na mnie wzrokiem udręczonego zwierzęcia. Zdawało się, że prosi mnie tym spojrzeniem o pomoc, o jakieś wstawiennictwo. – Nie mogę nic zrobić, jeżeli będziesz milczał – powiedziałem do niego cicho. Coś w jego twarzy drgnęło, ale musiał zwalczyć ten impuls, bo nic nie powiedział, gdy strażnicy wyprowadzali go z pokoju.

Dowiedziałem się od odbierającego zeznania policjanta, że poza protokołem Zbigniew Kukuliński poczynił uwagi na temat rzekomo niezdrowej relacji pomiędzy wdowcem a jego pasierbicą, nie dał się jednak przestuchującemu pociągnąć za język, co konkretnie ma na myśli. Ten wątek dość mocno mnie zafrapował, wiązał się bowiem z kwestią ewentualnego alibi Piątka. W c z e śniej – w czasie gdy chłopaki wyprowadzali Piątka w kajdankach z jego domu, wspiałem się na górę.

Jej pokój był typowym pokojem nastolatki – melancholia odchodzącego w zapomnienie dzieciństwa mieszała się z aurą tak zwanej burzy hormonów: plakaty z umięśnionymi śpiewakami, kiczowate rysunki, pluszaki, a także rzucona na półkę naga lalka Barbie bez głowy. Zasuszony kwiatek, trochę kiepskich książek i czasopisma dla kobiet. Komputer. Malinowa narzuta na skotunionym łóżku. Walające się ubrania – plisowana spódniczka na poręcz krzesła. Rakietka w pokrowcu i samotna, wytłuszczona ze starości piłka tenisowa. Wyobraziłem sobie, jak Ada w krótkiej sukience, w pełnym słońcu, uderza soczyście żółtą piłkę i rozlega się ten świeży, hipnotyczny odgłos pękającego owocu; wyobraziłem

sobie, jak tata Hubert instruuje ją, jak ma ułożyć ciało do bekhen-du, pod pozorem korygowania jej postawy kładzie na nią swoje matpie dłonie; wyobraziłem sobie to wszystko.

Motylewska zajęła się zebraniem informacji o Piątku i sprawdzeniem jego alibi: właściciel namiotu potwierdził, że Piątek z córką przyjeżdżali na kort co sobotę o dziewiątej rano, a ponadto poinformował, że są z Hubertem kolegami jeszcze z czasów studiów. Ironią losu było to, że te koleżeńskie stosunki rzuciły cień na alibi Piątku, albowiem jako zaufana osoba Piątek miał własny klucz i w tę sobotę sam sobie otwierał namiot – jego kolega lubił w weekendy dłużej pospać. Kaśka zdobyła też namiary na parę tenisistów – małżeństwo w średnim wieku – którzy byli zapisani na tę samą godzinę i zazwyczaj grali na równoległym korcie, jednakże okazało się, że nasi potencjalni świadkowie akurat wtedy opuścili trening, ponieważ wybrali się na wycieczkę do Karpacza.

Z wywiadu środowiskowego wynikało, że Hubert Piątek i Małgorzata Hazelska byli zgodnym, kochającym się małżeństwem. Nie mieli rozdzielności majątkowej. Zmarła zarabiała zdecydowanie więcej i dysponowała znacznie większym majątkiem osobistym, w tym oszczędnościami odziedziczonymi po swoim pierwszym mężu, który zmarł prawie 11 lat temu. Kredyt na dom był już niemal w całości spłacony. Mieli też dwa samochody, każde swój – najwyraźniej żona kupiła mężowi drogiego SUV-a w prezencie. – A teraz on razem z Adą podzielił się sporym majątkiem – mruknąłem, przerzucając papiery. – I to ma być motyw, panie inspektorze? – Kaśka nie była przekonana. – Poza tym ma śliczną pasierbicę. Może chciał ją mieć tylko dla siebie. Motylewska skrzywiła się całą sobą. – I dlatego miałby zabijać jej matkę? To dopiero bzdura. Skąd w ogóle ci to przyszło do głowy? – Kiedyś – podrapałem się w głowę – czytałem taką książkę. Też grali w tenisa. – Ale to przecież niedorzeczne ze strony tego faceta. Musi przecież wiedzieć, że spytamy Adę, czy była z nim tego ranka na

tenisie. Spojrzeliśmy na siebie z pewnym niedowierzaniem, bo najwyraźniej przyszło nam na myśl to samo. – No chyba – mruknęła Kaśka – że ta dwójka działa razem. Każde z nas przez moment milczenia obracało w myślach tę koncepcję. – Ale – westchnęła – uważam, że ta teoria jest bardzo wydumana.

Miałem własne zdanie na ten temat. Kolejne dni były ciężkie. Mam na myśli: ciężkie dla mnie, osobiście. W mojej głowie ktoś wygrywał cichy, ponury motyw na szpince. Parokrotnie budziłem się w tym okresie nad ranem z wieloznacznych snów, cały zasapany, jakby to mnie goniono po lesie z młotkiem, a ja nie wiedziałem, kto to i za co. Moja żona patrzyła na mnie podejrzliwie, tak jakby mogła zobaczyć w moich oczach czającego się tam demona. Wtedy odwracałem wzrok.

W celu weryfikacji alibi Piątka jego pasierbica miała zostać przesłuchana, ze względu jednak na jej wiek czynność ta powinna zostać przeprowadzona jednokrotnie, i to w obecności psychologa. Postanowiliśmy wstrzymać się jeszcze parę dni. Z oczywistych względów dziewczyna na pewno znajdowała się obecnie w złym stanie psychicznym. Mogła się załamać w czasie przesłuchania i nazmyślać, namieszać nam w śledztwie. Wydawała się być pod silnym wpływem ojczyma. Podobno mocno protestowała przeciwko oddaniu jej pod opiekę ciotki. Poza tym naszym celem było maksymalne rozwianie wątpliwości związanych z działaniami i motywacjami Piątka, a przesłuchanie Ady miało potwierdzić to, czego można się było domyślać na podstawie reszty materiału dowodowego. Czekaliśmy na wyniki sekcji zwłok i analizę z laboratorium, która, nie mieliśmy wątpliwości, potwierdzi wszystkie dotychczasowe ustalenia, a wówczas przesłuchanie Ady byłoby wisienką na torcie aktu oskarżenia: to Hubert Piątek, z nie do końca zrozumiałych dla normalnego człowieka powodów, postanowił bestialsko zamordować swoją żonę. W ciągu najbliższych kilku dni miał on zresztą również zostać poddany przez biegłego psy-

chologa badaniom na okoliczność, czy wszystkie klepki są u niego na miejscu. Szczerze w to wątpię, zwłaszcza gdy przypominat mi się zawinięty w szmatę młotek.

Wątpię i myślałem. Kombinowałem i krążyłem wokół tematu. Miałem nowe dochodzenia na głowie, ale nie mogłem się na nich skupić. Ta jedna sprawa wciąż nie dawała mi spokoju jak zły sen. Toczyłem się swoim brudnym samochodem po mieście bez celu i planu, chaotycznie, tak jak myśli w mojej głowie. Czar-ny dźwięk szpinetu. Czy to instynkt, czy przypadek, czy podszept demona spowodował, że pojechałem tam, gdzie pod żadnym po-zorem nie wolno mi było się kierować?

Dom wyglądał na opuszczony. Z pewnym wahaniem za-dzwoniłem do drzwi, otworzyła mi ona we własnej osobie. Nie wyglądała na zaskoczoną. Poczutem nagłe skrępowanie, gdy skłamałem, że „przeprowadzam czynności”, i zapytałem, czy jest sama. – Ciocia musiała pojechać do siebie na osiedle, nakarmić bezpieczeństwa koty – przewróciła oczami. Wiedziałem, że ciocia wyszła. Długo wcześniej siedziałem w moim samochodzie, ob-serwując wejście. Staliśmy w progu. – Mogę wejść? – spytałem; najwyżej odmówi – a jeśli nie, miałem zamiar jej zadać parę pytań poza protokołem. Ada tylko wzruszyła ramionami i odwróciła się, idąc w głąb domu. Wsunąłem się do środka, zamykając pośpiesznie za sobą drzwi, jakbym sam planował popełnić przestępstwo. Dziewczyna zaprowadziła mnie do pokoju dziennego i posadziła na dużej, fioletowej kanapie. Spytałem, jak się trzyma. Tylko wzru-szyła ramionami. Wyglądało, jakby dawała sobie radę nadspodziewanie dobrze. Usiadła obok. A może to ona usiadła pierwsza, a ja usiadłem obok? – Przychodzę tutaj w zasadzie po to, żeby poroz-mawiać z tobą o twoim ojczymie. – W zasadzie, to chyba nie mu-szę z panem o tym rozmawiać – przekrzywiła głowę, przyglądając mi się badawczo. – Nie musisz, oczywiście. Ale, mam wrażenie, że byś chciała. Tylko westchnęła. Spróbowałem jeszcze raz: – Gdzie

byłaś w sobotni poranek, kiedy to się stało? Chwilę milczała, po czym wolno odpowiedziała: – Z Hubertem. Na tenisie. Cały sobotni poranek spędziliśmy razem. On jest dobry. Stara się. I nie ma nic wspólnego ze śmiercią mamy, kto w ogóle wpadł na taki genialny pomysł. – Ja – warknąłem, czując narastającą irytację, że ta czternastolatka najwyraźniej potrafi mnie speszyć. – Dobrze dogadywałaś się z mamą? Spojrzała na mnie oburzona. Ja sam czułem się coraz bardziej idiotycznie. Próbowiałem nadać mojemu żenującemu zachowaniu pozory profesjonalizmu: – Będziemy cię chcieli przesłuchać na komendzie. Nie musisz się tego obawiać, to przesłuchanie przeprowadzi moja koleżanka, która jest bardzo miłą osobą. Przy przesłuchaniu będzie też obecna pani psycholog. – Sprawdziłam to w internecie. Wcale nie muszę zeznawać. A pan – uśmiechnęła się beczelnie – powinien mnie o tym poinformować. Niezła była. Czułem, że zaraz mnie trafi szlag. – Jasne, poinformujemy cię o tym. Przed twoim przesłuchaniem, na komendzie. Mam nadzieję, że jednak będziesz zeznawać. Jeśli nie masz nic do ukrycia, to powinnaś. – Moim zdaniem to tak nie działa – wyrwała oczami. – Nie chcę zeznawać i nie pójdę z panem na komendę. – Nie teraz, nigdzie cię nie zabieram – próbowałem się sympatycznie uśmiechnąć, ale czułem, że efekt jest raczej demoniczny. – Przesłuchanie będzie najszybciej w przyszłym tygodniu. Spokojnie o tym pomyśl. Bardzo liczymy na twoją pomoc. – Wypuście Huberta – powiedziała, pochylając głowę w moją stronę. – Wtedy mogę zeznawać. – Nie będę się z tobą targował – wyszeptąłem. Była tuż obok. Moja ręka, obserwowałem ją jak coś nienależącego do mnie, podniosła się powoli z moich kolan i wylądowała ciężko jak pokraczny ptak wodny na jej udzie. – Ej, koleś – powiedziała ostro – co ty wyprawiasz. Cofnąłem rękę. No właśnie, dobre pytanie. – Przepraszam. W pokoju zapadła bolesna cisza. – Wyjdź stąd – powiedziała. Pomyślałem, że właśnie na cienkim włosku zawisa moja kariera, być może też

moje życie rodzinne. Nie mogę brnąć dalej, nie mogę w całości się zanurzyć w tym szaleństwie. Wiedziałem to, ale mimo to z powrotem delikatnie położyłem rękę na jej nodze. – Powiedz mi, co wiesz – powiedziałem strasznym szeptem – wtedy wyjdę i mnie więcej nie zobaczysz. Musiałem mieć szalony wzrok, bo wiedziałem, że aż się wzdrygnęła, kiedy napotkała moje spojrzenie. – Ty jesteś jakiś nienormalny – powiedziała z odrazą. – Może i jestem. Ale chcę się dowiedzieć, dlaczego kryjesz mordercę swojej matki. Przez moment wydawała się być bliska też, ale zwańczyła ten impuls, i potrząsnęła głową. – Nie powiesz, to nie wyjdę – powiedziałem tagodnie. Czuję, jak dudni moje serce. Ada spojrzała na mnie bez strachu. – Dobrze – skinęła głową. – Powiem ci. Choć Hubert prosił, żebym nie mówiła.

Trzy godziny później siedziałem razem z Kaśką w nieoznakowanym wozie zaparkowanym w cichej jeżyckiej uliczce. To w jednej z odrapanych kamienic, stojących rzędem wzdłuż chodnika, namierzono sygnał telefonu komórkowego osoby, która tydzień wcześniej najprawdopodobniej zamordowała Małgorzatę Hazelską. Padał lekki deszcz, a między nami panowało napięte milczenie. Dochodziła godzina dwudziesta druga. – Nie bardzo rozumiem – odezwała się w końcu Motylewska, patrząc na mnie badawczo – jak to się stało, że się znalazłeś w domu Ady i ją sobie tak po prostu przestuchałeś. – Powiedzmy, że kierowałem się instynktem – mruknąłem, obserwując sytuację przez przednią szybę. Dwóch policjantów przed chwilą weszło do środka i spodziewaliśmy się zaraz zobaczyć, jak wyprowadzają z bramy podejrzanego w kajdankach. – I mam wrażenie, że gdybym tego nie zrobił, to skazano by niewinnego człowieka. – Dziwi mnie, że czternastolatka wpuściła obcego faceta do domu. Ja bym nawet

teraz nie zrobiła czegoś takiego. – Wszystko jedno, Kacha. Dziewczyna jest nietypowa. Aspirantka Motylewska już nie drążyła tego tematu. – Dlaczego ją zabił? – spytała cicho. – To nieszczęśliwy, zaburzony chłopak. Miał wcześniej problemy z narkotykami, ze szkołą, z pracą. Jest chory – mówiłem, patrząc przed siebie – Ale przede wszystkim jest chory z nienawiści. Myślę, że oni nie spodziewali się, że jest aż tak niebezpieczny. Nie przyszło im do głowy, że mógłby być mordercą. – W pierwszej chwili może nie – Kaśka złapała się za ucho – ale żeby im wcale to nie przyszło do głowy? – Myślę, że w końcu przyszło. Zrozumieli, że to była forma zemsty. Ale Piątek mimo to nie chciał go wsypać. Bo go gryzą wyrzuty sumienia. Kocha go, mimo że na pewnym etapie się go wyparł. Sebastian wychowywał się, nie wiedząc, kto jest jego ojcem. Piątek przesyłał jego matce pieniądze, a później, gdy zaczęły się te wszystkie problemy z narkotykami, wyciągał go z nich. Nie chciał tylko, żeby jego żona dowiedziała się o tym, że ma na karku nieprzewidywalnego socjopatę. Poza tym Sebastian ma ogromne długi, które Piątek prawdopodobnie chciał spłacić z pieniędzy Hazelskich. – Kocha go do tego stopnia, że chciał wziąć winę na siebie, gdyby okazało się, że Sebastian jest w to morderstwo zamieszany? I to mimo że Sebastian podrzucił ten młotek, żeby jeszcze bardziej poniżyć i skrzywdzić ojca? – Taki z niego miły gość. Prosił Adę, żeby nie wyjawiała policji ich tajemnicy. Ale ona – spojrzałam na Kasię – postanowiła mi jednak wszystko powiedzieć. – Ada była świadkiem awantury, gdy Sebastian przyszedł do ojca? – Tak – potwierdziłem – to była ta ich wspólna tajemnica. Sebastian przyszedł do ich domu krótko po ślubie Piątka z Hazelską. Piątek przepędził chłopaka, kazał mu się więcej nie pokazywać w jego domu, a Adę namówił, by nic nie mówiła matce o chłopaku. Ada nie powiedziała matce o Sebastianie, ale też Piątkowi nie powiedziała o tym, że zaczęła się potajemnie spotykać z jego synem. Kiedyś ją zaczepił pod szkołą, a później ją nachodził w domu pod

nieobecność Piątka. Nie wiedziała, że jest niebezpieczny. Impo-
nowało jej, że starszy o sześć lat chłopak się nią interesuje. Ona
też czuje się winna, że doprowadziła Sebastiana do zbrodni. – My-
ślisz, że to Sebastiana widział tego dnia Kukuliński? – Ada mówi,
że syn jest bardzo podobny do ojca, a z pewnej odległości można
się pomylić. Zresztą Kukuliński to typ skurwysyńskiego donosicie-
la. Tak naprawdę gównu widział. A wiesz, co jest najgorsze? Że
Sebastian pewnie i tak nie odpowie za to, co zrobił, bo ma żółte
papiery. Chciała coś odpowiedzieć, ale nagle brama kamienicy się
otworzyła i wysoki mężczyzna o długich kończynach wybiegł na
ulicę. – To on? Gdzie są chłopaki? Czarna sylwetka zaczęła się
oddalać. – Kurwa, co się dzieje? Sierżancie?! – Motylewska pró-
bowała potęczyć się z parą fuszerów przez radio. – Pani inspektor,
podejrzany się nam wymknął – usłyszeliśmy zdenerwowany głos
sierżanta Świtalskiego. – Zatrzymajcie go na dole! Odpaliłem silnik
i ruszyłem w stronę uciekającego widma. – Jak to wymknął?! Nie
wierzę – jęknęła Kaśka. – Masz broń? Skinąłem głową. Widzia-
łem naszego zbiega, który szalonym zygzakiem przecinał jezdnię.
Dodałem gazu, odbijając kierownicą w lewo, by zatarasować mu
drogę, ale zanim zdążyłem zahamować, Sebastian K. rozpaczli-
wym susem wpadł prosto pod maskę naszego samochodu, który
z całym impetem go uderzył. – Zabiłeś go – głos Kaśki w ciszy,
jaka nagle zapadła, dźwięczał mi w uszach. Muzyka ustała.

O AUTORZE

Jakub Trzeciak (ur. 1985) – urodził się i mieszka w Poznaniu. Już się na-
czytał, teraz będzie pisał. Wcześniej ograniczał się do SMS-ów, opowia-
danie *Demony* to jego debiut literacki. Lubi i psy, i koty. Docenia stońce
i wygłupy. Nie pojmuje, dlaczego nie został muzykiem rockowym. Pracu-
je jako radca prawny.



Bartosz Chandoszko

Hotel Venus

Wszystkie miejsca, postacie i zdarzenia są całkowicie fikcyjne. Wszelka zbieżność imion, nazwisk, miejsc i zdarzeń jest całkowicie przypadkowa i nie była zamiarem autora.

Deszcz na pięćdziesiątym drugim równoleżniku to nic niezwykłego. Szczególnie w listopadzie. Tomasz jechał już nieprzerwanie od ponad siedmiu godzin. Nie czuł się jeszcze zmęczony, ale wiedział, że będzie musiał za chwilę zatrzymać się na nieubłagany postój. Nie chciał kombinować przy swoim tachometrze. Jeden kierowca z jego firmy wyleciał dwa miesiące temu z powodu takich przeróbek. Podobno mógł jechać wtedy po piętnaście, siedemnaście, a czasem nawet dwadzieścia godzin. Dzięki temu robił więcej kursów niż ktokolwiek inny w firmie i pewnie nikt by się nie połapał, gdyby nie przytarł samochodu. Twierdził, że to ten drugi facet zjechał ze swojego pasa, ale prawda była taka, że pewnie skleił na chwilę oko. Tomek wiedział, że zdarza się to każdemu, kto tyle jeździ. Trzeba tylko trzymać kciuki, żeby stało się to na pustej drodze, bo co innego pozostaje. Miał jeszcze około pięćdziesięciu kilometrów do swojego ulubionego postoju. Dokonał w pamięci szybkich szacunków i wyszło mu, że jeśli trochę nie przyspieszy, nie dojedzie w dozwolonym czasie pracy. Kro-

ple deszczu z każdą chwilą stawały się coraz bardziej natarczywe. Wycieraczki chodziły z lekkim piskiem na najwyższych obrotach. Mimo to ich praca była syzyfowa. Droga stawała się z każdą chwilą coraz bardziej rozmazana. W radiu zaczęła lecieć trzeci raz najnowsza piosenka o tym, jak miłość jest piękna i zmienia wszystko. Tomasz poczuł się znużony. Przemknęło mu przez myśl pytanie, ile razy musi jeszcze wysłuchać tej piosenki, zanim zacznie jej szczerze nienawidzić.

– „Siedem. Jeszcze siedem razy i dostanę pierdolca” – mruknął do siebie.

Wyciągnął prawą rękę, żeby zmienić stację. Radio krótko zatrzeszczało i złapało jakąś zanikającą stację. Nie było słychać nic poza trzaskami i pojedynczymi słowami. Wcisnął ponowne wyszukiwanie. Kolejna miała odbiór czysty, bez najmniejszych zakłóceń. Z głośnika popłynęło gromkie „Ojciec nasz”. Dłoń samowolnie powędrowała w kierunku radia. W tym momencie kątem oka za zalewaną wodą szybą dostrzegł cień. Czarnoszary kształt wypadł na drogę tuż przed maską jego tira. Tomasz wcisnął hamulec. Wszystkie systemy bezpiecznej jazdy rozszalały się jednocześnie. Nie było szansy, aby usłyszał pisk opon. Wpadł w poślizg od pierwszej sekundy. Pies skoczył w stronę rowu, ale nie miał szans umknąć przed rozpędzoną ciężarówką. Usłyszał miękkie plaśnięcie i prawe światło zgąsto.

Hamowanie trwało jeszcze trzy długie sekundy. Kierowca z trudem opanował samochód. Gdy tylko się zatrzymał, od razu włączył światła awaryjne. Wziął głęboki oddech. Na szczęście nie stracił kontroli nad pojazdem. Ręce mu się trzęsły, ostatnio źle znosił stres. Wziął jeszcze dwa wdechy i sięgnął do schowka po latarkę. Musiał oszacować straty. Uderzył w coś i chyba uszkodził prawy reflektor.

Gdy tylko otworzył drzwi, krople deszczu wraz z zimnym wiatrem zaczęły smagać go po twarzy. Wciągnął na siebie kurtkę i ze-

skoczył na asfalt. Latarka nie dawała dużego strumienia światła, jednak nie miał nic lepszego pod ręką. Ostrona reflektora i żarówka były stłuczone, a blacha wgnieciona na około dwa centymetry. Wychylił się zza auta, tak aby widzieć miejsce zdarzenia. Strumień światła z latarki był jednak zbyt słaby, aby oświetlić całą drogę. Rozejrzał się po okolicy. Dookoła były tylko puste pola i szpalery drzew. W odległości kilkuset metrów widać było pierwsze światła zabudowań. Zastanowił się, co go podkusiło, żeby pojechać skrótem przez okoliczne wsie. Odszedł kilka metrów od naczepy, ale na drodze nie było żadnego śladu. Żadnej krwi, nic. Zwierzak musiał uciec do rowu. Tomasz poświecił w tamtym kierunku. Trawy były długie i jeszcze ciągle zielone. Zaczął przechadzać się wzdłuż drogi. Żaden burek nie miał szans przeżycia zderzenia z kilkudziesięcioma tonami. Jedyne, co mogło się zdarzyć w takim wypadku, to pozorna ucieczka zwierzaka. Pies w szoku jest w stanie jeszcze przejść spory kawałek drogi, a zdycha dopiero gdzieś pod płotem. Mimo wszystko Tomasz wypatrywał czworonoga, może jest jeszcze szansa jakoś mu pomóc. Coś odbiło światło latarki zaraz na początku spadku rowu. Im bardziej się zbliżał, tym odbłask był wyraźniejszy. Przykryty częściowo liśćmi, częściowo zagrzebany w ziemi leżał smartfon. Miał stłuczoną szybkę, ale w zupełności tu nie pasował. Nikt nie wyrzuca takiego urządzenia przez szybę jadącego samochodu. Tak przynajmniej wydawało się Tomaszowi. Deszcz trochę stracił na intensywności, jednak nie dawał o sobie zapomnieć nawet na chwilę. Kierowca schylił się, żeby wydobyć z ziemi znalezisko. Gdy ujął telefon w dłoń, ten nagle zaczął wibrować. Ciągle działał. Tomek wyprostował się gwałtownie i jego prawa stopa nagle odjechała w bok na mokrej trawie. Z głośnym plaśnięciem usiadł w błocie. Zjechał kilka centymetrów w dół rowu z przeciągłym przekleństwem na ustach. Utrzymał latarkę w ręku, choć przez chwilę oświetlała tylko niebo. Gdy udało mu się w końcu opanować, kolejny raz coś przykuło jego uwagę.

Tym razem najpierw to usłyszał. Miarowy dźwięk uderzania setek kropel deszczu o grubą folię. Skierował światło latarki w kierunku, z którego dochodził odgłos. Przed nim leżała gruba, sztywna folia, po której spływały strumienie wody. Tomaszowi wydało się, że spod czarnej płachty wystaje dłoń o delikatnej bladej cerze.

To nie był dobry dzień dla Maćka. Miał umówione trzy spotkania w Radomiu i okolicy. Jedno z architektem, który miał obsługiwać świeżo ogłoszony projekt odrestaurowania jednej z głównych ulic w mieście. To poszło nie najgorzej, po krótkiej rozmowie osiągnęli porozumienie. Jego rury stały się rekomendowanym materiałem, który najlepiej pasował do specyfikacji technicznej. Wydawało się, że projekt jest zabezpieczony. Nie mógł mieć pewności, bo po wygraniu przetargu wykonawcy często starali się zmieniać materiały na tańsze. Coraz częściej im się to udawało. Projektanci i zlecający często dawali się przekonać kilkuprocentowymi oszczędnościami. Przecież tańszy materiał wytrzyma z dziesięć lat, a kto by się przejmował tym, co będzie za dekadę. To przynajmniej dwie kadencje. Zawsze można będzie tłumaczyć się, że nieprzewidziane warunki atmosferyczne spowodowały uszkodzenia. Na przykład takie trzęsienie ziemi. Z drugiej strony trzęsienia ziemi w Polsce to rzadkość. To może mróz, no przecież nikt w Polsce nigdy nie mógł przewidzieć temperatury poniżej zera stopni. Najgorsze w tym wszystkim było to, że konkurencja nie spała. Maciek musiał przyznać, że powoli traci przewagę technologiczną. Materiały Rurexu były już tylko trochę gorszą od jego, a o połowę tańsze. Jak tak dalej pójdzie, nie będzie miał jak konkurować, jeżeli centrala nie obniży cen. Właśnie to spotkało go na dwóch następnych spotkaniach. Wykonawcy – cwaniaki przekonali właściciela, że mogą zrealizować projekt po tak niskiej cenie, jeśli tylko zamie-

nią materiały na tańsze. I tak po prostu wykreślili go z projektu. Dwa kontrakty po blisko pięćdziesiąt tysięcy poszły się kochać tylko dlatego, że zamawiający samorząd zawsze wyciska z wykonawców jak najniższą cenę. Maciek w sumie już nie wiedział, czyja to wina. Jakby tego było mało, pokłócił się jeszcze z Patrycją, która stawiała się coraz bardziej nerwowa. Narzekła, że ciągle go nie ma. Marysia nie daje jej spokoju, bo jeszcze nie umie się sama sobą zająć, a mały w brzuchu zaczyna już jej przeszkadzać w codziennych czynnościach. On tłumaczył jej, że nie ma wyjścia i od słowa do słowa zaczęli wyciągać sobie różne brudy. Już teraz żałował wszystkiego, ale Patrycja miała ten niecodzienny dar do wyprowadzania go z równowagi. Zwykle w takich sytuacjach dzwonił do Wiktorii, jej głos działał na niego kojąco. Niestety, jak na złość, nie mógł się do niej dodzwonić od kilku dni. Najpierw odrzucała wszystkie połączenia, a potem przestała po prostu odbierać. Tym razem nie usłyszał nawet zwyczajowego sygnału. Widocznie wyłączyła telefon. Na szczęście ten dzień już się kończył. Jutro musi być lepiej. Tylko dwa spotkania, ale za to obiecujące. Z Warszawy zazwyczaj udawało mu się wyjechać z jakimś zamkniętym zamówieniem. Wjechał na parking hotelu i zaparkował swoją granatową toyotę zaledwie kilka metrów od wejścia. Zgasił silnik i wyłączył radio. Gdy tylko otworzył drzwi, poczuł chłód listopadowego wieczoru. Temperatura nie spadła jeszcze poniżej zera i nie padało. Maciek zakwalifikował pogodę jako ładną. Nie na tyle jednak, żeby się nią delektować. Wziął z bagażnika swoją torbę, laptop i ruszył w kierunku recepcji. Przywitana go pani Krysia. Czterdziestoparoletnia recepcjonistka była spokrewniona z właścicielami i pracowała w hotelu Venus od samego początku. W oczach Maćka miała jedną zaletę i dwie duże wady. Zaletą było to, że lubiła stałych klientów i jeśli tylko mogła, zawsze starała się im pomóc. Co do wad, posiadała ich na pewno więcej, ale dwie doskwierały mu najmocniej. Nie zamykała jej się buzia. Pa-

plata bez opamiętania, a żeby móc to robić cały czas, notorycznie konfabulowała i wypytywała o wszystko każdego, kogo spotkała. Drugą wadą był zawsze towarzyszący jej zapach papierosowego dymu. To przez ten nałóg jej cera, nie dość, że zorana nieprzebraną ilością zmarszczek, to jeszcze miała ziarnisto-żółtawy kolor. W innych hotelach zazwyczaj witały Maćka młode atrakcyjne dziewczyny. Miło było na nie popatrzeć, ale nie były tak sprawne jak pani Krysia. Gdy tylko przekroczył próg, przywitał go jej lekko przygaszony uśmiech i dziwny obraz. Pani Krysia stała za ladą w jasnoniebieskiej puchowej kurtce.

– Dobry wieczór, pani Krysio.

– Dobry, dobry, panie Maćku. Jak minęła podróż? Duży dziś ruch na drodze?

– Dziękuję, nie najgorzej. Ruch raczej średni, ale pogoda dobra. Proszę powiedzieć, dlaczego pani stoi w kurtce?

– A, małe nieszczęście. Mamy awarię ogrzewania, cała instalacja nam dupnęła. Przepraszam za kłopot. Wstawiliśmy do pokoju farelkę, żeby go ogrzać, gdyby było panu zimno. No i dajemy dla stałych klientów dwadzieścia procent zniżki.

– No to całkiem miło, nie jest na szczęście tak bardzo zimno. Pani Krysio, ale jak pani może, niech pani wystawi fakturę na całą kwotę. Wie pani, jak to jest.

Uśmiechnął się promieniście, jak zwykł to robić, gdy domykał transakcję.

– Oczywiście, panie Maćku, nie ma problemu. Gotówka, jak rozumiem?

Kiwnął głową na znak potwierdzenia.

– Dużo dziś gości macie? – zapytał, wyjmując portfel.

– Nie, oprócz pana jest jeszcze dwóch pana kolegów po fachu.

– Wie pani, kto konkretnie?

– Nie mogę udzielać takich informacji – zachnęła się teatralnie. – Ale dla pana mogę uchylić rąbka tajemnicy, przecież i tak

pan ich spotka. To panowie Rudzki i Piórkowski. Jeden z nich będzie pana sąsiadem. Proszę, to pana karta. Pokój czternaście zero osiem.

Wręczyła Maćkowi mały plastikowy klucz elektroniczny.

– Czternaście zero osiem? Dlaczego taki numer? Do czego to się odnosi?

– Wie pan co? Tak naprawdę nie wiem. Właściciel ma czasem dziwne pomysły, to chyba jakaś zagadka. Dla mnie to jest pokój czternasty. Wcześniejszy jest normalnie trzynaście, a następny piętnaście.

– Łatwiej było to wkomponować niż pokój dwieście trzydzieści siedem lub dwieście siedemnaście – uśmiechnął się delikatnie kącikiem ust. – No dobrze, nie jestem przesądny.

Puścił oko do pani Krysi, wręczając jej banknoty. Ta odwzajemniła się uśmiechem, pokazując żółte od tytoniu zęby, ale chyba nie zrozumiała jego żartu. Podpisał wszystkie niezbędne dokumenty i ruszył w kierunku swojego pokoju. Temperatura była do zniesienia, gdy szedł w kurtce, ale na pewno będzie musiał trochę go ogrzać, żeby wziąć prysznic. Pokój czternaście zero osiem był na piętrze, więc skorzystał z windy. Nie chciał mu się wciągać torby po schodach. Niby to żaden wysiłek dla niego, ale ostatnio robił się coraz bardziej leniwy. Gdy mijał pokój numer trzynaście, zatrzymał się przez chwilę i nasłuchiwał, który to mógł być z nich, P. czy R.? Zza drzwi było słychać tylko ciche bełkotliwe dźwięki, pewnie z telewizji.

Maciej rzucił swoją czarną torbę na łóżko. Coraz mniej lubił ciągle życie na walizkach. Każdego wieczoru rozpakowywał swoje koszule i rzeczy osobiste w nowym miejscu, a rano zwinął w zapomnianym przez ciało sztyku. Miał już taką wprawę, że nawet nie

zastanawiał się, gdzie co powiesić. Po prostu wyjmował rzeczy, a jego ciało wiedziało, gdzie co powinno się znaleźć. Marynarka – szafa, koszule – półki, kosmetyczka – łazienka, książka – stół i zdjęcie żony z córką obok. W ten sposób miał poczucie, że każdy z pokoi staje się na chwilę bardziej jego, a z drugiej strony, dzięki przyzwyczajeniom, każdy pokój po kilku sekundach przypominał poprzedni. Gdy wszystko już rozłożył, rozpiął mankiety koszuli, podciągnął rękawy i zdjął spodnie. To oznaczało dla niego koniec dnia pracy. Garnitur i krawat na co dzień rekompensował sobie, kiedy tylko mógł, modową abnegacją. Zerknął, jaką książkę zaparkowała mu żona. W większości wypadków zdawał się na jej gust. Mówił jej, na co ma ochotę, a ona polecała mu coś, co zazwyczaj go zadowalało. Tym razem dostał „Czerwonego Smoka”. Oglądali któregoś wieczoru serial w telewizji i Patrycja zasugerowała, że jeśli mu się podoba, powinien przeczytać książki, które wykreowały postać seryjnego mordercy-kanibala. I choć jest on w pierwszych częściach postacią poboczną, same książki opisują zło tak namacalne, że potrafi przerażyć. Zastanawiał się, czy zło można kategoryzować, na przykład na przerażające i zwykłe? Wydawało mu się, że każde zło, nawet początkowo pospolite, niepowstrzymane sumieniem lub przez innych ludzi, może stać się okrutne. Nie zaczął jeszcze książki, ale nie miał dziś na to siły. Wolał poleżeć na łóżku i pooglądać coś w telewizji. Zanim włączył telewizor, odpalił farelkę i poszedł wziąć szybki prysznic, dziś już nie miał nawet ochoty nic jeść. Łazienka okazała się gorzej wygłuszona niż pokój. Dochodziły dźwięki z sąsiedztwa. Zastanawiał się, który z innych gości ma pokój obok niego, bo z dźwięków dochodzących zza ściany wydedukował, że musi się tam odbywać średniej wielkości orgia. Według recepcjonistki w hotelu przebywało kilka osób, na parkingu było pusto, więc jeśli uczestników nie przywiózł zamówiony autobus, to musiał być jakiś film. Dźwięki były głośne i drażniły Maćka. Szybko skończył kąpiel, dokładnie zamknął drzwi

łazienki, żeby żadne odgłosy do niego się nie przedostawały, i rzucał się na łóżko w samym ręczniku. Włączył telewizor i wyłączył myślenie.

Ze szklanego ekranu pierwsza zaatakowała go reklama nowego fantastycznego urządzenia do rzeźbienia mięśni brzucha. Pomiędzy pozytywnie budowanego komunikatu, atakowała go przede wszystkim wyrzutami sumienia. Trochę się zapuścił ostatnio. Ciągle siedzi w samochodzie, cały czas je w restauracjach lub na stacjach benzynowych, a bebzun rośnie. Trzydziestka na karku, musi coś zmienić, bo nawet się nie obejrzy, jak stanie się opastym hamburgerem. Przetączył na kolejny kanał. Lecił tam „Rocky IV”. Zatrzymał się na chwilę, to był jeden z jego ulubionych filmów. Z głośnika popłynęła znana mu dobrze muzyka: „There’s no easy way out, there’s no shortcut home. There’s no easy way out, givin’ in can’t be wrong”.

Sekwencja montażu po śmierci Apolla Creeda była jednym z bardziej wzruszających momentów całej sagi. Piosenka Roberta Teppera tylko pięknie wszystko puentowała. Obiecał sobie, że jeśli nie znajdzie nic lepszego, wróci na ten kanał obejrzeć, jak Rocky nokautuje Dolpha alias Ivana Drago. Następne były wiadomości. Pierwszy obraz przykuł jego uwagę. Zobaczył przed sobą budynek, który widział trzy albo cztery dni temu. Żółta fasada gmachu spółdzielni mieszkaniowej w Płocku. Był tam ostatnio domknąć sprzedaż na rozsączaczce gruntowe. Musiał zejść z ceny o kilka procent, ale wszystko się udało, wiedział, że dostanie za to premię. Na początku nie docierały do niego słowa płynące z głośników. Skupił się. Spikerka opisywała właśnie okoliczności odkrycia ciała młodej kobiety. Dokonał go przypadkowo kierowca ciężarówki. Ciało dwudziestotrzylatki znaleziono około dwudziestu kilometrów od Płocka. Policja wstrzymuje się od komentarzy, więc nie wiadomo, czy zabójstwo było na tle seksualnym. Płocczanka pracowała w widocznej w tle spółdzielni mieszkaniowej. Maciek

skoncentrował się jeszcze bardziej. W tej spółdzielni pracowała tylko jedna młoda dziewczyna. Ładna blondynka na recepcji, która nie odbierała od niego ostatnio telefonów. Poktócili się cztery dni temu, gdy Maciek stanowczo oświadczył, że nie zamierza zostawić żony. Kazała mu się wtedy wynosić, ale niemożliwe, żeby to była ona. Wrócił do wiadomości. Reportaż kończyła informacja, o braku zatrzymanych w sprawie. Wyciągnął komórkę z kieszeni i wybrał numer Wiktorii. Usłyszał tylko informacje o chwilowo niedostępnym abonencie. Zaczął przeglądać internet w poszukiwaniu dodatkowych informacji. Nie znalazł jednak żadnych materiałów. Zastanowił się, czy policja będzie go szukać? Czy może być podejrzanym? Przecież rozmawiał z dziewczyną na kilka dni przed śmiercią. Poktócili się. W oczach śledczych będzie idealnym kandydatem na mordercę. Zaczął przeglądać następne sugestie wskazane przez przeglądarkę. Jeden z artykułów opisywał inne zabójstwo młodej dziewczyny ze Szczecina, trzy miesiące temu. Z powiązanych artykułów dowiedział się, że dziewczyna została wyłowiona z zalewu prawdopodobnie po kilku dniach. Minęło zbyt dużo czasu, żeby można było precyzyjnie określić czas zgonu. Z niepotwierdzonych informacji wynikało, że denatka została uduszona przed wrzuceniem do akwenu. Do tej pory nie ujęto żadnego sprawcy. Maciej bywał w Szczecinie, choć to nie był jego stały teren, ale miał tam kilka zleceń. Ostatnie duże z cztery miesiące temu. Zerwał się, sięgnął z torby kalendarz i zaczął go wertować. Po chwili znalazł interesującą go datę. Był w Szczecinie trzy miesiące temu. Na tydzień przed opublikowaniem pierwszego artykułu na temat ofiary z zalewu. Tylko tam nie potrafił przypomnieć sobie żadnej atrakcyjnej młodej dziewczyny. Przeskoczył jeszcze przez kilka artykułów i dowiedział się, że dziewczyna pracowała na stacji benzynowej pod miastem. Prawdopodobnie została napadnięta w drodze do domu. Czy to możliwe, żeby takich

przypadków było więcej? Czy mogą one mieć ze sobą coś wspólnego? Zegar na stoliku wybił północ.

Maciej wrócił do hotelu po całym dniu w Warszawie. Spotkania przebiegły bez zakłóceń, ale myśl o Wiktorii nie dawała mu spokoju. Jej telefon ciągle był wyłączony. Chciał wysłać SMS, ale zatrzymał się w połowie pisania. Czy jeśli policja ma jego numer, to się nie pograżą? Ustalenie właściciela to pewnie dla nich żaden problem. Zawodowo jednak dał sobie dziś radę. Sfinalizował duże zamówienie za ponad dwieście tysięcy. Normalnie czułby się dumny, próbowali zamienić jego materiały, ale nie dał się. Dobra relacja z projektantem opłaciła się. Piórkowski był u wykonawcy wczoraj. Próbował w ostatniej chwili wepchnąć nogę między drzwi, ale Maciek mu tę nogę dziś skutecznie zmiażdżył. Projektant stanowczo nie zgodził się na zamianę na rurę o niższej wytrzymałości. Choć zarówno Maciek, jak i projektant wiedzieli, że tak duże wartości maksymalne ciśnienia nie zdarzają się. Mimo to ze strachu czuł tylko ciągły ucisk w żołądku. Jeżeli pani Krystyna nie kłamała, konkurent jest w tym samym hotelu, więc Maciek mógł się z nim jeszcze dziś spotkać. Zajrzał do swojego pokoju tylko na chwilę, aby zostawić niepotrzebne rzeczy, i szedł do hotelowej restauracji. Mieściło się w niej zaledwie osiem czteroosobowych stolików ustawionych bez ładu i składu. Właścicielowi chodziło na pewno o to, aby upchnąć jak najwięcej osób w tej ograniczonej przestrzeni. Oprócz stolików uwagę przyciągał masywny bar zrobiony z ciemnego drewna. Maciek wiedział, że jak tylko zajmie jedno z miejsc, przyjdzie do niego kelnerka. Rozejrzał się niespiesznie po sali. Tylko przy jednym stoliku byli goście. Siedziało tam dwóch mężczyzn ubranych w garnitury. Mniejszy z nich nosił granatowy uniform, który okres pierwszej świeżości miał już dawno za sobą.

Mężczyzna był starszy od Maćka i stanowił doskonałą przestro-
gę, w kogo może się zmienić w przyszłości, jeśli się za siebie nie
weźmie. Artur Rudzki, bo tak się nazywał, był przedstawicielem
handlowym firmy, która sprzedawała drzwi klatkowe do nowych
budynków. Dość często spotykali się z Maćkiem przy okazji róż-
nych przetargów. Oferowali całkowicie różne produkty, więc nie
było powodu do spieć. Kiedyś nawet wypili razem piwo na spo-
tkaniu umówionym z jednym klientem. Artur był w oczach Maćka
małym grubaskiem. Niższy i cięższy sprawiał wrażenie człowieka,
któremu coraz ciężiej się poruszać, a stumetrowy bieg mógłby go
zabić. Drugi mężczyzna był jego przeciwieństwem. Robert Piór-
kowski przypominał Maćka sprzed pięciu lat. Jego firma oferowa-
ła podobny asortyment jak firma Maćka. Był o głowę wyższy od
swojego towarzysza przy stoliku. Jego szary garnitur prezentował
się bez zarzutu. Zdawał się zachowywać świeżość po całym dniu.
Jego ruchy były szybkie, pewne i nie przestawał się uśmiechać.
Właśnie opowiadał głośno, jak na jakimś meczu trzy razy udało
mu się pokonać bramkarza i dać zwycięstwo swojej drużynie. To
właśnie Robertowi dziś przytarł nosa. Maciek podszedł do nich
spokojnym krokiem. Spostrzegli go w połowie drogi. Piórkowski
rozpromienił się na twarzy, jakby był zadowolony z widoku Maćka,
który sprzątnął mu sporą premię sprzedażową.

– Witamy pana zwycięzcę – zakrzyknął Robert z szerokim
uśmiechem.

– Dziś twój wielki dzień. Z tego co wiem, udało ci się podpisać
ten kontrakt z Budmaxem. Gratuluję.

– Dzięki, ale co ty taki zadowolony z tego powodu? Przecież
szef objedzie cię jak stąd do Madrytu za utratę takiego kontraktu.

Maciek zerknął na stolik przedstawicieli. Przed nim stały dwa
piwa do połowy dopite, choć szala zwycięstwa zaczynała się
przechylać w stronę Piórkowskiego. Przysiadł się do nich. Kiwnął
głową na przywitanie Arturowi, z którym nie zamienił jeszcze sto-

wa, i spojrzął wyczekująco na Roberta. Ten nie patrzył na niego, tylko w dno trzymanego przez siebie kufla. W końcu westchnął i z uśmiechem spojrzął na Maćka.

– Mnie już w zasadzie nie zależy. Od przyszłego miesiąca zaczynam nową pracę. Przenoszę się do całkowicie nowej branży.

– Tak, a co to za branża?

– Startupowa. Wiesz, takie nowo powstające firmy, które mają innowacyjne pomysły – powiedział Robert, nie przestając się uśmiechać.

– Czym się zajmuje tak konkretniej, jeśli można wiedzieć?

– Tak naprawdę to ma dużo różnych produktów, ale ja będę zajmował się sprzedażą rozwiązań do automatyzacji produkcji. Roboty i takie tam. A firma jest ze Stanów, z Detroit. Nazywa się Omni Consumer Product, w skrócie O.C.P., ale oni to wymawiają „oł si pi”. Dopiero zaczynają, ale myślę, że mają duży potencjał.

– No to gratuluję. Nie powiem, że będę za tobą płakał, ale cieszę się, że będę miał po drugiej stronie kogoś nowego i niedoświadczonego. A czemu akurat robotyka? – Maciej teatralnie zmrużył oczy, udając podejrziwość.

– To przyszłościowy kierunek, a w handlu jestem przez przypadek. Miałem być marynarzem. W domu zawsze były książki Borchardta. Jako młody chłopak chciałem poznać, co to znaczy kapitan, i zostać szamanem morskim – jego uśmiech przygasł na chwilę i stał się nieco nostalgiczny – życie chciało jednak inaczej.

Rozmowę przerwała im śliczna kelnerka, która przyniosła dwa parujące talerze. Uśmiechając się, wręczyła przedstawicielom kolicę złożoną z tradycyjnego schabowego i dodatków. Maćkowi bardzo podobał się ten widok. Zamówił to samo co oni, łącznie z piwem. Kelnerka przyjęła zamówienie i zniknęła na zaplecze.

– Dobra dupa, co? – Robert wyszczerzył się do Maćka.

– Ładniutka, ale ja mam żonę.

– Oj, nikt ci nie każe coś robić. To mój plan – Robert spojrzął w stronę drzwi – przypomina mi jedną dziewczynę, którą widziałem kiedyś w telewizji. Dawno nie miałem takiej rasowej bestii.

– Chyba nigdy. – Wreszcie odezwał się Artur. – Przecież ona na ciebie nawet nie spojrzy, bo takich jak ty może mieć na pęczki.

– Powiedziała, jak ma na imię, a to już dobry początek – ripostował Robert.

– Początek do niczego. Jest po prostu miła. To jej praca. Zapytałeś o imię, to powiedziała, gdybym ja zapytał, też by to zrobiła. Twoje szanse są żadne – Artur nie ustępował.

– A ciebie co ugryzło? Jak chcesz spróbować, to też możesz ją poderwać.

– Nie kręci mnie podrywanie kelnerki w restauracji – Artur machnął ręką z lekceważeniem.

Maciek wyczuł, że napięcie przy stoliku rośnie, ale musiał zapytać o jeszcze jedną rzecz. Zbierał się przez chwilę w sobie, jednak w tym momencie kelnerka wróciła z jego zamówieniem. Robert z Arturem nie odrywali od niej wzroku. Pierwszy podziękował Maciej, zaraz po nim wyrwał się Robert.

– Pani Asiu, można wiedzieć, o której pani kończy dziś zmianę?

Dziewczyna dosłownie na sekundę napięła całe ciało, a jej niebieskie oczy czujnie przyjrzały się mężczyźnie. Ocena, której dokonała, trochę ją uspokoiła, bo delikatnie się uśmiechnęła. Napięcie nie zniknęło z jej ruchów.

– Pracujemy do zamknięcia restauracji, czyli godziny dwudziestej drugiej – odpowiedziała czujnie dziewczyna.

– To może miałyby pani ochotę potem... – zaczął Robert.

– Niestety, nie mogę, mieszkam w pobliżu i muszę jak najszybciej wrócić do chorej mamy – odpowiedziała kelnerka.

Nie zabrzmiało to szczerze w uszach Maćka, ale dziewczyna i tak była miła, że nie spławiła go ostentacyjnie. Przecież gdyby chciała, mogłaby go upokorzyć w oczach pozostałych. Kelnerka

szybkim ruchem obróciła się i zniknęła za drzwiami zaplecza. Artur delikatnie się roześmiał.

– Źle się do tego zabierasz, Robuś. Kiedyś może ci powiem, jaki jest mój niezawodny sposób – powiedział, a potem pociągnął łyk piwa.

Maciek postanowił przejść do tematu, który go męczył.

– Wczoraj wieczorem usłyszałem, że zamordowano panią Wiktorię ze spółdzielni mieszkaniowej w Płocku. Kojarzycie ją? Taka młoda recepcjonistka. Budowali ostatnio nowy blok.

– Coś mi się kojarzy, ale nie byłem tam ostatnio. Trzy dni temu odprawili mnie z kwitkiem. Powiedzieli, że są już z tobą dogadani – Robert patrzył na Maćka. – A ty, Artur, byłeś tam?

– Nie było mnie w Płocku już chyba od dwóch miesięcy. Nie miałem tam żadnych zamówień – powiedział Artur, rozkładając bezradnie ręce. – Straszna historia, słyszałem o tym w wiadomościach. Podobno została zgwałcona kilkakrotnie, pobita, a na końcu uduszona.

– Nie oglądam wiadomości, nawet nie wiedziałem – powiedział Robert, po czym wypił ostatni łyk piwa. – Na mnie już czas, jutro rano muszę być w Lublinie. Jedziesz tam też z rurami?

Maciek pokręcił przecząco głową.

– Jutro wracam do domu, nie było mnie już cztery dni.

Robert wstał i rzucił na stół pieniądze.

– To za mnie, tylko nie dawajcie tej małpie żadnego napiwku.

Dopiero teraz widać było, że przez ostatnie kilka minut jego wystudiowany uśmiech był tylko pozą. Artur dotożył swoją część i pokręcił głową.

– Co za nadęty gówniarz. Zachował się, jakby przy nim napluła mu do piwa. Dobra, ja też się zbieram, muszę dziś jeszcze coś zrobić.

– Do zobaczenia kiedyś. W którym pokoju śpisz? – zapytał Maciek.

– W trzynastce. Chyba jesteśmy sąsiadami. Do zobaczenia.

Artur wygramolił się zza stołu i potoczył swoje kuleczkowate ciało w kierunku wyjścia.

Maciek skończył swoją kolację. Zapłacił, dając kelnerce spory napiwek w ramach przeprosin, bo czuł się zawstydzony zachowaniem kolegi. Podczas całej drogi do pokoju coś nie dawało mu spokoju. Nie umiał tego jeszcze uchwycić, ale ogarnął go niepokój.

Gdy wszedł do pokoju, spróbował jeszcze raz zadzwonić do Wiktorii. Kolejny raz nie było połączenia. Nagle dwie właściwe kulki w jego głowie, które do tej pory mijały się o włos, zderzyły się ze sobą. Gdy płacił za kolację, na kupce pieniędzy leżały okolicznościowe dwa złote. Moneta z Bolesławem Prusem sprzed kilku lat. Zapamiętał tego starszego pana w kapeluszu. Taką monetę dał Wiktorii, bo bardzo go prosiła, jak byli na ostatniej kolacji. Nie wiedział, czy się zgrywała, ale mówiła, że tej monety nie wykorzysta, bo jest za ładna. Tylko kto ją tam zostawił? Spojrzał na zegarek. Za dziesięć dziesiąta. Było późno jak na telefony służbowe, ale czuł, że musi to zrobić. Wyszukał numer w komórce i wybrał numer prezesa spółdzielni. Kilka długich sygnałów. O tej porze może już nie odbierać numeru służbowego. Po piątym sygnale usłyszał zniecierpliwiony głos.

– Słucham – głos po drugiej stronie był lekko zachrypnięty.

– Witam, tutaj Maciej Susek. Panie Krzysztofie, w pierwszej kolejności chciałem przeprosić za tak późną porę, ale nie mogę skontaktować się z panią Wiktorią z recepcji. Czy wie pan może, jak mogę ją złapać, żeby umówić się na spotkanie? – Wstrzymał oddech, czekając na odpowiedź.

– Panie Maćku, pani Wiktoria nie żyje. Policja zabroniła mi udzielać jakichkolwiek informacji w tej sprawie.

Po drugiej stronie słuchawki zaległa cisza. Maciek czuł, że pocałował się z dionie.

– A czy był u państwa ostatnio Artur Rudzki lub Robert Piórkowski?

– Przekazałem policji pełną listę moich spotkań oraz osób, które nas odwiedzały. Na tej liście jest i pan, i wiele innych osób. Proszę czekać na telefon z policji. Pozdrawiam.

Maciej usłyszał ciągły sygnał w słuchawce. Jego rozmówca rozłączył się. Wyjrzał przez okno na parking. Stały tam wszystkie samochody gości. Jego granatowa toyota, srebrny golf Rudzkiego i czarna skoda Piórkowskiego. Zaczynało padać. Czy powinien zadzwonić na policję? Istnieje przecież możliwość, że przeczucie go myli. Spojrzał na wyświetlacz. Było już pięć minut po dwudziestej drugiej. Zaczął się zastanawiać, czy w zachowaniu Artura i Roberta było coś, co mogło potwierdzić jego podejrzenia. Czy to możliwe, żeby któryś z nich mógł być mordercą? Odmowa kelnerki wyprowadziła trochę Roberta z równowagi. Na pewno obejrzał ją sobie bardzo dokładnie kilka razy. Każdy z nich to zrobił przynajmniej raz. Czy mogło jej coś grozić? Nagle z powodu przeczucia zimna ręka strachu ścisnęła mu gardło. Odwrócił się, złapał kurtkę i już był za drzwiami. Nie był pewny, co chce zrobić. Zbiegł na parter i od razu chciał wejść do restauracji, ale drzwi były już zamknięte.

– Już nieczynne – powiedział jakiś mężczyzna za ladą recepcji.

– Czy już wszyscy wyszli? Przechodziła tędy kelnerka?

Mężczyzna popatrzył na niego z ukosa.

– Wyszła z pięć minut temu, ale ona ma chłopaka, nie ma pan co jej gonić.

Maciek już nie słuchał. Wypadł z hotelu i od razu w drzwiach trafił na dziewczynę, która paliła papierosa. Stał jak wryty. Dziewczyna zmierzyła go zaciekawionym spojrzeniem. Postanowiła pierwsza przetańczyć niezręczną ciszę.

- Chce pan zapalić?
- Nie, dziękuję. Pani czeka na kogoś?
- Nie mam parasolki, więc czekam z nadzieją, że może zaraz przejdzie.

Wbrew oczekiwaniom intensywność deszczu zdawała się wzmacniać.

- Może bym pani zamówił taksówkę?
- Bardzo pan miły, ale dziękuję. Poza tym to bez sensu. Z Warszawy będzie jechać długo i zapłaci pan majątek – powiedziała spokojnie.

Dziwnie się czuł, gdy próbowała go przewiercić na wylot tym spojrzeniem. Nie wiedział, co myśleć, miał mętlik w głowie.

- Może pozwoli się pani podwieźć. Jako dżentelmen nie mogę pozwolić, żeby pani zmokła, a nie mam parasola, żeby pani dać.

Jej spojrzenie momentalnie się zmieniło. Trochę ją to chyba rozbawiło. Na pewno pomyślała, że on ją podrywa. Odpowiedziała tylko krótkim „okej”.

Dobiegli do samochodu mokrzy. W samochodzie rozszedł się zapach deszczu i jej perfum. Odpalił samochód.

- To dokąd jedziemy?

Wyjeżdżając z parkingu, zauważył, że zostało na nim już tylko jedno auto.

Dziewczyna zniknęła za drzwiami własnego domu. Maciek rozejrzał się. Droga przed nim skręcała w prawo tuż przed ścianą małego zagajnika. Właśnie przed chwilą stracił tam z oczu samochód, który jechał za nimi od połowy drogi. Musiał czekać przy skrzyżowaniu ze zgaszonymi światłami. Maciek początkowo go nie zauważył. Trzymał się za nimi w sporej odległości. Dopiero gdy zatrzymał się pod domem dziewczyny, minął ich z dużą prę-

kością. Maciek nie zdążył mu się przyjrzeć, samochód jechał bez włączonych świateł, więc nie zobaczył nawet koloru lakieru. Droga powrotna za nim wiodła do rozwidlenia, z którego skręcając w lewo, mógł dojechać do głównej drogi, a jadąc prosto, wróciłby do hotelu. Miał tam jeszcze wszystkie swoje rzeczy, ale właśnie tam mógł na niego czekać morderca, jeśli się nie pomylił i pozba-
wił go upatrzonej ofiary. On by tak zrobił, wiedząc, że pieniądze i wszystko ma właśnie tam. Powrót do hotelu byłby zatem głupim pomysłem. Musi zadzwonić na policję, nawet gdyby miał zrobić z siebie głupka. Przecież ten facet prawdopodobnie zamordował dwie kobiety. Gdzie on ma komórkę? Wyciągnął ją z kieszeni i wsadził w uchwyt przyklejony do szyby. Wrzucił kierunek i zaczął zawracać. Zadzwoni na policję, poczeka na nich przy rozwidleniu drogi i wtedy razem z nimi wróci do hotelu. Może on już się wystraszył, uciekł i Maciek nie będzie musiał się nigdy więcej z nim widzieć? Jechał powoli i już zaczął wyciągać rękę, żeby wybrać numer alarmowy. Zanim zdążył wybrać ostatnią cyfrę, telefon się rozdzwonił, sygnalizując przychodzącą rozmowę. Zobaczył nieznaną numer. Nacisnął zieloną słuchawkę. Dzięki zestawowi głośnomówiącemu cały samochód wypełnił głos Artura.

– Przez ciebie dziś nie zaliczę tej ładnej kelnereczki. Czemu ją odwozłeś i nie pozwoliłeś, żeby sprawy potoczyły się normalnie?

– Nie wiem, co to znaczy dla ciebie normalnie. Zgwałciłbyś ją i zabił, tak jak zrobiłeś to z Wiktoria? – Strach mieszał się w nim z furią.

– Domyśliłeś się, co? Po co inaczej miałbyś się wpierdalać. Ty też ją miałeś, prawda?

Maciek usłyszał głębokie westchnięcie po drugiej stronie.

– Pewnie teraz zadajesz sobie pytanie, jak to możliwe. Artur? Ten Artur? Artur kuleczka. Wygląd o niczym nie świadczy. To tak nie działa, ale fakt, dla mnie nic nie jest proste. Większość tych suk jest prawie tak wysoka jak ja i zazwyczaj szybsza. Tyle że ja jestem

silniejszy. To moja przewaga. To i jeszcze fakt, że ja się nie boję. Nie boję się ich krzyku i na pewno nie boję się ciebie!

– Dzwonię zaraz na policję. Możesz zacząć się bać.

Maciek zmienił bieg na trójkę.

– Zwykle strasznie się próbują drzeć – kontynuował Rudzki spokojniej, jakby nie usłyszał groźby Maćka.

– W pierwszym momencie, kiedy jest największa szansa, że ktoś może im pomóc, zwykle one jeszcze nie wierzą w to, że coś złego może się im stać. Na początku słyszę coś w stylu „Odczep się, grubasie” lub „Czego ty ode mnie chcesz?”. Za pierwszym razem się wystraszyłem, ale później było coraz łatwiej. Kojarzysz może Olkę z Buddomu z Opola? Ona była moją pierwszą. Była całkiem świeżą rozwódką. Jej poprzedni mąż prał ją solidnie, więc potem chciała miłego gościa, nawet tak niewyjściowego jak ja. W zasadzie wyszło to przypadkiem. Była trochę za stara jak na mój gust, ale wiesz, wtedy jeszcze nie wiedziałem, że mogę mieć to, co chcę i kiedy chcę.

Maciej dotknął telefonu i szybko włączył funkcję nagrywania.

– Udało mi się ją namówić na kolację. Potem poszliśmy do niej. Normalna sprawa. Gadka szmatka, buziaczki i nagle jej się odwidziało i mnie wyprasza. Nie pamiętam, co dokładnie powiedziała, ale po chwili ta suka zaczyna wypychać mnie do przedpokoju, że muszę iść i takie tam. Coś we mnie wtedy pękło, naprawdę. Nie wiem, co to było, ale było to jak katharsis. Odwinąłem się i przyjechałem jej takim ciężkim wazonem. Rozsypał się w drobny mak, jak na filmach. Normalnie bym nie uwierzył. Padła nieprzytomna. No to wzięłem ją za włosy i...

– Gównu mnie to obchodzi! Po co mi to mówisz, przecież zaraz zadzwonię na policję.

Maciek poczuł, że jego głos się zmienił. Chciał zabrzmieć z pewnością siebie, a zabrzmiał piskliwie. Przyspieszył, był już blisko rozwidlenia.

– Nie chcesz słuchać?

W jego głosie Maciej usłyszał urazę. Jakby odmówił mu drobnej przyjemności.

– Opowiadam ci to z kilku powodów. Po pierwsze, nie miałem komu się jeszcze pochwalić. No, oprócz Ślizgacza, ale to straszny psychol, choć on mnie zachęcił, żebym z tą kelnereczką pobawił się nożem. A po drugie, chciałem utrzymać cię jak najdłużej na linii, zanim cię nie dogonię.

W tym momencie wsteczne lustro rozbiło się oślepiającym światłem. Samochód jadący za Maćkiem do tej pory w całkowitej ciemności rozjarzył się blaskiem ksenonów. Maciek przez mroczki, kątem oka zobaczył, że światła zbliżają się do niego z dużą prędkością.

– Zajebię cię, harcerzyku! – wykrzyczał Artur do telefonu.

Nagle huk uderzenia i pękającego zderzaka zagłuszył wszystko. Maciek się tego nie spodziewał, uderzył głową o kierownicę. Na sekundę rozbił się ból pozbawił go wszystkich zmysłów. Na szczęście nie stracił przytomności. Telefon wypiął się z uchwytu i poleciał na wycieraczkę pasażera. Maciek przycisnął pedał gazu.

– Nie uciekniesz mi!

Telefon dalej był podłączony do zestawu. Maciek nie wiedział, co robić. Zbliżał się do rozwidlenia. Nie mógł jechać prosto, bo to była ślepa uliczka kończąca się hotelem. Ściął zakręt w lewo, kierował się na główną drogę. Pomyślał o komisariacie, ale najpierw musi uciec. Zobaczył w lusterku, że srebrny golf bez problemu ścina zakręt w pogoni za nim. Maciek wrzucił czwórkę. Przyspieszył, wskoczył na wyższe obroty i już zaczynał dochodzić do stówki. Artur za nim także pędził i zaczynał się zbliżać. Do wjazdu na trasę szybkiego ruchu miał jeszcze jakieś czterysta metrów. Golf dojechał do tylnego zderzaka toyoty i zaczął ją spychać. Maciek poczuł, że zaczyna tracić kontrolę. Chciał zahamować, ale wtedy całym samochodem zaczęło bujać. Czuł, że tył auta jest spychany

z drogi. Przyspieszył. Chciał uwolnić się od prześladowcy. Już widział światła na skrzyżowaniu na trasę do Warszawy. Dodał gazu. Odkoczył na trzy metry do przodu. Samochód Rudzkiego stracił kontakt z jego autem. Ściął skrzyżowanie w prawo, trzymając się swojego pasa. Rudzki był tuż za nim, nie stracił kontroli. Zaczynał przyspieszać. Maciek widział, że zbliża się z dużą prędkością do samochodu przed nim. Odruchowo wrzucił kierunek, przeskoczył na sąsiedni pas. Na szczęście z naprzeciwka nic nie jechało, jedynie światła przed nim były jeszcze daleko. Spojrzał w lusterko, manewr dał mu cenną sekundę, ale Rudzki już zaczął wyprzedzanie. Nie dawał mu nawet chwili wytchnienia. Maciek zobaczył zjazd z głównej drogi. Miał do niego jeszcze kilkaset metrów. Majaczyły tam światła tira. Zaczął zwalniać, żeby nie dachować podczas skrętu. Volkswagen wykorzystał to i zaczął go wyprzedzać. Usłyszał chrzęst gniecionej blachy. Rudzki uderzył w bok toyoty, starając się zepchnąć go z drogi. Maciek zaczął tracić panowanie nad samochodem. Instynktownie zaczął hamować. Poczut kolejne uderzenie. Tył samochodu wyleciał na pobocze, tylne koła całkowicie straciły przyczepność. Maciek rozpaczliwie próbował kontrować poślizg. Ostatnie uderzenie odbiło Rudzkiego siłą, której nie mógł opanować. Tracił kontrolę, jego auto zaczęło obracać się bokiem. Powietrze rozdarło głośnie trąbienie tira. Pisk opon i hamulców zagłuszył wszystko. Maciek spojrzał w lusterko, zobaczył wystraszone oblicze Rudzkiego z niedowierzaniem patrzącego na reflektory ciężarówki przed nim. Powietrze rozdarła kakofonia huku potączonego z dźwiękiem gniecionej puszkii. Golf odbił się od cięższego o kilkanaście ton tira jak zgnieciona piłeczka pingpongowa. Połowa samochodu została sprasowana, tworząc bezład blachy i tworzywa. Maciek nie opanował samochodu. Ostatnie, co zdążył zrobić, to odbicie kierownicą w lewą stronę. Nie mogło to jednak zmienić toru rozpędzonej maszyny. Maciek zobaczył, jak maska samochodu wpada do zarośniętego rowu i w

jednej chwili poczuł ból od napinających się pasów oraz tysiące kawałków szyby uderzających w twarz.

Gdy otworzył oczy, nie wiedział, ile minęło czasu. Podniósł głowę znad kierownicy. Ciągle był w samochodzie. Przednia maska wygięta była pod dziwacznym kątem. Nie wiedział, czy stracił przytomność na długo, ale uznał, że musi wysiąść. Twarz go paliła w kilku miejscach. Czy uderzył o kierownicę? Dotknął twarzy i wyczuł coś mokrego. Zerknął na rękę. Widział, że jest umazana krwią, ale nie było jej dużo. Nie jest poważnie ranny. Odpiął pas i napart całą masą ciała na drzwi. Ustąpiły po chwili ze zgrzytem rysowanej blachy. Nie był pewny, czy powinien się teraz ruszać, ale nie chciał zostawać w samochodzie ani chwili dłużej. Odszedł od samochodu na kilka kroków i usiadł w rowie. Zobaczył, że na drodze zatrzymują się pierwsze pojazdy, miał pewność, że teraz jakoś to będzie.

O AUTORZE

Bartosz Chandoszko (ur. 1985) – urodzony w Płocku, mieszkający w Warszawie. Magister ekonomii, bankowiec i liberat. Dyslektyk i dysgrafik, który postanowił się tym nie przejmować. Fan *Krwawego sportu*, *Rambo* i *Terminatora*. Swoją przygodę z książką zaczął w wieku 12 lat od czytania komiksów, teraz czyta wszystko, co zdąży.

Magdalena Drozd

Wspomnienie

Pamiętam, jakby to było wczoraj. Nawet po kilku latach szczegóły tej sprawy nie zamazały się w mojej głowie i są wciąż tak samo wyraźne. To było w sierpniu 2025 roku. Miałam wtedy 28 lat i właśnie skończyłam szkołę policyjną. Skierowano mnie od razu do wydziału kryminalnego w Bielsku-Białej. To było jakieś dwa lub trzy lata po tym, jak Sejm uchwalił nową ustawę, która miała usprawnić prace policji i prokuratury. Wiele było sprzeciwów, ale nic to nie dało i weszło prawo, na mocy którego zaczęto przypisywać prokuratorów do zespołów policji, z którymi mieli pracować nad każdą sprawą. Miało to podnieść skuteczność organów ścigania. Każdy zespół specjalizował się w innym rodzaju spraw. Teoretycznie nie było mowy o niekompetentnych policjantach, którzy robili wszystko na odczepnego lub nie wiedzieli nawet, od czego zacząć postępowanie. Ja zostałam przydzielona do zespołu zajmującego się zabójstwami i morderstwami. Same świeżaki. Na wszelki wypadek nasza prokurator dostała opiekę starszego i bardziej doświadczonego kolegi po fachu, a nam przydzielono kapitana Roberta Moczara. Nikt się z nami nie bawił, mieliśmy jeden dzień na poznanie się, a od następnego zaczynaliśmy pracę. Zespoły śledcze były dobierane pod względem rozwiązywanych przez kandydatów testów psychologicznych oraz rozmów z psychologami. Bardzo rzadko zdarzało się, aby wewnątrz grupy były

jakieś konflikty. Oprócz mnie zespół śledczy tworzyli Judyta Wieczora – nasza prokurator, Olimpia Kruk, Wojciech Strata i Tomasz Pokładnik.

Szybko złapaliśmy wspólny język i równie szybko dostaliśmy pierwszą sprawę, bo już rankiem następnego dnia. Od razu pojechaliśmy na miejsce zdarzenia. W Janowicach, w jednej z wsi pod Bielskiem-Białą, znaleziono pod lasem zwłoki młodej dziewczyny. Nasza terenówka musiała skręcić z głównej drogi na błotnistą ścieżkę, która po ulewach poprzedniej nocy zdawała się pochłaniać w siebie opony. Po chwili zobaczyliśmy migające światła policyjnych samochodów stojących na miejscu i sporą grupą gapiów. Przy policyjnej taśmie stało chyba ze sto osób tłoczących się i przepychających między sobą. Wysiedliśmy szybko i od razu weszliśmy między rozstawione parawany. Pod kolczastymi krzakami leżała czarnowłosa młoda kobieta. Pierwsze, na co zwróciłam uwagę, to jej na wpół otwarte, zamglone niebieskie oczy i lekko rozchylone, sine usta. Twarz wyrażająca dziwną mieszankę strachu i ulgi. Była... utożona. Nogi równo, obok siebie, poprawione ubranie, nigdzie nawet zagięcia materiału. Wyglądała trochę jak biała lalka, którą ktoś tu ładnie ułożył. Jakby do snu. Jej głowa była lekko obrócona w stronę pobliskiego stawu. Miała na sobie bardzo cienką letnią sukienkę oraz ciężką skórzaną kurtkę. Stanowczo na nią za dużą, męską kurtkę, z której rękawów ledwo co wystawały jej białe palce. Jedną ręką obejmowała drugą na brzuchu. Po chwili Judyta odchrząknęła, popatrzyła po naszych twarzach i skinęła delikatnie głową. Teraz jestem pewna, że wyglądaliśmy jak przerażone dzieciaki, które chciały bawić się w policję, ale jak przyszło co do czego, to miały ochotę uciekać z podkulonym ogonem. Ja również przebiegłam szybko wzrokiem po twarzach Oli, Tomka i Wojtka, jednak poza zagubieniem i przerażeniem dostrzegłam na nich także determinację. Podeszliśmy z Judytą do jednego z techników w białych kombinezonach. Prokurator za-

częta zadawać standardowe pytania, a my słuchaliśmy. Wiek około dwudziestu pięciu lat, na pewno nie umarła tutaj, tylko została tu przyniesiona, co potwierdza również brak śladów opon w pobliżu tego miejsca. Dziewczyna ma liczne rany klute. Najwięcej uderzeń w brzuch i klatkę piersiową, ale są też obrażenia szyi oraz ramion. Jakby na potwierdzenie swoich słów technik podszedł do ciała i odchylił poły czarnej kurtki. Cała sukienka była dziurawa i wręcz brązowa od zaschniętej krwi. Przez rozdarcia widać było białe ciało. Dowiedzieliśmy się także, że choć jej ubranie jest całe we krwi, to na samym ciele nie ma po niej śladu. Trochę tak, jakby ktoś ją wcześniej umył, choć może to też mieć związek z wcześniejszą ulewą. Więcej będą nam mogli powiedzieć, kiedy zbadają ją dokładnie w prosektorium. Później podeszliśmy do policjanta, który nadzorował tam pracę innych funkcjonariuszy. Od niego dowiedzieliśmy się z kolei, że dziewczynę znalazł właściciel pobliskiego stawu. Prowadzi tu łowisko, ale teren nie jest ogrodzony. Dostrzegł z okien domu znajdującego się nieco poniżej, że coś leży w krzakach, więc podszedł, żeby zobaczyć, co to jest. Zadzwoił od razu na policję.

– A co tu robi w takim razie pół wsi? – Judyta nie spuszczała wzroku z twarzy policjanta.

– Bez przesady, nie pół wsi, ale wiecie, jak to jest, dzieciaki. Po takiej małej wiosce wieści rozchodzą się bardzo szybko. Gdy jeden z sąsiadów widzi drugiego biegnącego jak na złamanie karku, no to sam wyskakuje z domu i biegnie za nim, żeby zobaczyć, co się właściwie stało. I tym oto sposobem macie tu wszystkich. A że w dodatku mamy sobotę...

– Wiadomo, kim jest ta dziewczyna? Ktoś ją zna? – Judyta weszła mu w słowo – Mieszka tu jakaś jej rodzina lub znajomi?

– No, wszyscy ją tu znają. Jej rodzice mają dom na tamtym wzgórzu – wskazał palcem punkt za plecami Judyty. – Nazywa się Rysa.

- Rysa?
- Larysa, ale wszyscy mówią tu na nią Rysa. A raczej mówili. Larysa Marczenko.

Rodzina zmarłej została już powiadomiona. Jej matka zemdląta i była w szpitalu. Ojciec był w szoku, podobnie jak ich osiemnastoletni syn. Nie mogliśmy ich przesłuchać. Wróciliśmy więc na komendę w Bielsku i zaczęliśmy przeglądać zdjęcia i dokumenty, które zgromadzono do tej pory. Larysa nie mieszkała w Janowicach już od dawna. Wyprowadziła się, kiedy wyjechała na studia do Krakowa, i już na stałe nie wróciła. Często jednak odwiedzała rodziców. Po skończeniu studiów wróciła na Śląsk. Mieszkała jakiś czas w Tychach, ale dostała pracę w Bielsku i tam też znalazła mieszkanie. Tyle wiedzieliśmy.

Kilka następnych dni spędziliśmy na ustalaniu możliwie wszystkiego na temat Larysy. Jej rodzina to Ukraińcy, którzy przeprowadzili się do Polski, kiedy jej jeszcze nie było na świecie. Przybyli tu z matką córeczką, starszą siostrą zmarłej. Kilka lat później urodziła się Larysa, a jeszcze później jej brat Oleg. Na początku nie mieli łatwo z miejscowymi, ale po jakimś czasie stali się częścią tej społeczności. Z pewnością bardzo przyczyniło się do tego przejście rodziny na katolicyzm. Ojciec Larysy Aleksander jakiś czas temu założył przedsiębiorstwo. Wielu okolicznych mieszkańców się u niego zatrudniło. Godziwie płacił, więc szybko go polubiono. Jego żona Tatiana była nauczycielką w pobliskiej podstawówce. Tak bardzo żyli się z mieszkańcami, że 24 sierpnia z okazji ukraińskiego Dnia Niepodległości organizowano we wsi festyn. Musieliśmy więc porozmawiać nie tylko z rodziną, ale i z pracownikami firmy Aleksandra oraz pobliskiej szkoły. Najpierw mieliśmy jechać do nich razem, a potem rozdzielić się na dwa zespoły. Jeden miał przesłuchać ludzi z firmy, a drugi dyrekcję i nauczycieli z podstawówki. Zadzwoniliśmy więc, gdzie trzeba, i umówiliśmy nasze wizyty.

Rodzina Marczenko mieszkała na wzgórzu w ładnym, niewystawnym domu. Widać było, że jest nowy, ale nie był stawiany po to, aby dźgać sąsiadów w oczy swoim bogactwem i przepychem. Nie było elektrycznej bramy ani nawet domofonu przy furtce. Jedynie dzwonek oraz dwie tabliczki na płocie. Jedna z nich nosiła napis „Marczenko”, a druga, wisząca niżej, „Марченко”. Kiedy zajęliśmy na podjazd, z domu wyszedł ojciec Larysy. Podeszedł do bramki i bez słowa, jedynie gestem zaprosił nas do środka, chwytając jedną z rąk za plecami. Oczywiście miał czerwone i zapuchnięte. Nie tylko on. Kiedy byliśmy już w środku, zobaczyłam siedzącą na bogato zdobionej kanapie w salonie żonę Aleksandra oraz jego syna. Ona głaskała go po głowie trzęsącą się ręką i nieprzytomnym wzrokiem patrzyła przed siebie. Kiedy usiedliśmy, Aleksander zaproponował nam coś do picia i poprosił syna o pomoc, po czym obaj zniknęli w kuchni. W ich domu było wiele pięknie i bogato zdobionych drewnianych mebli. Zaczęliśmy wyciągać dokumenty, dyktafony i notatniki, gdy wrócili Aleksander z Olegiem. Na stole postawili niewielki srebrny czajniczek, obok niego duży dzban gorącej wody, pod którym stała podstawka z pogrzewaczem. Kiedy przy stole otrzymał piękną filiżankę na spodeczku. Wtedy też zauważyliśmy, że ręka Aleksandra jest tak mocno zabandażowana, że opatrunek powiększał zarys jego dłoni. Ojciec i syn usiedli obok Tatiany. W tym momencie jakby się ocknęła z letargu, spuściła podkulone nogi na ziemię i popatrzyła na nas. Chcieliśmy to załatwić możliwie jak najdelikatniej, bo wiedzieliśmy, że rodzina cierpi. Najpierw jednak musieliśmy się dowiedzieć, co stało się z ręką naszego gospodarza. Wyjaśnił, że kilka dni temu poważnie się poparzył i musi nosić bandaż przez kilka najbliższych tygodni. Zauważyłam, że kiedy to mówił, jego żona na chwilę skierowała swój wzrok na niego, po czym w jej oczach pojawiły się łzy. Spuściła na chwilę głowę. Zaczęliśmy pytać o Larysę. Jak wyglądały ich relacje, jak jej się wiodło w pracy, czy nie miała żadnych pro-

blemów ani wrogów, czy miała jakichś przyjaciół itp. Dziewczyna spokojna, nigdy nie było z nią żadnych problemów, dobrze się uczyła i odkąd skończyła studia i zamieszkała w Bielsku, raz na jakiś czas przyjeżdżała w odwiedziny. Na wsi miała wielu znajomych z podstawówki, zresztą jej ojca znał tu każdy. Pracowała w firmie internetowej, która miała siedzibę w centrum miasta. Zajmowała się obsługą klienta i rodzice nie słyszeli, żeby miała tam jakiegolwiek problemy, a już tym bardziej wrogów. Jedyne znane rodzinie „ciemne” okresy w jej życiu to studia. W tym czasie niewiele się kontaktowała i rzadko przyjeżdżała, a kiedy już bywała w domu, była wygaszona i bardzo zamknięta w sobie. Bardzo blisko była ze swoją siostrą Nadią, która na wieść o jej śmierci wracała do Polski. Po skończeniu studiów wyjechała do Australii i tam ułożyła sobie życie. Dziewczyny bardzo często ze sobą rozmawiały. Larysa od kilku lat miała chłopaka Igora, którego szczególnie lubił Aleksander. Poznali się z jego córką, zanim ta wyjechała na studia. Po jej powrocie nadal się spotykali i wszyscy już czekali na ogłoszenie zaręczyn i zapowiedzi w kościele. Z tego, co mówił Aleksander, wynikało, że największą zaletą Igora było to, że jest Polakiem. Ponadto przystojny, troskliwy i bardzo dbający o swoją dziewczynę. Ostatni raz widzieli Larysę jakieś trzy, cztery tygodnie temu. Najwięcej mówił Aleksander. Tatiana i Oleg niemal wcale się nie odzywali. Podziękowaliśmy za informacje. Poprosiliśmy jeszcze o adres jej mieszkania, nazwę firmy, w której pracowała, oraz dane mężczyzny, z którym się spotykała. Czekaliśmy jeszcze przesłuchania w firmie Aleksandra oraz szkole Tatiany.

Ja, Oli i Wojtek pojechaliśmy do siedziby firmy, a Judyta i Tomek do podstawówki. Przedsiębiorstwo Aleksandra mieściło się na skraju wsi i zgodnie z ustaleniami telefonicznymi wszyscy pracownicy byli obecni. Skierowano nas do jednej z dusznych kanciap, a po chwili zaczęliśmy rozmawiać z każdym z nich z osobna. Aleksander to dobry pracodawca, wypłata na czas, praca jest na-

wet zimą, bo on zawsze potrafi zdobyć jakieś zlecenie, daje umowę o pracę i nie robi też problemu, jeśli trzeba nagle wziąć wolne czy też kogoś dodatkowo wspomóc finansowo. Zawsze można na niego liczyć. Na pewno nie miał żadnych wrogów, a już tym bardziej Rysa. Ładna była, wielu chłopaków się za nią oglądało i wielu znajomych we wsi miała. Ostatnim z pracowników był Adam Gryzto, ojciec Igora. Powtórzył o Aleksandrze niemal to samo co inni, ale przypomniał sobie, że kilka tygodni temu był świadkiem sytuacji, w której jacyś Ukraińcy prosili jego szefa o pracę, a ten pogonił ich z posesji. Wygrazali mu się. Przyjechali znowu kilkanaście dni temu. Aleksander najpierw krzyczał na nich w swoim biurze, ale szybko ściszył głos. Rozmawiał z nimi dobrą godzinę. Kiedy wyszli zaczął mówić, niby od niechcenia, że trzeba będzie dokładnie spojrzeć na finanse firmy i szybko poszukać oszczędności. Podziękowaliśmy wszystkim za pomoc. Zaczęliśmy zbierać swoje rzeczy i pakować je do samochodu, kiedy zadzwoniła Judyta. Wyglądało na to, że dostaliśmy kolejną sprawę i mamy jechać na miejsce zdarzenia. Na dodatek technicy skończyli swoją pracę i chcą nam przedstawić swoje wnioski na temat Larysy. Pojechaliśmy do starej części fabrycznej Bielska. Adres wskazywał na jedną z hal po zamkniętej fabryce Fiata.

Wielki zakład przerobiono najpierw na małe pomieszczenia, ale po budowie nowych fabryk części do Boeinga oraz francuskich Karakali wszystko upadło i teraz tylko straszło. W zimie przed mrozami chronili się tu bezdomni, ale latem było tam tak gorąco, że prawie nie dało się oddychać, więc nikt się tam nie zapuszczał. Kiedy przyjechaliśmy na miejsce, Judyta i Tomek już tam byli, a wraz z nimi kilka pojazdów policyjnych. Dostrzegłam też kilka osób w charakterystycznych białych kombinezonach. Judyta wyjaśniła pokrótce, że kilku uczniów pobliskiego liceum urwało się na wagary i postanowili właśnie tu spędzić resztę dnia, kiedy poczuł straszliwy smród i chcieli sprawdzić, co to może być. Nie

była jeszcze w środku i czekała na nas. Powiedziała też, że bez masek powietrznych się nie obejdzie. Jakiś czas były na wyposażeniu straży pożarnej, ale kilka odkupiła nasza komenda policji. To było jakiś czas po tym, gdy w szybkim tempie zaczął rosnąć odsetek zabójstw. Mała maska obejmowała nos i usta i miała niewielkie zbiorniki tlenu z przodu. Założyliśmy po jednej i pełni obaw weszliśmy do środka. Budynek był stary, obskurny i tak zniszczony, że zastanawiałam się, jakim cudem w ogóle jeszcze stoi. Było tam tak koszmarnie gorąco, że czułam, jak po plecach płyną mi strużki potu. Kiedy weszliśmy do małego pomieszczenia na końcu długiego korytarza, na widok tego, co tam było, nie tylko ja miałam odruch wymiotny. Pośrodku niewielkiego pokoju z jednym małym okienkiem pod sufitem stało krzesło i przywiązane do niego zwłoki. A raczej to, co kiedyś nimi było. Wielka, czarna masa ledwo co już przypominała w ogóle zarys człowieka. Trup miał ręce i nogi przywiązane do krzesła, ale ciężko było to wtedy stwierdzić, bo liny widoczne na nóżkach mebla już dawno wbiły się w zgniłe członki. Brzuch był rozplatany, a na nogach leżało to, co było kiedyś jego narządami oraz cała masa wijących się robali. Opuchnięta głowa odchylona była do tyłu. Z ust wystawał czarny język, a w oczodołach zagnieździły się białe larwy. Na głowie prawie nie miał włosów. Ciało pokryte było czymś, co wtedy wydawało mi się wielkimi, popękanyymi wrzodami. Wierzchnia warstwa ciemnej skóry odchodziła całymi płatami. Niemal wszędzie były ślady rozbryzganej krwi. Wielka ciemna plama widniała również pod krzesłem. Leżały w niej też włosy. Podeszedł do nas jeden z techników i stwierdził, że na razie nie są w stanie nam niczego powiedzieć, muszą wszystko dokładnie obejrzeć i szczegółowo zbadać ciało. Zebrali z ziemi wszystkie ślady oraz pobrali materiały i próbki do badań, więc mogliśmy się rozejrzeć i sfotografować wszystko, co chcemy. Oli zaproponowała, że się tym zajmie i ze swojej torby wyjęła cyfrowy aparat. Naszą uwagę zwróciły jeszcze dwa krze-

stała w pomieszczeniu. Ustawione były tak, że jedno stało tyłem do zwłok, a drugie stało dokładnie naprzeciw niego. Tak jakby siedziały tutaj jeszcze dwie osoby, zwrócone do siebie twarzami, ale jedna z nich była tyłem do drzwi i zamordowanego. Krzesła ustawione były w jednym rzędzie. Szybko wyszliśmy stamtąd, z ulgą zdejmując maski i wciągając w płuca gorące, letnie powietrze.

Wróciliśmy na komendę, aby omówić obecne ustalenia dotyczące śmierci Larisy. Tatiana była lubiana nauczycielką, zarówno przez dzieci, jak i rodziców. Nie zauważono niczego niepokojącego, co mogłoby zwrócić uwagę jej kolegów lub dyrekcji. Zwyczajna pedagog w wiejskiej szkole. Wyglądało więc na to, że ani ojciec, ani matka zamordowanej nie mieli żadnych wrogów. Po naradzie poprosiliśmy do siebie techników, którzy mieli omówić wnioski po zbadaniu miejsca znalezienia zwłok Larisy Marczenko. Stwierdzili, że zmarła na skutek wielonarządowego urazu wewnętrznego, otrzymała w sumie ponad siedemdziesiąt ciosów nożem, głównie w brzuch i klatkę piersiową. Kilka ran miała na szyi i ramionach. Była w ciąży, czwarty tydzień. Przed śmiercią wielokrotnie ją bito, została również zgwałcona. Kilka razy. Mocno ją do czegoś przywiązano, o czym świadczą rany na kostkach i nadgarstkach. Otarcia na twarzy i w kącikach ust wskazują, że czymś ją kneblowano. Straciła wiele krwi i w chwili zgonu była ubrana w to, co miała na sobie, kiedy ją odnaleziono. Oprócz kurtki. Tę nałożono na nią jakiś czas po zgonie. Została też umyta. Dokładnie obmyto jej rany, znaleziono w nich też środek do dezynfekcji, jakby ktoś je odkażał. Sukienka była prawie nienaruszona, bo w czasie ulewy zabezpieczyła ją skórzana kurtka. Co więcej, była na niej nie tylko jej krew. Były też niewielkie ilości krwi należącej do innej osoby, mężczyzny. Po przebadaniu ciała stwierdzili, że zmarła jakieś dwadzieścia, dwadzieścia cztery godziny przed tym, zanim ją odnaleziono, i na pewno przebywała w klimatyzowanym pomieszczeniu. Było coś jeszcze – nie miała czterech palców lewej ręki. Zostały odcięte już

po jej śmierci. Po wystuchaniu wszystkiego umówiliśmy się na następny dzień z jej chłopakiem oraz na wizytę w jej miejscu pracy.

Tymczasem postanowiliśmy się jednak zająć sprawą z fabryki. Przeglądaliśmy zdjęcia i staraliśmy się wytawać z nich wszystko to, co mogłoby nam powiedzieć, co się tam wydarzyło. Tomek szczególnie uważnie przyglądał się plamom krwi na ścianach. Po chwili stwierdził, że wydaje mu się, iż ofiara będzie mieć na ciele więcej ran niż tylko na brzuchu. Pokazywał nam zdjęcia i wskazywał palcem na układ plam na ścianie i miejsce, gdzie były zwtoki. Wyglądało na to, że sprawca zadał kilka ciosów, z których krew odprysnęła na ściany i sufit. Przeglądaliśmy się temu wszystkiemu, kiedy do naszej sali wszedł posterunkowy z informacją, że są tu do naszej dyspozycji chłopcy, którzy znaleźli ciało. Pozbieraliśmy wszystkie zdjęcia ze stołu i poprosiliśmy o ich przyprowadzenie. Weszło czterech niemal dorosłych chłopaków, pogarbiionych ze spuszczoneymi głowami. Usiedli jeden obok drugiego po jednej stronie stołu. My siedzieliśmy po drugiej, na środku Judyta, a reszta zespołu po jej lewej i prawej stronie. Za wiele się od nich nie dowiedzieliśmy. Urwali się z zajęć, bo dzień był piękny i ciepły, a teren fabryki wybrali przez przypadek. Aby ich nikt nie zobaczył, przeszli do środkowej części kompleksu. Siedzieli tam przez chwilę w cieniu ogromnych budynków i pili piwo. Czuli smród i postanowili dla rozrywki ustalić, skąd pochodzi. Chodzili jakiś czas po ruinach, aż trafili pod zamknięte drzwi, spod których wychodziły białe robaczki. Sprawdzali, czy nie ma tam jakiegoś okna. Gdy znaleźli niewielki otwór, jednego z nich podsadzili, aby zajrzał do środka. Co zobaczył, wiedzieliśmy, ale chłopak, gdy to opowiadał, urwał właśnie w tym miejscu. Do oczu napłynęły mu łzy. Otart je szybko i pochylił głowę. Towarzysze patrzyli na niego ze współczuciem. Pytani stwierdzili, że nie zauważyli w pobliżu niczego szczególnego, nic nie zwróciło ich uwagi. Po ich wyjściu przyszedł jeden z techników naszego laboratorium i zreferował

wstępne ustalenia. Ofiarą w fabryce był na pewno mężczyzna. Nie żyje od trzech, czterech tygodni. Temperatury panujące w ostatnim czasie przyspieszyły proces rozkładu. Muszą go jeszcze dokładnie zbadać, ale wygląda na to, że pomimo iż na ścianach jest całe mnóstwo krwi, zginął od rany na brzuchu. Ślady na podłodze wskazują, że były tam jeszcze dwie osoby. Sprawdzali, czy byli tam w chwili zamordowania mężczyzny, czy też może przed lub po jego śmierci. Mieli dać nam znać, gdy ustalą coś więcej, bo właśnie przewożą ciało do jednego z laboratoriów medycyny sądowej.

Następnego dnia byliśmy umówieni z Igorem Gryzłó, chłopakiem Larysy oraz jej szefami i współpracownikami. Pierwszy na liście był życiowy towarzysz zamordowanej. Mieszkał na obrzeżach Bielska w domu jednorodzinnym. Prowadził małą firmę internetową. Kiedy otwierał nam drzwi, zobaczyliśmy doskonale ubranego młodego mężczyznę – człowieka sukcesu, który swoją postawą i mową ciała dawał do zrozumienia, że wie i może wszystko. Grzecznie zaprosił nas do salonu, wskazał nam wielką kanapę oraz fotele, po czym zaproponował coś do picia. Zaczęliśmy pytać o Larysę, o to jak układały się stosunki między nimi. Patrzył na nas przez chwilę, potem smutno się uśmiechnął i upił łyk soku ze szklanki, która przed nim stała. Opowiadał, jak to poznał Larysę jeszcze w Janowicach i jaka z nich była świetnie dobrana para. Zdarzały się między nimi czasami kłótnie, jak w każdym związku, ale byli razem szczęśliwi. Nie przerywając swojego wywodu wstał, podszedł do komody i wyjął z niej małe, czarne pudełeczko. Po jego otwarciu ukazał się nam złoty pierścionek z czerwonym diamentem. Prawdziwy rubin. Chciał się Larysie oświadczyć, planowali wspólną przyszłość. Niestety, po jej powrocie ze studiów wszystko zaczęło się między nimi psuć. Najpierw były tylko sprzeczki, ale z czasem kłócili się coraz częściej i coraz bardziej. Oboje chodzili źli i roztrzęsieni wiecznymi pretensjami, co zaczęło przekładać się na pracę każdego z nich. Doszli

w końcu do wniosku, że to nie ma sensu i lepiej będzie się rozstać. Było to jakiś rok wcześniej. Postanowili jednak nie mówić o tym nikomu, ponieważ szczególnie ojciec Larysy mógłby to źle znieść. Poza tym oboje bywali w domach rodzinnych raz na jakiś czas, więc nie widzieli potrzeby, aby kogokolwiek wyprowadzać z błędu. Widywali się okazjonalnie. Czasami umawiali się gdzieś w mieście na kawę. Na pytanie, czy mogła mieć jakieś problemy w domu lub pracy, zastanowił się chwilę i powiedział, że jakiś czas temu mówiła coś o swoim szefie. Nie chciała wdawać się w szczegóły, a i on nie naciskał. Gdy pytaliśmy o jej przyjaciół powiedział, że nie miała ich wielu, a najbliższe jej osoby pracowały razem z nią. Nie pamiętał, jak się nazywały. Mężczyzna w pewnym momencie nachylił się w naszą stronę i opierając łokcie na kolanach, stwierdził, że jeśli tylko będzie mógł w czymś pomóc, to jest do naszej dyspozycji. Powiedział także, że choć już od dawna nie byli z Larysą blisko, jej śmierć bardzo go zaboląta. Prosił o wieści, gdy coś ustalimy. Przeprosił też, że niewiele mógł nam powiedzieć.

Po wyjściu od Igora pojechaliśmy do pracy Larysy. Mieściła się ona w kompleksie, który powstał po odnowieniu starych fabryk włókienniczych. Byliśmy umówieni z bezpośrednimi przełożonymi zamordowanej oraz osobami, z którymi pracowała na co dzień. Wyznaczono nam pokój. Aby móc w spokoju zapytać o wszystko, co nas interesowało, najpierw spotkaliśmy się z jej szefem – Markiem Przybyłą. Wysoki, postawny i przede wszystkim sprawiający wrażenie człowieka górującego nad wszystkimi i wszystkim. Niewiele był nam w stanie o swojej pracownicy powiedzieć. Prawie nie bywał w biurze, odkąd ona oskarżyła go o molestowanie. Dyrektor oddziału polecił mu zacząć pracować z domu. Jego obowiązki nie wymagały bezpośredniej obecności w biurze. Pan Przybyła twierdził, że został pomówiony, a oskarżenie negatywnie wpłynęło nie tylko na jego małżeństwo, ale i na pozycję w branży. Kiedy zapytaliśmy go o pracę Larysy, stwierdził tylko, że była

pracownikiem przeciętnym. Nie była najgorsza, ale i niczym się nie wyróżniała. Następnie poprosiliśmy do siebie jej współpracowników. Według nich była dobrym pracownikiem i koleżanką. Zawsze miła i chętna do pomocy. Każdy twierdził, że sprawa z molestowaniem nie jest wyssana z palca, i to oni doradzili jej zgłoszenie tego. Marek najpierw próbował z nią flirtować, zapraszał ją na jakieś wyjazdy czy też delegacje. Cztery razy mu odmawiała. Nie przyjmował tego do wiadomości. Gdy była obojętna na jego starania, zaczął ją, niby przypadkiem, dotykać i się o nią ocierać. Ignorowała to nadal do momentu, kiedy złapał ją za tyłek. Odwróciła się wtedy i uderzyła go pięścią w twarz. Złamała mu nos. Spoliczkował ją. Wtedy Larysa wszystko zgłosiła, a szefa od nich odsunięto. Od tej pory czepiał się jej o wszystko. Chciał, żeby odeszła, ale ona się nie zgodziła. Klienci byli zadowoleni z jej obsługi, a dyrekcja nie miała jej czego zarzucić. To wystarczyło. Zapytaliśmy o jej życie prywatne, ale tylko część rozmówców mogła coś na ten temat powiedzieć. Larysa przyjaźniła się bliżej z trzema dziewczynami, a z jedną z nich – Gosią, poznała się jeszcze na studiach. Bywały dni, kiedy Larysa przychodziła do pracy bardzo smutna i przybita. Co chwilę wychodziła wtedy do łazienki i podniesionym głosem rozmawiała przez telefon. Jakies dwa miesiące temu zaczęła się zmieniać. Przychodziła radosna i szczęśliwa. Odeżyła. Od razu było to widać. Jednak miesiąc temu przyszła bardzo zdenerwowana i roztrzęsiona. Powiedziała tylko, że nie będzie jej w pracy przez jakiś czas, że musi załatwić coś bardzo ważnego, wypisała wniosek o miesięczny urlop i poszła do domu. Od tamtej pory nikt jej nie widział i z nikim się nie kontaktowała. Nie odbierała telefonów i przyjaciółki nie mogły jej zastać w mieszkaniu. Kiedy zaczęły się martwić, dowiedziały się, że nie żyje.

Wróciliśmy na komendę i na podstawie zgromadzonych do tej pory informacji na tablicy w naszym gabinecie wszystko rozpisaaliśmy. Siedzieliśmy i zastanawialiśmy się nad wszystkim, kie-

dy do pokoju weszli pomagający nam posterunkowy oraz jeden z techników z nowymi informacjami. Po pierwsze, jakiś miesiąc temu Larysa była na innej komendzie w Bielsku i pytała o procedurę zgłaszania zaginięcia, ale kiedy posterunkowy chciał przyjąć zgłoszenie, powiedziała, że jeszcze się odezwie i wyszła. W laboratorium zbadali jej rany i można było stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, że zadano je jednym nożem, który miał z jednej strony drobne ząbki. Ale to nie był koniec. Po zbadaniu miejsca zbrodni w fabryce okazało się, że Larysa tam była. Odciski stamtąd pasują do sandałów, w których ją znaleźliśmy, ale są one tylko w tym jednym pokoju w fabryce. Nie ma ich nigdzie indziej. Były tam jeszcze inne ślady, których z kolei jest sporo nie tylko w pomieszczeniu, ale i na korytarzu do niego prowadzącym i na zewnątrz budynku. Znalezione też pod jednym z krzesel paznokcie Larysy. Co więcej, dodatkowa krew na jej sukience należy właśnie do zamordowanego z fabryki. Technicy nadal pracowali nad ustaleniem jego tożsamości. Wiadomo jednak, że poza wielką raną na jego ciele było też kilka mniejszych, kłutych, szczególnie na nogach i rękach. Obrażenia czaszki wskazują, że został przed śmiercią mocno pobity. Ostrze, które spowodowało rozcięcie brzucha, było spore, a cięcie jedno i mocne. Tak jak przypuszczali – zmarł około miesiąca wcześniej.

Ponieważ nie znaleźliśmy jeszcze tożsamości mężczyzny, postanowiliśmy skupić się na sprawie Larysy. Po kilku godzinach narad i przeglądnięciu zeznań wszystkich przesłuchanych do tej pory osób stwierdziliśmy, że konieczne będzie ponowne porozmawianie z rodziną Marczenko, a w szczególności z jej siostrą oraz jedną z koleżanek z pracy, która знаła ją jeszcze od czasów studenckich. Kolejne rozmowy przeprowadziliśmy już na komendzie. W pokojach przesłuchań mieliśmy zamontowane kamery, więc wszystkie nagrania mogliśmy później na spokojnie przeanalizować. Judyta

z Olimpią i Wojtkiem mieli rozmawiać z rodziną zamordowanej, a ja i Tomek z jej przyjaciółką z czasów studiów.

Małgorzata Ludecka pracowała z Larysą od kilku lat, wcześniej razem studiowały. Usiedliśmy z nią w małym pokoiku ze stolikiem i krzesłami ustawionymi po obu jego stronach. Zapytaliśmy najpierw o studia i o to, co podczas nich działo się z Larysą. Pani Małgorzata najpierw wzięła głęboki oddech, a potem opowiedziała nam o tym, jak wtedy jeszcze jako nastoletnie dziewczyny postanowiły zdobyć więcej pieniędzy na swoje utrzymanie, oferując miłym i bogatym panom swoje wdzięki. Na początku to nie było takie proste, ale przyszedł do nich pewnego dnia jeden chłopak, którego nazywali Rusek. Zaproponował im, że za pewien procent od zarobków pomoże im znaleźć klientów. Były młode i głupie, więc się zgodziły. Rusek dotrzymał słowa. Miały wielu klientów, samych zadbanych i kulturalnych gentlemanów. Pieniądze dostawały do ręki i zgodnie z umową ich część przekazywały Ruskowi. Na początku wszystko układało się świetnie – miały na utrzymanie, kupienie sobie czegoś ładnego, pójście na obiad do dobrej restauracji. Później jednak Rusek zaczął żądać coraz więcej, a klienci, z którymi się spotykały, byli coraz gorsi. Pewnego razu Larysa została zgwałcona. Chciała pójść z tym na policję, ale Rusek powiedział, że jeśli to zrobi, wszyscy dowiedzą się, czym się zajmowała. Mówił, że ma masę zdjęć oraz filmów. W kółko to powtarzał. Tego bały się najbardziej – zniszczonego życia z powodu błędu młodości. Skończyły z tym na pół roku przed obroną dyplomów. Rusek jednak zaczął wymyślać, że są mu jeszcze winne sporo kasy, bo umawiały się z nim, że pracują do końca nauki. Od każdej z nich żądał 40 tys. zł. Szybko wyjechały, trochę się bojąc, że robi to, co obiecywał. Zamieszkały w Tychach w trójkę z Weroniką, jeszcze jedną dziewczyną, którą poznały u сутенера. Miały dobrą pracę, ale kilka miesięcy później na ulicy zobaczyły Ruska. Tydzień później znaleziono Weronikę martwą w jakiejś uliczce. Wystraszyły

się i znów przeprowadziły. Tym razem do Bielska-Białej. Znalazły tu pracę, a Larysa znów zaczęła regularnie spotykać się z Igorem. Rok później przeczytały w internecie, że małopolska policja rozbiła gang zmuszający studentki do prostytucji, a jego członkowie dostali wyroki od dziesięciu do dwudziestu lat więzienia. Niektórym się jednak upiekło, bo nie znaleziono na nich żadnych dowodów. Były przekonane, że bez pomocników Rusek im nic nie zrobi. Nikomu nie mówiły o tym, co się w czasie studiów działo. Pani Małgorzata trzęsała się cała, kiedy nam to opowiadała. Co do sytuacji w pracy, wyznała, że ich szef wielokrotnie Rysę molestował. Po zgłoszeniu tego przetożonym znienawidził ją. Podziękowaliśmy pani Ludeckiej za rozmowę. Oglądaliśmy oba nagrania i notowaliśmy każdy szczegół i każde zdanie, które naszym zdaniem mogło okazać się przydatne. Rodzina nie powiedziała niczego nowego, nie wiedzieli, co działo się z Larysą na studiach, a po ich skończeniu też nie mieli podstaw do niepokoju. Na przesłuchanie Oleg przyszedł z ręką w temblaku. Jego matka podczas rozmowy przez cały czas obejmowała go ramieniem. Kiedy Judyta zapytała, co się chłopakowi stało, jego ojciec z dziwnym uśmiechem wyjaśnił, że potknął się na schodach i złamał rękę.

Z perspektywy czasu wiem, że popełniliśmy wtedy masę błędów, które później nam się już nie zdarzyły. Ale tak to już jest, kiedy po pierwsze ma się tylko wiedzę teoretyczną, a po drugie nie korzysta z możliwości poradzenia się kogoś starszego i mądrzejszego. Wszystko chcieliśmy zrobić sami. Staraliśmy się robić, co w naszej mocy, aby sprawę Larysy Marczenko rozwiązać. Kiedy tak siedzieliśmy u siebie i analizowaliśmy wszystko, przyszła wiadomość od techników – mężczyzna znaleziony w fabryce to Igor Młynarczyk. Nienotowany, brak mandatów, a jedyne, co o nim znaleźliśmy w bazie, to fakt, że wiele lat temu brutalnie zamordowano jego rodziców. To była głośna sprawa, którą przerabialiśmy na studiach. Wyprowadził się z Sopotu, gdzie wtedy mieszkał.

Wynajmował małe mieszkanie w Pszczynie i tam też pracował w jednej z firm budowlanych. Od razu udała się tam Judyta. Pod jej nieobecność postanowiliśmy jeszcze sprawdzić mieszkanie Larysy, bo już od kilku dni mieliśmy tam pojechać. Mieszkała w jednej z kamienic niedaleko centrum miasta. To była mała kawalerka, bardzo ładnie urządzona. Na błękitnych ścianach granatową farbą i piękną czcionką wymalowanych było całe mnóstwo cytatów pochodzących z najróżniejszych książek. Jedne napisane były po polsku, a inne cyrylicą po ukraińsku. Nad jej starannie pościelonym łóżkiem widniał największy z nich. Pamiętam go do dzisiaj. „Boże, daj mi pogodę ducha, abym pogodził się z tym, czego zmienić nie mogę, odwagę, abym zmieniał to, co zmienić mogę i mądrość, abym zawsze potrafił odróżnić jedno od drugiego” – „Rzeźnia numer pięć”. Niczego niezwykłego tam nie znaleźliśmy, ale zwróciłam uwagę, że o ile w domu jej rodziców jest całe mnóstwo najróżniejszych zdjęć, u niej nie było ani jednego. Wezwaliśmy ekipę, która zajmowała się przeszukiwaniami domów i mieszkań. Mieliśmy nadzieję, że może oni znajdą coś, co okaże się przydatne w śledztwie. Zabraliśmy ze sobą jej laptop i wróciliśmy na komendę. Judyta przyjechała późnym wieczorem, kiedy siedzieliśmy jeszcze nad aktami. Zamordowany mężczyzna zwolnił się z pracy trzy miesiące temu, a umowę najmu mieszkania miał do października. Nadal nie wiedzieliśmy, co Igor Młynarczyk robił w Bielsku i dlaczego został tak brutalnie zamordowany.

Następnego dnia po przyjeździe do pracy do Judyty zadzwonił Aleksander Marczenko. Jego najstarsza córka Nadia ląduje dziś w Polsce i od razu przyjedzie do domu. Bardzo chce z nami porozmawiać. Zebraliśmy się od razu i pojechaliśmy do Janowic. Ledwo co weszliśmy do domu państwa Marczenko i już mieliśmy pytać o Igora Młynarczyka, gdy cała rodzina najpierw rzuciła się do okna, a potem do drzwi. Wyrzałam przez okno i zobaczyłam wysoką czarnowłosą kobietę, bardzo podobną do Tatiany i Lary-

sy, która zapłakana, ciągnąc za sobą dużą walizkę, szybkim krokiem pokonywała drogę między furtką a domem. Padła w ramiona rodziców i wtedy wszyscy zaczęli szlochać i płakać. Po chwili dziewczyna zaczęła wypytывать rodziców o szczegóły śmierci siostry. Ojciec krótko wszystko jej wyjaśnił. Igor pomaga w organizowaniu pogrzebu, a rodzina i znajomi byli już powiadomieni. Nadia ucichła, oderwała głowę od ramienia matki i zapytała:

– Igor się znalazł?

Patrzyliśmy na nią wszyscy, jakby siarczyście zakłęta. Judyta podeszła do niej szybko i ciągnąc ją za ramię do salonu, zapytała, co miała na myśli, mówiąc, że się znalazł. Nadia zerknęła na swoich rodziców i niepewnym głosem poprosiła, abyśmy wyszli. Szybko zebraliśmy nasze rzeczy i poszliśmy za Nadią do jej pokoju na piętrze, pozostawiając w salonie tkwiącą w szoku rodzinę.

Kiedy byliśmy sami, wzięta głęboki oddech i powiedziała, że jakiś miesiąc temu siostra dzwoniła do niej i mówiła, że Igor nagle zniknął. Nie wiedziała, co się z nim dzieje. Płakała, że ma złe przeczucia, i mówiła o swoich obawach. Judyta przekazała jej nasze ustalenia, że przecież Larysa od dawna nikogo nie miała, a sam Igor Gryzłło ma się dobrze. Nadia pokręciła przecząco głową. Stwierdziła, że jej siostra miała już kogoś nowego. Igor zawsze był agresywny i od zawsze bił Larysę. Jednak przy innych zmieniał się nie do poznania. Miły, czarujący, towarzyski. Nadia miała go za psychola, ale siostra była w nim na początku szaleńczo zakochana. Ona z kolei wiedziała, że ich ojciec był związkiem zachwycony, bo uwielbiał Polaków, więc nie poruszała tej kwestii w domu. Nadia opowiedziała, jak wszystko przyszło, kiedy jej siostra wyjechała na studia, bo zakończyła związek. Wiedziała też, czym się tam Larysa zajmowała, ale nikomu nie powiedziała. Po powrocie do Bielecka Igor przyszedł do Larysy i powiedział, że chce się zmienić i że więcej jej nie uderzy. Błagał, żeby dziewczyna do niego wróciła. Nadia ją od tego odwozili, ale jej siostra postanowiła dać Igoro-

wi drugą szansę. Nie zmienił się wcale, nadal bił Larysę, ale zawsze tak, aby łatwo było ukryć siniaki. Ona to znosiła, lecz zorientowała się, że nie można go zmienić, i zerwała z nim jakieś trzy miesiące wcześniej. On jednak nie przyjął tego do wiadomości. Nadal ją nachodził, groził że jeśli się z kimś zwiąże, to tego pożałuje. Kiedyś napadł ją w kawiarni, zaczął szarpać. Zareagował młody mężczyzna, który obronił Larysę, a potem grożąc policją, przegonił Igora. To było jakieś dwa miesiące temu. Mężczyzna szukał w Bielsku mieszkania. Młodzi zaczęli się spotykać, a Larysa potrafiła dzwonić i pisać codziennie, opowiadając, jaka jest szczęśliwa. Jednak miesiąc później Rysa znów zadzwoniła, zdenerwowana i zaptakana z powodu zniknięcia swojego nowego chłopaka. Starsza siostra uspokajała ją i pocieszała. Trzy tygodnie później zadzwoniła ich matka z wiadomością, że Larysa nie żyje. Nadia zaczęła wtedy tak strasznie płakać i łkać, że ledwie ją rozumieliśmy. Między spazmami wyrzucała sobie, że to jej wina, że nie mogła ochronić siostry. Judyta poprosiła o imię i nazwisko tego nowego chłopaka. Igor Młynarczyk.

Wybiegając z domu rodziny Marczenko, każdy z nas wisiat na telefonie. Kiedy ruszyliśmy w stronę domu Igora Gryzła, w drodze był już oddział policji, który miał go aresztować. Wokół jego działki było pełno wozów policyjnych i gapiów. Gdy weszliśmy do środka, Igor siedział w salonie ze skutymi rękami i patrzył w podłogę. Podeszedł do nas jeden z policjantów, wręczając zamkniętą w foliowym worku maskę gazową, którą Igor miał na sobie, gdy go znaleźli, oraz małe czarne pudełeczko, które już wcześniej widzieliśmy. Skierowano nas do piwnicy. Naszym oczom ukazało się całkiem spore pomieszczenie, które oświetlały jarzeniówki, całe wypłytkowane na biało, tącznie z sufitem. Poczuliśmy ostry zapach rozpuszczalnika. Pod jedną ze ścian były drzwi do szafy wnękowej, w której znaleźliśmy duże krzesło z oparciem, zestaw noży i pił ułożonych idealnie na małym stoliczku z kótkami, a na

ściankach zawieszone różnego rodzaju narzędzia, szczypce, wiertła i tasaki. Od razu kazaliśmy wszystko zabezpieczyć, przebadać w trybie pilnym, przeszukać cały dom z ogrodem i dokładnie sфотографować.

Długo nie chciał się do niczego przyznać. Z uśmiechem na twarzy twierdził, że z morderstwem Larysa nie ma nic wspólnego. Zabezpieczono już jednak ślady krwi dziewczyny w jego łazience, na złotym pierścionku oraz... jej serdeczny palec. Znalezione go w jego ogródku. Zakopany pod sadzonką pnącej róży. Opowiedział w końcu, jak to było. Był rozluźniony i uśmiechnięty przez cały czas. Chciał być z Larysą, bo ją kochał. Nie mógł znieść, że go zostawiła i związała się z innym. Porwał Igora, aby zmusić ją do dziewczynę do powrotu. Zawiózł go do starej fabryki, w której kiedyś wynajmował małe biuro. Przywiązał do krzesła i pobił, aby wymusić na nim zostawienie dziewczyny, ale on się nie zgadzał. Larysa szybko zorientowała się, kto może mieć coś wspólnego ze zniknięciem jej nowego partnera. Przyszła do niego, błagając, aby jeśli go przetrzymuje, wypuścić go. Ze złości ją uderzył. Straciła przytomność. Po zmroku zawiózł ją do fabryki i przywiązał do jednego z krzesel. Wziął ze sobą także nóż i katanę. Mówił nam, że chciał Larysie wytłumaczyć, że to jego naprawdę kocha. Kiedy się ocknęła i zobaczyła na pół żywego Igora Młynarczyka, wpadła w histerię. Płakała i mówiła, że z nim zostanie, tylko niech go wypuści. Igor twierdził, że nie dał temu wiary i musiał usunąć przeszkody. Wyciągnął pierścioneł zaręczynowy, którego Larysa nie chciała założyć. Rzuciła się, ale on i tak wcisnął go dziewczynie na palec. Nie był pewien, ale chyba jej go wtedy złamał. Dziewczyna szlochala i wyzywała go od najgorszych. Zdenerwował się. Zakneblował jej usta, a potem podszedł do Igora i dźgnął go kilka razy w ręce i nogi. Starał się Larysie tłumaczyć, że jej chłopak i tak umiera i nie można mu już pomóc. Na dowód swojego miłosierdzia podszedł do przywiązanego na drugim krześle Igora

Młynarczyka i kataną rozciął mu brzuch. Larysa z szoku zemdląta. Wrócił z nią do siebie i zaniósł do piwnicy. Twierdził, że próbował z nią rozmawiać. Obiecywał, że wybaczy jej zdradę, ale musi mu udowodnić, że nigdy więcej tego nie robi. Zgwałcił ją. Potem zrobił to jeszcze kilka razy. Stwierdził, że dobrym sposobem na ratowanie związku jest dziecko. Kiedy po prawie miesiącu katowania ledwo żywa powiedziała mu, że zaszła w ciążę już miesiąc temu z Igorem Młynarczykiem, dostał furii i zaczął wbijać jej nóż w brzuch i klatkę piersiową. Uspokoił się po kilku minutach, kiedy Larysa już nie żyła. Z powodu opuchlizny nie mógł zdjąć jej pierścionka z palca. Aby było łatwiej, odciął cztery. Siedział przy niej jeszcze chwilę, po czym pomyślał, że jego ukochana nie może tak skończyć. Przepraszał ją i błagał o wybaczenie. Potem rozwiązał, zaniósł na górę, rozebrał i umył. Następnie odkaził jej rany i ubrał. Chciał, by spoczęła w jakimś miejscu, które coś znaczy dla ich związku. Wyciągnął z szafy kurtkę i ubrał w nią Larysę. Twierdził, że noc była wyjątkowo chłodna, a prognozy mówiły coś o ulewach. Zawiózł ją do Janowic i ułożył pod lasem tak, aby jej wzrok był zwrócony w stronę stawu, przy którym kiedyś się poznali. Po chwili odjechał.

Sąd za podwójne zabójstwo skazał go na śmierć. Wyrok wykonano na mocy prawa, które uchwalono około 2022 roku, przywracającego ten rodzaj kary. Na sali sądowej Igor Gryzto wypierał się wszystkiego i twierdził, że do złożenia przedstawionych w sprawie zeznań został zmuszony. Z naszych ustaleń wynikało, że trzymał te wszystkie narzędzia, ponieważ do piwnicy sprowadzał i katował różne zwierzęta. Takie hobby. Potwierdzono również, że jednym z noży z szafy i kataną zamordował Igora Młynarczyka. Po tej sprawie mieliśmy mnóstwo kolejnych, ale o tej zawsze już chyba będę pamiętać.

O AUTORCE

Magdalena Drozd (ur. 1989) – redaktorka serwisu internetowego poświęconego ubezpieczeniom. Urodziła się w Bielsku-Białej, a mieszka w jednej z okolicznych wsi. Studiowała budownictwo na Politechnice Opolskiej i dziennikarstwo na Uniwersytecie Śląskim. Zapalona czytelniczka, która w wolnych chwilach chwyta za DualShocka. Wielka fanka kinematografii i dobrej kuchni.

Jowita Kania-Stachura

Kula śniegowa

Do dziś nie wiem, dlaczego opowiedziała mi tę historię. Byłem zaledwie spotkanym na nudnej imprezie znajomym znajomych. Może opowiadała ją każdemu, kto się nadarzył? Może sprawił to impuls, moment, w którym poczuła, że musi komuś wszystko opowiedzieć, a ja byłem akurat pod ręką? A może chciała mnie sobą zaintrygować? Tylko dlaczego miałyby to robić? Outsiderzy wystylizowani na Kurta Cobaina (tak manifestowałem wówczas zażartą na ten świat niezgodę) nie byli raczej w jej typie. Alina także nie była kobietą moich marzeń. Zbyt mocno wymalowana, zbyt głośna, zbyt rozbawiona. A jednak coś mnie w niej pociągało. I jednocześnie drażniło. Miała w sobie jakąś niespójność – swobodny, pozornie spontaniczny sposób bycia nie współgrał z nerwowymi gestami i niespokojnym spojrzeniem. Tak jakby się bała, że coś wymknie się jej spod kontroli i zostanie przytępiana na tym, że nie jest tą, za którą się podaje. Może właśnie tak było, może była oszustką, która mąciła w głowie przerośniętym chłoptasiom uważającym się za coś lepszego? Nie spotkałem jej więcej i nie mogłem zadać tych wszystkich pytań, które przyszły mi do głowy poniewczasie. Była, minęła, wyjechała. I dobrze, bo dopiero po pewnym czasie zrozumiałem, że te wszystkie pytania były głupie jak ja wtedy. Ważna była tylko opowieść.

Tamtego wieczoru podły humor przełożył się na ilość wypitego przeze mnie alkoholu, więc zachowując resztki rozsądku i chcąc uniknąć upodlenia, tuż po północy pożegnałem gospodarzy i wyszedłem. Widziałem, że Alina wyszła chwilę przede mną, i byłem trochę zaskoczony, gdy zobaczyłem ją przed domem palącą papierosa.

- Masz dość? – zapytała.
- Tak. Chcę się trochę przejść.
- Mogę się przytączyć? Taksówka nie przyjechała.
- Jasne, mówią, że to wolny kraj.

Przez chwilę szliśmy w milczeniu, a potem ona bez żadnego wstępu powiedziała:

- Dzisiaj jest rocznica śmierci Magdy, mojej przyjaciółki.
- Przykro mi – mruknąłem pod nosem, chociaż tak naprawdę wcale nie było mi przykro. Nie obchodziła mnie ani ona, ani jej zmarłe przyjaciółki. Miałem swoje problemy, które wydawały mi się w tym momencie znacznie ważniejsze. Skończyłem 30 lat i powoli zaczynałem rozumieć, gdzie jest moje miejsce w szeregu.
- Daruj sobie – odpowiedziała. Nigdy o nic się tak nie modliłam jak o to, żeby umarła.

Milczałem, przybierając zblazowaną minę faceta, którego nic nie jest w stanie zadziwić.

- Zimno trochę. Tu niedaleko jest taka mordownia dla niedobitków. Masz ochotę jeszcze się napić? – spytała.

Nie miałem. Zaintrygowały mnie jednak jej słowa i gotów byłem zaryzykować porannego kaca, żeby wystuchać, dlaczego tak gorliwie modliła się za swoją przyjaciółkę. Oczami wyobraźni widziałem nas siedzących w oparach dymu nad szklanką whisky, snujących głęboką opowieść o życiu i śmierci. Ta pretensjonalna scena pasowała do mojego nastroju, więc nie wahałem się długo.

Trzy stopnie w dół, na rogu bocznej uliczki, prowadziły do niewielkiego pubu. Wnętrze było przytulne, co w tym wypadku

oznaczało ciemne i zadymione. Na przelocie wieków rak płuc był mniej popularnym tematem niż koniec świata i nikt nie wyobrażał sobie, że można zabronić palenia w miejscach takich jak to. Na pochłapanych woskiem stolikach paliły się najtańsze białe świeczki, które poza żarówką zwisającą smętnie nad barem stanowiły jedyne oświetlenie sali. Fotele przy stolikach, pozbierane na śmietnikach całej zamożnej Europy, były niezwykle wygodne. Obsługa nie narzucała się, co oznaczało, że mogłeś siedzieć nad jednym piwem do rana i nikt się tobą nie interesował. Chciałeś się napić, musiałeś ruszyć do baru i odstać swoje. Spodobało mi się tam i po tym wieczorze jeszcze nie raz schodziłem trzy schodki w dół na rogu bocznej uliczki, dopóki nie zamknęli pubu i nie zrobili w tym miejscu apteki. Żałowałem, bo wyleczyłem tam niejedną chorobę z rodzaju tych, na które aspiryna nie pomaga.

Gdy weszliśmy, z głośników wybrzmiewał „Sinnerman” Niny Simon, tworząc swoiste preludium do tego, co miałem usłyszeć. Znaleźliśmy stolik w kącie sali, zamówiłem dzin z tonikiem, bo whisky była za droga, a potem Alina zaczęła swoją opowieść. W jej głosie nie było emocji. Mówiła spokojnie i niespiesznie, od czasu do czasu zaciągając się leniwie papierosem. Milcząc słuchałem i na przekór wypitemu alkoholowi dobrze zapamiętałem, mimo że pewnie prościej byłoby wszystko zapomnieć.

– To było siedem lat temu. Drugi rok studiów. Wspólny wyjazd z całą paczką w góry na sylwestra. Sześć osób – ja, Magda, Piotr, Bartek i młodsza siostra Piotra – Karolina, jeszcze licealistka, z chłopakiem. Nie pamiętam, jak miał na imię, ale był wiecznie upalony. Byliśmy z Piotrem parą od drugiej klasy liceum. Zapytaj jakąś znajomą licealistkę, jakie cechy powinien mieć księżę z bajki. Piotr miał wszystkie. Przystojny, inteligentny, wrażliwy itd. Wszystkie dziewczyny w szkole się w nim kochały. Wybrał mnie – lokalną gwiazdę, najgorętszy towar w prowincjonalnym mieście, a ja my-

ślałam, że sprawiedliwy Bóg zesał mi go za dobre stopnie w szkole – powiedziała, uśmiechając się dość krzywo.

– Po maturze on, syn lekarzy, zdał na medycynę, a ja z braku lepszego pomysłu poszłam na prawo. Razem wyjechaliśmy na studia w wielkim mieście. Magda była pierwszą osobą, którą poznałam po przyjeździe. Spokojna, miła dziewczyna ze wsi, ani ładna, ani brzydka, niegłupia, trochę nieśmiała. Byłyśmy jak ogień i woda, ale dobrze się dogadywałyśmy i naprawdę lubiłyśmy. Bartek był kumplem Piotra z roku. Gej, kochał się w Piotrze. Właściwie wszyscy kręciliśmy się wokół Piotra jak ćmy wokół żarówki. Magda też początkowo była nim zafascynowana. Poświęcał jej dużo uwagi, pytał o zdanie, prawił komplementy. Najpierw robił to trochę dla zgrywy, ale gdy poznał ją lepiej, coś zaczęło iskrzyć. Rozkwitała w jego obecności. Udawałam, że jestem zachwycona, że tak się świetnie dogadują, ale byłam wściekle zazdrosna i Magda musiała to zauważyć, bo nagle się wycofała. Zbywała Piotra półstówkami, unikała sytuacji sam na sam. Ten, gdy nagle okazało się, że jakaś wiejska dziunia nie chce dołączyć do jego świty, zupełnie zgłupiał. Im Magda była bardziej zdystansowana, tym on robił się bardziej nerwowy. Grał i prowokował byle dopiąć swego. Piękne spektakle dla niej urządzał, a ja godziłam się na drugoplanowe role, a to miłości życia, a to wrednej suki, która nie rozumie wrażliwego idealisty. Magda była niewzruszona. Nie wiem, czy to przez wrodzoną uczciwość i lojalność, czy po prostu szybciej od nas zrosumią, z kim ma do czynienia. Byłam upokorzona przez Piotra i wściekała na Magdę, bo była lepsza ode mnie. Jak więc widzisz, byliśmy świetnie zgraną paczką prawdziwych przyjaciół.

– Czekaj – przerwała gasząc papierosa – zostawię cię na chwilę. Jeśli nie chcesz słuchać moich wyznań, to masz okazję, żeby w tym czasie zniknąć. Nie będę miała żalu. Pewnie się więcej nie spotkamy. Jeżeli gotów jesteś na akt drugi, to zamów następną kolejkę.

Zamówilem. Nie znałem ludzi, o których opowiadała, ale doskonale czułem ten klimat. Jeszcze miałem sińce po razach od tych, których uważałem za przyjaciół. Nie miałem też złudzeń co do siebie. Może kiedyś przyjdzie taki moment, że będę wspominał swoją młodość jako cudowny czas, ale na razie miałem zbyt dobrą pamięć. Paradoksalnie im odleglejsze były różne wydarzenia, tym wyraźniej je widziałem. Karmiliśmy nasze głowy iluzją. Czytaliśmy Hemingwaya i wydawało nam się, że żyjemy jak jego bohaterowie. Słońce, ryby, męska przyjaźń i namiętne kobiety. W rzeczywistości pogoda była na ogół parszywa, ryby nie brały, a namiętnych kobiet się baliśmy. O przyjaźni także niewiele wiedzieliśmy. Chowaliśmy swoje miękkie podbrzusza przed cynizmem najlepszych kumpi, grając twardzieli, choć nawet nie potrafiliśmy się bić. Czasami, po pijaku, ktoś kogoś popchnął za wylane piwo, ale żeby bić się o honor albo (Boże uchroni) o kobiety? Byliśmy mocni tylko w słowach. Nasza lojalność też pozostawiała wiele do życzenia – bez wahania przespaliłobyśmy się z dziewczyną przyjaciela, gdyby tylko nas zechciała. Tyle że słońce też wschodziło. Podejmując wysiłek autorefleksji, można było stracić dobre mniemanie o sobie samym.

Alina nie kokietowała swoją opowieścią i nazywała rzeczy po imieniu. Rozumiałem, o czym mówi, i chciałem wystuchać jej do końca. Po dłuższej chwili wróciła. Zauważyłem, że starta szminkę i spięta włosy w kucyk. Nie skomentowała w żaden sposób tego, że zostałem, i bez żadnych wstępów zaczęła opowiadać dalej.

– Atmosfera, jak słyszysz, była gorąca, chociaż wszyscy zachowywaliśmy pozory. Nie było żadnych scen. Sam miód i przyjaźń do grobowej deski. Nie wiem już, kto wpadł na pomysł wspólnego wyjazdu na sylwestra w góry. Cała ekipa dotarła na miejsce już w drugi dzień świąt, a my z Magdą mieliśmy dołączyć do nich nieco później. Magda nie miała ochoty na ten wyjazd, ale ją namówiłam, bo bałam się, że jeśli jej nie będzie, to Piotr się wściek-

nie i wyjedzie albo będzie pił przez cały czas do nieprzytomności. Wbrew sobie zrobiłam więc wszystko, żeby pojechała, i udało się.

– Potrafię być przekonująca – dodała, spoglądając mi prosto w oczy.

– Jak tylko pociąg zaczął wtaczać się na stację, zobaczyłyśmy całą ekipę na peronie. Machałyśmy im, a oni biegli wzdłuż pociągu i rzucali śnieżkami w okno naszego przedziału. Jak wysiadałyśmy, zrobiło się straszne zamieszanie. Ludzi było sporo, a czekające na nas towarzystwo – już po kilku piwach – postanowiło urządzić bitwę śnieżną. Byłyśmy łatwym celem, bo śnieg na samym peronie był udeptany i nie bardzo miałyśmy się czym bronić. Śmiałyśmy się jak szalone. Mróz szczypiący w ręce, pobłażliwe spojrzenia podróżnych, kolorowe szaliki, beztroska i śmiech, który do dzisiaj mam w uszach. Nagle kątem oka zobaczyłam, jak Piotr podbiega do Magdy. Chciał ją natrzeć śniegiem i wpadł na nią całym ciałem. Z agresją, tak jakby puścili mu jakieś hamulce. Przez ułamek sekundy widziałam jego oczy. Jak to się mówi? Oczy są zwierciadłem duszy? No to kurwa, ten gość miał w oczach Złego.

Zapaliła kolejnego papierosa i przez chwilę milczała. Ja też się nie odzywałam, wyczuwając, że moją rolą była wyłącznie rola słuchacza.

– Ich zderzenie było tak mocne, że Magda zatoczyła się i wpadła na pociąg, który w tym momencie ruszył, wciągając ją między peron a ostatni wytaczający się ze stacji wagon. Zabrakło mi tchu, żeby krzyczeć, nie mogłam się ruszyć, ale wszystkie zmysły miałam wyostrzone. Słyszałam ze zdwojoną siłą przeraźliwy krzyk jakiejś kobiety i zgrzyt hamulców pociągu. Przez chwilę cały świat trwał w zawieszeniu, a potem ruszyła lawina zdarzeń. Bartek jako jedyny z nas skoczył z peronu na tory, żeby pomóc Magdzie, a ja nawet bałam się na nią spojrzeć. O dziwo, widok nie był wcale drastyczny. Nie miała żadnych widocznych obrażeń. Żyła, ale była nieprzytomna i Bartek zaczął ją reanimować. Piotr stał

przy krawędzi peronu i zastaniał oczy rękami, najwyraźniej tak jak ja bojąc się tego, co może zobaczyć. Ludzie zaczęli się zbiegać, ktoś dzwonił po karetkę, ktoś po policję, znalazł się też jakiś lekarz, który pomógł Bartkowi. Ja i reszta towarzystwa staliśmy bez ruchu, zbici w gromadę obok Piotra. Karolina, najmłodsza z nas, chlipała i mówiła, że chce do mamy. Do mamy! Rozumiesz? Sytuacja nas przerosła. Jeszcze pięć minut temu jedynym naszym zmartwieniem było to, czy będzie wolny stolik w naszej ulubionej knajpie, a tu nagle taki pasztet. Czekaliśmy, aż ktoś nam powie, co mamy robić, a każde z nas najchętniej schowałoby głowę pod kołdrę i udawało, że nas tam nie ma. Gdy karetka zabrała Magdę, doszedł do nas Bartek. Był zmęczony i kompletnie załamany. Na nasze pytania odpowiadał półstówkami, a zresztą niewiele wiedział. Jasne było tylko to, że Magda nie odzyskała przytomności i że jej stan jest ciężki. Byliśmy wszyscy przestraszeni, zszokowani, przejmowaliśmy się tym, czy Magda wyjdzie z tego cało, ale nie baliśmy się jeszcze tak naprawdę. Strasznie zaczęło robić się wtedy, gdy zjawiała się policja i ludzie zaczęli wytykać nas palcami. Powoli docierało do mnie, co się tak właściwie stało i co się może stać jeszcze. Dla Piotra to koniec! Dupa! W najlepszym razie wyrok w zawiasach za nieumyślne spowodowanie śmierci. Policjanci, doinformowani przez licznych świadków, szybko zorientowali się, że musimy mieć sporo do powiedzenia w tej sprawie. Prokurator, który pojawił się na miejscu tuż po odjeździe karetki, kazał nas zgarnąć na komisariat i przesłuchać. Zapakowali nas do suki i polecili pilnować takiemu młodemu chłopczkowi, pewnie zaraz po szkole. Nie wiem, chyba wszystkie gliny przyjechały na dworzec, bo zamiast zawieźć nas od razu, kazali nam siedzieć w tym samochodzie kilka godzin, czekając aż policja skończy swoją robotę. Temu młodemu, co nas pilnował, zachciało się chyba sikać.

– Teraz będzie najlepsze. Słuchasz dalej, czy idziesz spać? – za-
pytała przekornie.

- Chcesz jeszcze jednego? – odpowiedziałem pytaniem.
- Na trzeźwo nie jestem taka zabawna. Zamów.

Stojąc przy barze, zastanawiałem się, co ja tutaj robię? Ludzie się bawią, kochają, a mnie, w środku nocy, prawie nieznajoma kobieta opowiada historię jak z jakiegoś pieprzonego thrillera. Nie ma jakiejś żywej przyjaciółki, której by się mogła wypowiadać? Kompletnie nie wiedziałem, czy powinienem jej coś powiedzieć i co, do cholery, miałoby to być. Byłem jednocześnie wkurzony, że dałem się wkręcić w tak dziwną sytuację, i ciekawy, jak skończy się ta historia. Chciałem się też dowiedzieć, jak to jest, gdy zostajesz nagle postawiony wobec spraw ostatecznych i co zostaje wówczas z obrazu samego siebie, który skrzętnie tworzyłeś w swojej głowie. Nie pozostawało mi nic innego, jak wrócić do stolika i wystuchać jej do końca.

– Na czym skończyłam? Aha! Opowiadałam, że ten młody policjant, który miał nas pilnować, zostawił nas na moment zupełnie samych, ale początkowo nie gadaliśmy ze sobą, bo co można było powiedzieć. Zapadliśmy w stupor i tylko co jakiś czas Karolina pociągała nosem. Wtedy mnie olśniło. Uratuję Piotra, a potem będziemy żyć długo i szczęśliwie za siedmioma górami. Nie miałam czasu na długie rozważania, bo gliniarz, który nas pilnował, mógł w każdej chwili wrócić, i bez głębszego zastanowienia wypałam. – To był wypadek. Magda poślizgnęła się na oblodzonym peronie. Nikt jej nawet nie dotknął. Rzucaliśmy się tylko śnieżkami. Wszyscy mówimy to samo, wtedy nic nikomu się nie stanie. Żadnego wahania. Jasne? Decydujące będą nasze zeznania i jeśli będziemy zgodni, jest szansa.

Mówiąc to byłam spokojna i przekonująca. Moje słowa wytrąciły Piotra z odrętwienia. W ułamku sekundy zrozumiał, że nie wszystko jeszcze stracone, i widząc, że wraca nasz anioł stróż, rzucił tylko – „Jedno się wyłamię, to reszta pójdzie siedzieć”.

Wtedy z całą mocą dotarło do mnie, w jakie gównie wszystkich wpakowałam. Za składanie fałszywych zeznań można iść do pierdła na osiem lat. – Byłbyś gotowy zaryzykować dla kogoś parę lat więzienia? Ja wcale nie byłam i zrozumiałam to, zanim wybrzmiały słowa Piotra, ale nie mogłam się wycofać, bo co miałabym powiedzieć, że żartowałam? I to był ten moment, kiedy poczułam strach. Taki pierwotny, który wszystkie myśli i uczucia podporządkowuje temu, by wygrzebać cię z bagna, do którego wpadłeś po uszy. Szybko przeanalizowałam sytuację. Karolina była smarkata, ale nie głupia i kochała Piotra. Obstawiałam, że jej chłopak też będzie kłamał, bo nie wyglądał na takiego, który może mieć jakieś rozterki moralne. Niewiadomą był Bartek, no i Magda. Jeśli chodzi o niego, to liczyłam na jego inteligencję i lojalność. Musiał zdawać sobie sprawę, że jeśli powie prawdę, to wsadzi do więzienia nie tylko mnie, ale i Piotra. Jedyną szansą było więc iść w zaparte. Jeśli chodzi o Magdę, pozostawało liczyć na to, że jednak nie przeżyje. Tak naprawdę wszystko wisało na tych paru zdaniach, które do nich powiedziałam, i na przekonaniu, że skłamią, bo bardziej niż kary będą się bali wytęmac. Dobrze, prawda?

– Udało się?

– Znakomicie! Porządna młodzież, z dobrych domów, niewinnie się bawiła. Może faktycznie nie w miejscu do tego przeznaczonym, ale to jeszcze nie przestępstwo. Był śnieg, było ślisko, wypadki się zdarzają. Wszystko stało się tak szybko, że każdy z licznych świadków mówił co innego. Nie myśl jednak, że było łatwo i elegancko. Nie wiem jak reszta, ale ja rzygałam z nerwów. Były takie momenty, że gotowa byłam się przyznać nawet do cudzych grzechów byle dali mi już spokój. Był tam taki jeden, starszy glina, nazywał się Szajnert, który do tej pory mi się śni po nocach. Jakimś szóstym zmysłem czułam, że kłamiemy, i nieźle nas cisnęło. Któryś ze świadków zeznał, że to jeden z chłopaków popchnął Magdę, i on się tego uczeplił. Pamiętam, jak krzyczał do mnie:

„Mordercę kryjesz?! To ty mogłaś leżeć na tych torach!”. Setki razy kazał sobie wszystko powtarzać, ale nasza opowieść była krótka i niemal prawdziwa, bo zmieniliśmy w niej tylko jeden detal, to że nikt Magdy nie dotknął. Dlatego tak trudno było znaleźć w całej historii jakąś niespójność. Gość podejrzewał, że mogliśmy się dogadać, ale chyba ten młody policjant nikomu nie powiedział, że zostawił nas samych, bo w końcu nas puścili.

– A co z Magdą?

– To był chyba najgorsze. Po tym, jak policja przestała się nas czepiać, trzeba było spojrzeć w oczy jej rodziców. Oni mieli nadzieję, że Magda z tego wyjdzie, a ja musiałam odwiedzać ją w szpitalu. Za każdym razem modliłam się, żeby to już był ostatni raz. Miała poważnie uszkodzony kręgosłup i krwaka w mózgu. Operowali ją i chyba nawet z powodzeniem, bo żyła jeszcze pięprzone czterdzieści trzy dni, a każdy z tych dni był przeze mnie dokładnie policzony. Jak mała dziewczynka bałam się, że jak będę u niej, to nagle otworzy oczy, wszystko sobie przypomni i nie będzie można już ukryć, że to ja kazałam wszystkim kłamać. Na szczęście nie odzyskała przytomności. Żebyś nie miał złudzeń, nic mnie nie obchodziła Magda, jej rodzice ani tym bardziej Piotr. Liczyło się tylko to, czy ja się z tego wywinę, a pewność mogłam mieć wtedy, gdy ona umrze. Nie myśl, że byłam jakąś zimną wyrachowaną suką – spojrzała na mnie, zaciągając się kolejnym papierosem. Nie. Byłam tylko wystraszoną gówniarą, która zdała sobie sprawę, co ją czeka, jeśli cała sprawa wyjdzie na jaw.

Wyobraź sobie, że musisz stanąć przed własną matką i powiedzieć jej, że kochana córeczka, taka zdolna i mądra, będzie miała sprawę karną, bo namówiła kolegów do złożenia fałszywych zeznań. Nie muszę dodawać, że konieczność uświadomienia rodzicom, kim jest ich córka, to tylko jedna z licznych atrakcji, które pewnie by mnie czekały. W końcu pociągnęłabym za sobą całą naszą sympatyczną gromadkę. Nie byłam na to gotowa, więc

z całego serca modliłam się, żeby Magda umarła, no i umarła, choć nie przypuszczam, żeby moje modlitwy specjalnie się do tego przyczyniły.

– A Piotr? A reszta?

– Ostatni raz spotkaliśmy się na pogrzebie. Po tym wszystkim nie mogliśmy na siebie nawet patrzeć. Słyszałam, bo zawsze ktoś czuł się w obowiązku donieść mi, co u niego, że Piotr skończył studia i leczy ludzi. Myślałam naiwnie, że może będzie chciał odpokutować swoją winę – jakaś misja humanitarna, Lekarze bez Granic czy coś w tym stylu, ale nie, zrobił specjalizację z ginekologii i doktorat. Pacjentki go ponoć uwielbiają. Przypuszczam, że sam uwierzył w to, że jest bez winy. Muszę ci zresztą powiedzieć, że były takie chwile, w których ja też zastanawiałam się, czy tego wszystkiego nie wymyśliłam. Może Magda faktycznie poślizgnęła się na oblodzonym peronie? Niestety, czasami o trzeciej nad ranem cała ta historia zaczyna dziać się na nowo.

– A ty?

– Nie skończyłam studiów. Wyjechałam do Niemiec. Pracowałam fizycznie, co miało dobrą stronę, bo po pracy dostownie padałam na pysk. No i nie było ryzyka, że spotkam tam kogoś znajomego. Teraz wróciłam, bawię się, żyje, jest dobrze!

Co miałem jej powiedzieć po takiej opowieści? Że też mam przerąbane, bo mój szef to buc? Że budzę się, pracuję, zasypiam, a w weekendy piję na nudnych imprezach, które w niczym nie przypominają fiesty w Pampelunie? Że moim największym zmartwieniem jest to, że życie nie jest specjalnie ekscytujące? Słabe. Przybrałem więc fraszobliwy wyraz twarzy i robiłem to, co tak mi świetnie wychodziło przez cały wieczór – siedziałem cicho.

Alina spojrzała na mnie uważnie, zupełnie trzeźwym wzrokiem, tak jakby dopiero teraz mnie naprawdę zobaczyła, po czym wstała, zdecydowanym gestem zgasiła prawie niewypalonego papierosa, zaśmiała się krótko i powiedziała.

– Cyt! Iskierka zgasta. Dorośnij, Wojtusi. Nie musisz mnie od-
prowadzać.

O AUTORCE

Jowita Kania-Stachura (ur. 1973) – prawniczka urodzona w Skawinie, mieszkająca w Krakowie. Lubi życie we wszystkich jego przejawach, ale literatura to jej prawdziwa miłość (nie licząc córki, syna i męża). Szczególnie ceni krótką formę literacką, jaką jest opowiadanie. Maksimum treści przy użyciu minimum słów to jej literacki ideał.

Aleksandra Muciek

Grassyjczyk z Wrocławia

Dziś robię coś, co wczoraj jeszcze potępiąłem

Patrick Süskind, „Pachnidło”

Stał odwrócony plecami przy metalowym stoliku. Zimne światło żarówki padało na plecy i ramiona. Jego kurtka była brudna, przetarta na łokciach, z dziurą pod jedną pachą. Włosy niezdarnie ułożone pachniały szamponem i męskim dezodorantem. Nie był niski, nie był też wysoki. Stał przed metalowym stołem, który sięgał mu do pasa i szukał czegoś, czego dziewczyna nie mogła widzieć. Błat tonął w cieniu, ostonięty korpusem oprawcy.

Dziewczyna raz jeszcze spróbowała wyrwać nadgarstki ze skórzanych pasów. Drżała. Ciche jęki rozptynęły się w pomieszczeniu.

Mężczyzna wyprostował plecy. Odłożył przedmiot, który trzymał w dłoniach i odwrócił się na pięcie.

– Miłaś być cicho. – Jego twarz w bladej poświacie nie wyrażała żadnych emocji. Wziął głęboki wdech i ze świstem wypuścił powietrze. – Dlaczego to zrobisz? Dlaczego mi to zrobisz?

Dziewczyna spojrzała na niego pytająco. Nigdy przedtem nie widziała tego człowieka. Tego, który szedł teraz do niej niespiesznym krokiem. Stłumione stuknięcia rozchodziły się echem po pomieszczeniu.

– Wypuść mnie. – Czuta jak puchną jej nadgarstki, a w skórę wrzynają się krawędzie pasek.

– Miałaś tylko pachnieć – powiedział i przystanął w miejscu. Opuścił głowę. Dziewczyna widziała, że się waha i kiedy znów na nią spojrzał, zobaczyła jego przekrwione oczy. Wyglądał staro, jak cień samego siebie. Widziała w nim rozpacz i strach, ale bała się tak samo jak on. Chciała stąd uciec, wrócić do domu, przytulić się do psa.

Mężczyzna podszedł do niej, pociągnął nosem i z wewnętrznej kieszeni kurtki wyjął jeszcze jeden pasek. Nachylił się, dziewczyna odsunęła głowę, ale on złapał ją za podbródek i obrócił w swoją stronę. Przeciągnął pasek po jej czole i przyciskając jej szyję łokciem, zapiął go z tyłu zagłówek. Czuta jego oddech na policzkach. Nagle mruknął coś pod nosem i przysunął się jeszcze bliżej.

– Przestań się bać, wszystko zepsujesz – powiedział. Przechylił głowę i przesunął nosem po delikatnej szyi. Styszała, jak wciąga powietrze, jakby ją wąchał. Napięta mięśnie. Cały czas drżała. Sie-działa z szeroko otwartymi oczami, a samotna kropelka potu spły-nęła po jej skroni.

Żarówka wydała cichy dźwięk i zaczęła migotać. Mężczyzna odsunął się od dziewczyny, podniósł dłoń do jej szyi i zacisnął palce. Skórzane pasy trzymały ją w bezruchu, nie mogła strzepnąć jego ręki, nie mogła odwrócić głowy.

– Wypuść mnie – powiedziała charcząc, gdy jego żelazny uścisk stopniowo się zacieśniał.

– Nie, kwiatuszku – schylił się. – Nie pozwolę, żeby ktoś jeszcze splamił twój zapach.

Pomalowane paznokcie wbiły się w ramiona fotela. Patrzyli sobie w oczy. Dziewczyna zaczęła płakać. Jej twarz robiła się sina, a on wąchał jej policzki.

Nagle odsunął dłoń. Dziewczyna łapczywie zaczerpnęła powietrza i wtedy jego palce zastoniły jej usta, a kciuk ścisnął nos. Jej

twarz wykrzywiła się w strachu. Nie mogła wiedzieć, że on w myślach odlicza sekundy. Minuta do utraty przytomności. Kilkanaście sekund później być może drgawki, na pewno mimowolne oddanie moczu.

– Przepraszam – szeptał i wąchał jej twarz. Szczelna skóra mężczyzny nie przepuszczała tlenu.

Myślała o pierwszym seksie. Jej chłopak był pijany, ona też, mieli po szesnaście lat. Bolało. Położył się na niej, a ona nie mogła oddychać. Czuła woń wódki i jego ciała. Krwawiła i błagała po cichu, żeby już skończył.

Straciła przytomność. Mężczyzna przytrzymał jeszcze dłoń na swoim miejscu. Starał się zapamiętać wrażenie, jakie na nim zrobiła, nie dopuszczając do zmysłów smrodu wydzielin. Sprawdzał, czy jej serce przestało już bić. Po kwadransie odpuścił. Rozpiął paski z jej czoła, nadgarstków, kostek i klatki piersiowej. Pozwolił ciału zsunąć się na podłogę. Zdjął rękawiczki, wsunął je do kieszeni spodni. Z wnętrza kurtki wyjął klucze i kiedy wyszedł już z pomieszczenia, zamknął za sobą drzwi, rozplątał się głośnie, chrapliwym płaczem.

I

Ania wysiadła z tramwaju na przystanku Jana Pawła II, dawny plac Pierwszego Maja. Teraz nikt już tak go nie nazywał, pewnie ze sprawą lektora z MPK, który dzień w dzień przypominał podróżującym zmienioną nazwę. Kobieta zesza schodami do przejścia podziemnego, odmówiła przyjęcia ulotki, weszła do całodobowych delikatesów, kupiła paczkę marlboro i spojrzała na telefon. Na ekranie widniała tylko godzina i stare zdjęcie, nikt do niej nie napisał. Schowała go więc do torebki, odwinęła z folii kartonowe pudełeczko i zapaliła papierosa, wspinając się po schodach wychodzących na fontannę.

Zatrzymała się przed bramą numer 35. Włożyła klucz do zamka i uznała, że to śmieszne, że jej starszy brat mieszka tuż obok salonu pogrzebowego. Jakby los przeczuwał, że jeśli nie przestanie używać życia, szybko zamieni się w kupkę kości i gnijącego ciała. Zniknęła w mroku korytarza.

Pokoik brata przywitał ją tym samym zaduchem, co zawsze. Otworzyła okno i usiadła na rozkładanej wersalce. Przyszła tu dzisiaj, żeby nakarmić kota i podlać kwiaty. Wszyscy współlokatorzy gdzieś się ulotnili i Łukasz nie miał wyjścia, musiał zadzwonić do niej. Ania rzuciła torebkę na podłogę i rozciągnęła się na kanapie. Chłonęła odgłosy sobotniego Wrocławia. Dzwoniące tramwaje, przemyskająca karetka na sygnale, płaczące dzieci i szum drzew. To było jej miasto.

Zamknęła okno. Podeszła do stolika i rzuciła okiem na kartkę, którą zostawił jej Łukasz:

- „– Nakarm Pumę
- Podleć agawę
- Nie grzeb mi w rzeczach”.

Pod spodem mniej wyraźnym pismem było nabazgrane:

„Zostawiłem ci wino, sis, ale ostrożnie”.

Uśmiechnęła się. Obok kartki stała butelka koszerne go wina z Kany. Znowu tam pojechał? Ania zastanawiała się, skąd ma pieniądze na te wszystkie podróże, ale kiedy do głowy przychodziły jej nielegalne interesy, szybko starała się zmienić obiekt rozważań.

W pokoju panował porządek. Ania spodziewała się, że będzie musiała odkurzyć albo pozbierać brudne ubrania z podłogi, ale tym razem brat pozytywnie ją zaskoczył. Wszystkie koszule leżały poskładane w ikeowskiej szafie, parapety lśniły bielą, a zeszyty spoczywały w szufladach małego biurka, stojącego pod oknem. Z jednej z nich wystawał rąbek chustki do okularów. Kobieta podeszła bliżej i przyjrzała mu się uważnie. Był to taki sam rąbek, jaki

widziała już wiele razy u matki. Pewnie Łukasz, będąc w Wiedniu, kupił identyczną także sobie.

Ania pociągnęła za uchwyt i szuflada wysunęła się gładko. Wyjęta chustkę, złożyła ją dwa razy i odłożyła na miejsce. Już miała się odwrócić i pójść po konewkę, gdy zobaczyła notes przykryty przez długopisy. Wygrzebała go, położyła na biurku i usiadła na obrotowym fotelu. Wprawdzie Łukasz zabronił jej przeszukiwać szuflady, jednak po ostatnim aresztowaniu brata kobieta była bardziej podejrzliwa. Wbrew prośbom przychodziła do niego czasem i sprawdzała, czy nie chowa narkotyków w różnych zakątkach pokoju. W efekcie znała każdą rzecz w jego skromnym kąciku, chociaż wiedziała, że nie powinna. Ten notatnik był dla niej zupełnie nowy. Spojrzała na okładkę. Była obleczone czarną skórą, nieznacznie już obdrapaną, niezdarnie zakończoną na rogach. Nierówne kartki tworzyły gruby plik, gdzieś tam było widać plamy. Ewidentnie przedmiot był zrobiony własnoręcznie, nie zjechał z żadnej taśmy na linii produkcyjnej. Dziwne, Łukaszowi nigdy by się nie chciało, pomyślała, ale może...

Ania otworzyła notatnik. Pierwsza strona była pusta. Żadnych danych, żadnego „Proszę zwrócić:”, nic. Kobieta przewróciła stronę. Na samej górze widniała data, a pod spodem drobnym pismem ciągnęły się ciasno zapisane wersy. Pamiętnik? Dziennik? Przesunęła palcem po tekście. Charakter pisma przypominał trochę ten Łukasza, ale mimo wszystko znacznie się różnił. Ania przekartkowała notes. Gdzieś tam widziała odręczne rysunki ołówkiem, powklejane skrawki papieru czy kawałki materiału. W samym środku objętości dwie strony były zarysowane piórkiem albo cienkopisem. Po lewej ciąto dziewczyny z ledwie zaznaczoną twarzą. Jakiś chory akt naniesiony na kartę notesu niespokojną ręką. Po prawej orchidea, piękny kwiat ze starannie dobraną każdą kreską. Ania nie mogła znaleźć daty. Po tych rysunkach nie było już żadnych dodatków, czysty tekst. Kobieta przekartkowała

do końca. Ostatni wpis opatrzony był datą sprzed dwóch tygodni. Większe i bardziej niedbałe litery im niżej na stronie tym większe miały między sobą przerwy.

Ania zapaliła papierosa i zaczęła czytać.

15.08.2016

Koniec. Dzisiaj skończyło się wszystko. Byłaś dla mnie wszystkim, a teraz – teraz śmierdzisz. Twoje zimne ciało jest tylko zimnym ciałem. Musiałaś, kurwa? Nikt już nie powącha mojej stodkiej orchidei. Żaden zapach męskich łap nie splami mojego honoru, Ciebie, kwiatuszku. Nie zastużyłaś sobie na to, dałem się ponieść, przepraszam. Wiem, że nie będziesz zła, nigdy nie jesteś, teraz już nie. Przepraszam za lodowate dłonie i że musiałaś mieć mnie w sobie. Nie chciałem, żeby bolało. Nie chciałem Cię wiązać, ale wiem, że mnie zrozumiesz. Teraz, kiedy już Cię nie ma, czuję się jeszcze gorzej...

Puma wskoczyła Ani na kolana z donośnym miauknięciem. Kobieta odłożyła notatnik.

– Chodź, nakarmimy cię, kocie.

II

Wracła do domu z policzkiem przyklejonym do szyby tramwaju 32. Notatnik, który znalazła pół godziny wcześniej u Łukasza, nie dawał jej spokoju. Gdzieś z tyłu głowy fakty łączyły się w spójną całość, ale na razie kobieta nie była w stanie wydobyć tego na wierzch.

Telefon zawibrował.

Ania wyjęła go z torebki, spojrzała na ekran i odłożyła go z powrotem. „Kup pomidory, robię spaghetti”. Żadnego „misiu”, „skarbie” ani nawet „żabko”. Od wielu miesięcy stopniowo rezygnowali z czułości. Nie było mowy o trzymaniu się za ręce, gdy wycho-

dzili gdzieś razem, nie całował jej nawet w policzek. Kobieta westchnęła.

Tramwaj zahamował. Kobieta w średnim wieku, stojąca obok, zachwiała się w swoich szpilkach i sztucznymi rzęsami wyładowała na biuście Ani.

– Przepraszam, bardzo przepraszam – mówiła obca – tramwaj zahamował, ja...

– Nic nie szkodzi. – Anna wymusiła uśmiech i właśnie wtedy przypomniała sobie, z czym skojarzyły jej się zapiski w notesie. Jeszcze raz postąpiła pani uspokajający uśmiech i odwróciła się od niej plecami. Wygrzebała telefon, kliknęła w symbol przeglądarki i wpisała „uduszenie Wrocław”. Szukaj. Strona ładowała się przez długie sekundy. Czy to możliwe, pytała w myślach. Kobieta wybrała link zanim pojawiły się ostatnie wyniki.

To nie seryjny morderca.

Policja wykluczyła powiązanie ostatniego przypadku z ubiegłorocznym zabójstwem sióstr. Jak podają doniesienia, Monika Z. zginęła w wyniku zablokowania dopływu powietrza otwartą dłońią, nie jak nastoletnie panny F. z powodu powieszenia.

Przypominamy, 16 sierpnia w okolicach nasypu kolejowego znaleziono ciało osiemnastoletniej uczennicy jednego z wrocławskich liceów. Dziewczyna była martwa od ponad doby. Przed śmiercią skrupowano jej nogi i ręce, ale nie stwierdzono oznak gwałtu.

Dalsze informacje utajniono dla dobra śledztwa. Funkcjonariusze proszą o (...).

Anna poczuła, jak po plecach spływają jej zimne krople potu. Łukasz, jeżeli masz z tym coś wspólnego, kurwa, przeklinała w myślach, zabiję cię. Kobieta rozejrzała się po tramwaju. Ludzie zajęci byli sobą. Wymalowana flądra, która przed chwilą w nią wpadła, rozmawiała z kimś przez telefon, grupka nastolatków przekrzykiwała się nawzajem, samotny staruszek szeleścił reklamówką.

Ale do Ani te dźwięki nie docierały. Z nieobecnym wyrazem twarzy naciskała miarowo przycisk do otwierania drzwi. Tramwaj stanął. Drzwi się otworzyły i kobieta wypadła na przystanek. Przeszła na drugą stronę torów i jak w obcym ciele patrzyła w dal.

III

Ania drugi raz już dzisiaj wysiadła na placu Jana Pawła II. Szybkim krokiem przeszła przez przejście podziemne, pobiegła ulicą Włodkowica i wpadła do bramy. Drżącymi palcami przekręciła klucz, weszła na górę i otworzyła drzwi do mieszkania brata.

Punkt zaczepienia, jakiś ślad, myślała gorączkowo, musi tu coś być.

Otworzyła szufladę z chustką, wyjęła notes. W pierwsze strony zatknęta była karteczka z numerem do Łukasza. Nic więcej. Odwróciła skrawek na drugą stronę. Z tyłu nabazgrany był adres miejsca, które Ania знаła aż za dobrze.

– Ale... – Kobieta przysiadła na wersalce, a kot, który pojawił się znikąd, zaczął ocierać się o jej łydki.

Nie wiedziała, jak jej brat trafił na to miejsce, ale przeraziła się. O klubie wiedzieli tylko nieliczni. To nie mógł być przypadek, że właśnie ten adres nakreślono na kartce z numerem Łukasza.

– Boże... – Ania odłożyła karteczkę na swoje miejsce i wsunęła notatnik do torebki. Musi tam pójść jak najszybciej. Ale nie teraz. Wieczorem. A wcześniej będzie musiała odpowiednio się przebrać.

Telefon wydał z siebie bliżej nieokreślony jazgot.

– Tak?

– Gdzie jesteś? Miałaś wrócić prosto od Łukasza.

– Już jadę... – Przetknęła ślinę, powstrzymując się przed dodaniem „skarbie”. – Już jadę.

IV

Z kuchni czuć było zapach gotowanych pomidorów. Ania zdjęła karton z szafy w ich wspólnym pokoju i zdmuchnęła z niego kurz. Chłopak nigdy tam nie zaglądał i kobieta miała nadzieję, że jeszcze przez długi czas nie zajrzy. Uniosta wieko. W środku w nienaruszonym stanie leżały dwa komplety czarnej bielizny ze srebrnymi tańcuszkami i takimiż sprzączkami, skórzana obroża, krótka smycz i knebel. Ania wahała się chwilę, w końcu wybrała zestaw z większym push-up'em i upchnęła go do torebki.

Wychodzi wieczorem, tak mu powiedziała. Wsiadła do tramwaju 32, przesiadła się na Kwiskiej w 10 i dojechała do Leśnicy. Chwiała się na wysokich obcasach. Obcista spódniczka krępowała ruchy, a warstwy makijażu były dzisiaj wyjątkowo niewygodne. Wieczór, słońce dopiero chyliło się ku zachodowi. Ania maszerowała nierównym chodnikiem, stukając obcasami. Ulice były opustoszałe. Dzień nie należał do najgorętszych, ale ludzie i tak woleli zostać w domach. Dobrze, myślała, jeszcze ktoś by ją rozpoznał.

Dotarła na miejsce. Zardzewiałe ogrodzenie nie zapraszało. Nikt by się nie domyślił, że w środku tego obskurnego domku mieści się największe we Wrocławiu centrum spotkań fetyszystów.

Ania zgasiła papierosa i nacisnęła na dzwonek. Drzwi otworzyły się niemalże od razu i w progu stanął przystojny mężczyzna owinięty szlafrokiem.

– Cass! – uśmiechnął się. – Dawno cię tu nie było!

– Steve.

Ania zastanawiała się, jak dużo osób przedstawia się tu prawdziwym nazwiskiem. Weszła do środka. W czerwonym świetle mijają ją znajome twarze i te zupełnie obce, jak w kalejdoskopie.

Zdjęła obcisłą kurteczkę, rzuciła na staroświecką komodę, która stała pod drzwiami, a potem bez głębszych refleksji rozpięta też guziki koszuli. Kiedy materiał upadł na czarny, puszysty dywan, wyjęła obrożę i zaczęła ją zapinać.

– Pomogę ci – wypielęgowane palce Steve’a wsunęły się w jej dłoń. – Dziś to samo, co zawsze?

– Tak... nie. Szukam tu kogoś... – Ania zawahała się. Może to była pomyłka. Może dusiciel i autor dziennika to dwie różne osoby. – Wiem, że był tu mój brat.

Poczuła, jak palce mężczyzny sztywnieją.

– Słuchaj... to trochę nie twoja sprawa.

– Szukają go – wypaliła – muszę mu pomóc. I tak o wszystkim wiem, widziałam jego rzeczy.

Spojrzała mu w oczy. Miała nadzieję, że uwierzy w te bzdury. Przez chwilę nic nie mówił, przygryzł wargę.

– Przykro mi, ale wiesz, że nie zdradzam takich informacji.

– O, cześć Cass. – Z pomieszczenia po lewej od drzwi wyszła czterdziestoletnia brunetka, chwiejąc się z kieliszkiem w ręku. – Steve, dlaczego nie chcesz jej powiedzieć o Vladzie?

– O kim? – Ania przesunęła wzrok na zdenerwowane spojrzenie mężczyzny.

– Mary, nie powinniśmy...

– Chodź, zaprowadzę cię, ale od razu mówię, tani nie jest.

Kobieta spodziewała się, że Łukasz nie przychodził tu dla kiebnych wdzięków. Nigdy nie przyznał się przed matką, ale jedynym powodem, dla którego jeszcze nie przyprowadził dziewczyny do domu, było to, że nigdy jej nie miał i mieć nie będzie. Cass ruszyła wolnym krokiem za brunetką z kieliszkiem, starając się kokieteryjnie zawiązać biodrami. Drinki w tej norze nie były tanie, a ona nie miała już dawnej odwagi, żeby iść do tóżka z nieznajomymi. Nie na trzeźwo.

Mary zaprowadziła ją na górę. W pokoju z różową tapetą siedział mężczyzna w masce. Gdyby nie palcat w rękę uznaby, że jest całkiem przystojny.

– Cass, Vlad, Cass. Bawcie się dobrze.

W jej głosie dało się słyszeć alkoholowe rozbawienie. Zachichotała, zaskrzypiła drzwiami i Ania straciła ją z oczu.

– Płatne z góry. Co byś chciała, małeńka?

Dziewczyna przetknęła ślinę. Góra mięśni, władcze spojrzenie spod materiału maski i nabrzmiałe przyrodzenie – tę noc zapamięta na długo.

V

Ania wróciła do domu nocnymi autobusami. Bolało ją ciało, miała pusty portfel i bała się reakcji chłopaka. Ale było warto. Rozwiązała zagadkę i miała nadzieję, że temat notesu zniknie raz na zawsze.

Wynajęła Vlada na całą noc. Spełnił jej zachcianki, bo za to mu płaciła. Nie potrzebowała seksu w klimacie BDSM, ale dla brata musiała się wysilić i wymyślić prosty scenariusz. Pozwoliła założyć sobie knebel, przypiąć skórzanymi paskami do łóżka i zrobić ze sobą to, na co miał ochotę.

Dusił ją. Podduszał. Bała się go bardziej, gdy sunął po jej ciele nosem, wachając z zapamiętaniem. Był jak Jean-Baptiste Grenouille. Był jak potwór.

Zanim dotarła do Leśnicy, przeczytała kilka wpisów z tego osobliwego dziennika. Wszystkie, poza tym ostatnim, były rozprawami o zapachach. Od zwykłych przedmiotów, przez owoce, przyprawy, aż po ludzi. Z poetycką precyzją traktowały o subtelnych nutach woni. O symfoniach zmysłów. O przeplatających się natężeniach odczuć.

Po zbliżeniu z Vladem poczęstowała go papierosem. Palili w milczeniu, strząsając popiół do szklanej popielniczki.

– Mam pytanie.

– Tak, maleńka?

– Czy ty... – zaciągnęła się z zapamiętaniem. – Czy ty mnie wachateś?

Vlad uniósł nieznacznie brew do góry, a potem opuścił wzrok.

– Przypominasz mi kogoś. Pachniesz jak...

Urwał w połowie zdania, jakby bał się zdradzić za dużo. Ania zgasiła papierosa. To był odpowiedni moment. Wstała, podeszła do swoich rzeczy rzuconych gdzieś w kąt i wyjęła z torebki notatnik.

– Poznajesz?

Vlad spojrzał na nią, potem na przedmiot, znowu na nią.

– Skąd go masz – zapytał. Jego głos był słaby.

– Co robiłeś 15 sierpnia?

– Co to, kurwa, przesłuchanie? Skąd masz ten dziennik?

Kobieta zebrała swoje rzeczy i ruszyła w stronę wyjścia.

– Wszystko wiem. Po cholerę wciągałeś w to Łukasza?

– Łukasza?

– Nieważne.

Wstał. Podniósł palcat z podłogi i zaczął iść w jej kierunku, ale ona już uciekła na korytarz. Zbiegła po schodach, minęła pijanego Steve'a i ruszyła w stronę wyjścia. Przystanęła w półkroku. Steve, gospodarz, przecież był pijany. Zawróciła. Z wyuzdanym uśmiechem odciągnęła go od grupki nagich kobiet i mężczyzn.

– Cass! I co? Jak było?

– Zajebiście. Słuchaj, mój facet trochę się burzy, że tu przychodzę, wiesz jak jest. Dałbyś mi do Vlada numer, stójce? Albo adres, jeśli masz.

Steve w odpowiedzi przytulił ją, a potem odsunął się od niej z rozmarzonym uśmiechem na ustach, jak po złotym strzale.

– Jasne, pisz.

Ania wyszła z nory, wpadając w objęcia zimnej, letniej nocy. Na drżących nogach szła w stronę przystanku, ale nigdy wcześniej nie czuła się tak dobrze.

VI

Kobieta wyszła z komisariatu. Zeszła po kilku krzywych schodkach. Jako anonimowy obywatel kilka dni temu zeznała, że wie, kto zabił Monikę Z. Dzisiaj przysłała złożyć dodatkowe wyjaśnienia. Policjant, z którym rozmawiała, znalazł nieścisłości. Ania miała nadzieję, że sprawnie udało jej się pominąć część związaną z bratem, klubem Steve'a i jej udziałem w tym wszystkim, ale została wezwana znowu. Nic trudnego. Wystarczyło trochę nakłamać i znów była wolna. Wyjęła telefon z kieszeni szortów, odblokowała go i z satysfakcją weszła w artykuł o zatrzymaniu zabójcy dziewczyny, a z jeszcze większą satysfakcją przekonywała się, że w żadnej linii nie ma nic ani o Łukaszu, ani o Annie K.

Szła chodnikiem w stronę przystanku, gdy nagle ktoś zastąpił jej drogę.

- Steve!
- Musimy pogadać, Aniu, ale nie tu.
- Skąd wiesz jak...
- Nie tu.

Szli w milczeniu. Odprowadził ją do jej mieszkania na Gaju.

- Jest ten twój?
- W pracy.

Weszli do środka. Ania wiedziała, o co ma do niej pretensje. Vlad był pewnie jego najlepszym kumplem i najbardziej dochodowym pracownikiem. Nora w Leśnicy bardzo na tym aresztowaniu ucierpi. Poza tym dziewczyna wykorzystała jego moment nietrzeźwości. Miał prawo być wściekły.

- Kawy, herbaty?
- Posłuchaj, suko, nie mieszaj się w cudze sprawy.
Kobieta spojrzała na niego jak wryta. Wytrzeszczyła oczy.
- Nie wiem, skąd wzięłaś mój dziennik, ale nie daruję ci, że poszłaś z tym na psy.

Mówił powoli, starannie wymawiając każde słowo. Ania zamarta w pół kroku. Porcelanowy kubek wysunął jej się z dłoni i roztrzaskał o posadzkę. Jego dziennik?

- Ale przecież Vlad...
- Tak, o nim też tam napisałem. Jesteś za głupia, żeby cokolwiek zrozumieć.

Kobieta chwyciła nóż i niepewnie wysunęła go przed siebie. Steve zrobił krok do przodu, złapał ją za nadgarstek i ścisnął tak, że jej palce mimowolnie się rozwarły.

- Dziękuję.
- Drugą dłonią wysunął broń z jej uchwytu i położył na blacie.
- A teraz pozwól, laleczko, że...

Wrocław tonął w blasku sierpniowego słońca. Zapowiadał się kolejny z ciepłych, letnich dni. Mężczyźni zakładali bezrękawniki, dziewczęta obcisłe szorty. Kobiety zaś przykrywały pot perfumami.

Ale żadna z nich nie pachniała orchideą.

O AUTORCE

Aleksandra Muciek (ur. 1998) – wrocławianka. Związana z wrocławską grupą poetycką Hurtownia. Prowadzi zajęcia dla młodzieży gimnazjalnej i licealnej z doskonalenia pisania wierszy. Żeglarka, miłośniczka sztuki, przyszła studentka matematyki. Prywatnie kochająca córka i zapalona czytelniczka prozy negatunkowej.

Magdalena Niziołek-Kierecka

Pierwszy autor

Fotograf ustawił ostrość w aparacie i szybko zrobił trzy zdjęcia. Obejrzał ujęcia, skorygował ustawienia, po czym zaczął instruuować pozujących do fotografii:

– Pani profesor, broda trochę w dół. Tak, dobrze. Pani Elu, leciutko w lewo. I rozluźniamy ramiona. Panowie z tyłu, proszę o uśmiech. O właśnie. Andrzej, odstoń choinkę. I przez chwilę nie mrugamy.

Rozległ się trzask wyzwalanej migawki, fotograf kilka razy zmienił perspektywę i wreszcie ogłosił:

– Mamy to! Przegram i zaraz wam wyślę.

Po dwudziestu minutach na stronie internetowej Zakładu Biofizyki i Biologii Komórki pojawiło się świeżo wykonane zdjęcie okraszane wpisem:

Z okazji zbliżających się Świąt Bożego Narodzenia oraz Nowego Roku 2017 życzenia zdrowia, sukcesów i wszelkiej pomyślności składają:

prof. dr hab. Urszula Kantyka-Kołodziej, kierownik ZBiBK UJ

dr Bartłomiej Nowak, adiunkt

dr Marek Gralczyk, asystent

dr Elżbieta Maj, specjalista ds. hodowli komórkowych

dr inż. Andrzej Klich, starszy wykładowca

mgr Ewa Polanowska, pracownik techniczny

Gdy fotograf wyszedł z laboratorium, z sześciu twarzy zniknęły uśmiechy, a z głów czapki Mikołaja i reniferowe rogi. Profesor Kantyka-Kołodziej poczekała, aż mężczyźni odniosą choinkę do sali seminaryjnej. Gdy grupa była ponownie w komplecie, powiedział:

– Jak już wiecie, pan Marek jest z nami tylko do końca grudnia. Potem bierze zaległy urlop i... – wzięta głęboki oddech. To, że będzie pracował w grupie badawczej jej byłego męża, nie przeszło jej przez gardło. – Zmienia pracę. Dlatego musimy maksymalnie wykorzystać jego obecność. Ma-ksy-mal-nie.

Po tych słowach Nowak przygryzł wargę. Ewa Polanowska zacisnęła pięści, jakby chciała się na kogoś rzucić. Andrzej Klich wbił wzrok w podłogę.

– Pani Elżbieta ma urlop, dziś do pracy przyszła na moją prośbę, ale od teraz musimy sobie dać radę bez niej. Ewa w jej zastępstwie przygotuje komórki. Pan Bartosz i Andrzej będą wybarwiać. Pan Marek zajmie się oczywiście mikroskopem. Ja wracam do pisania grantu.

Po wyjściu szefowej Marek Gralczyk klasnął w dłoń.

– Styszeliście. Do roboty.

W pokoju hodowli komórkowych Ewa Polanowska przebiegała palcami po kalkulatorze. Ile pożywki powinna dodać do zawiesiny komórek, żeby po rozcieńczeniu mieć milion komórek w mililitrze? Po raz trzeci otrzymała inny wynik.

– Takie proporcje chemiczne układa się w podstawówce.

Marek Gralczyk od dłuższej chwili stał za jej plecami. Ewa odwróciła się gwałtownie i zastoniła ręką zeszyt. Z jej oczu wystrzeliły pioruny. Na ustach Gralczyka pojawił się ni to uśmiech, ni to grymas.

– Może włączę jakąś muzykę. Co powiesz na „Endless night”? Bo widząc jak ci idzie, będziemy tu ślepcze całą noc. Ogarnij się, dziewczyno, bo te komórki mają być na już!

– Ewuś, zrobić ci kawy? – Bartłomiej Nowak zajrzał do pokoju komórkowego.

– Nie, dzięki. – Ewa Polanowska wstała od biurka tak szybko, że niemal przewróciła krzesło, i skierowała się do wyjścia.

– Coś się stało? – zapytał, gdy mijała go w drzwiach.

– Nieważne – szepnęła, próbując ukryć tży wściekłości.

– Czemu ona płacze? – Bartłomiej Nowak zwrócił się do Gralczyka z taką miną, że Gralczyk odruchowo zrobił krok w tył.

– Może dotarło do niej, że się nie nadaje do tej roboty. Ty lepiej ją popędź, bo nigdy stąd nie wyjdziemy. Nie rozumiem, czemu szefowa nie kazała zostać pani Eli – co ona niby ma w domu do roboty?

– Faktycznie, co każdy normalny człowiek ma do roboty przed świętami? – Nowak uśmiechnął się ironicznie.

– A, właśnie, Bartek. Te widma z EPR-u. Wiem, że umawialiśmy się po Nowym Roku, ale chcę to domknąć do końca grudnia. W święta masz pełny dostęp do sprzętu. Ja swoją część wyników do publikacji zrobiłem.

Nowak zaniemówił. Przez moment wyglądał tak, jakby zastanawiał się, czy to, co usłyszał, było żartem.

– Bez jaj. Do wczoraj prowadziłem ze studentami ćwiczenia, a do tego grzęznę pod kolokwiami, które, przypominam, powinieneś ocenić ty. Masz obowiązek pracy naukowej i – tu Nowak podniósł głos – dydaktycznej, jak każdy asystent na tym wydziale. Takie są polskie realia.

– Polskie realia, powiadasz. Zastrzegłem sobie w nowej pracy, że nie będę robić żadnej dydaktyki. Nieźle, co? I gwoli wyjaśnie-

nia: poprawiasz za mnie kolokwia, bo ja pomagam szefowej pisać grant. Chcesz się zamienić?

– Osobiście w dupie mam, że pomagasz szefowej pisać grant. A na święta mam wykupione narty w Austrii.

– Jak tam sobie chcesz. To tobie brakuje dorobku do habilitacji, więc lepiej się wykaż, jeśli chcesz być współautorem.

W głównym laboratorium Andrzej Klich zaczął opisywać próbówki Eppendorfa, do których miał odważać odczynniki.

– Co to za awantura z Nowakiem? O Ewkę się popstrykaliście? Jakiś pojedynek się szykuje? – zapytał wchodzącego Gralczyka.

– Że co? – Marek Gralczyk postawił przy elektronicznej wadze tacę, na której stały fiołki z barwnikami komórkowymi. – Jaki pojedynek?

– Myślałem, że Ewa ci się podoba. A Bartek od dawna smali do niej cholewki. Zakochany bez pamięci.

Gralczyk wyjął telefon i pokazał Klichowi zdjęcie.

– Doktorantka mojego nowego szefa. W lutym mamy jechać razem na staż do Sztokholmu. To między innymi dla niej zmieniam robotę.

– Wow – Klich mimowolnie oblizał usta. Dziewczyna na zdjęciu przypominała Monicę Bellucci.

Gralczyk schował telefon do kieszeni spodni, nachylił się do Klicha i powiedział cicho:

– A tak między nami, to z Ewą raz się umówiłem. Dzięki mnie nie napiszą na jej grobie „zwrócono bez otwierania”, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Andrzej Klich otworzył usta, po czym obydwaj wybuchnęli śmiechem.

– Postuchaj, Mareczku, ja nie powiem o tym Bartkowi, a ty w rewanżu nie zanoś ankiet studentów do działu dydaktycznego. Przecież nie ma takiego obowiązku. W dydaktycznym są takie nawiedzone dziunie, że mogą mi zabrać te wykłady. A ja mam trzy lata do emerytury.

Marek Gralczyk w sekundzie spoważniał i pokręcił głową.

– Andrzej, powiem wprost. Jesteś świetny w labie, ale powinienś mieć zakaz uczenia. Przez ciebie ludzie zniechęcają się do optyki i w efekcie do mikroskopii, nikt potem nie chce robić magisterek u nas w grupie. Nowak powinien wykładać, nie ty. Ankiety trafią tam, gdzie ich miejsce.

Andrzej Klich gwałtownie odsunął krzesło od wagi. Poczut, że jeśli zaraz nie wyjdzie na papierosa, rzuci się na Gralczyka i wtedy na pewno zostanie zwolniony.

– Ale z ciebie kawał chuja – powiedział, zabierając kurtkę.

Okna przeszklonego salonu wychodziły na łąkę i pobliski las. Rozgwieżdżone niebo delikatnie rozjaśniało mrok. Śnieg, jak na zawołanie, pokrył świerki i sosny, tworząc scenerię rodem z bajki.

Przy drzwiach balkonowych stał trzypoziomowy drapak. Na każdym z jego pięter leżał kot. Biało-czarna Prada spała w bocianim gnieździe. Popielata Mona zajmowała środkowe piętro, obserwując wnętrze salonu przymrużonymi oczami. Z najniższego kosza wylewała się ruda Lisa.

Elżbieta Maj włączyła jazzową wersję „Cichej nocy”. Jej kuzynka Agata tasowała karty, jednocześnie przyglądając się choince. Od dwóch dni pękała z dumy, patrząc na swoje dziecko. Na drzewku wisiły pierniki i zbierane przez wiele lat zabawki. W tym roku przybyły trzy koniki, które Agata zrobiła z filcu. Popielaty materiał

wyszyła białymi gwiazdkami, a grzywy i ogony wyhaftowała na sztyku.

– Agato, dość tego samozachwytu. – Elżbieta postawiła na stole karafkę wiśniówki i dwa kieliszki. – Karty na stół!

Po drugiej partii remika Agata odłożyła karty, po raz kolejny napełniła kieliszki i jeden podała kuzynce.

– Tak sobie myślę, Elu, że ty specjalnie wzięłaś teraz urlop, żeby nie mieć do czynienia z Gralczykiem i całą resztą. Telefon masz wyłączony, a tam na pewno ktoś się do ciebie dobija.

Elżbieta oparła się w fotelu.

– Atmosfera w labie stała się nieznośna. Te złamane serca, spięcia, podchody, awantury. Wszyscy pogłupieli, bo Gralczyk odchodzi z grupy. Ewa odstawia teraz kompletną amatorszczyznę. Zerknęłam przed urlopem na komórki, które przygotowała dla Gralczyka – niedbale, byle jak, chyba zauważyłam zakażenie grzybem. Jakby celowo robiła mu na złość. To nie są moje standardy. Mam dość gaszenia pożarów. Z przyjemnością wrócę do pracy, gdy już nie będzie tam tego celebryty.

– 4.02.B. W tej sali włączył się alarm – pracownik ochrony wskazał przełożonemu odpowiednie drzwi. – Karta dostępu nie otwiera. Kierownikiem zakładu jest Kantyka-Kołodziej, dzwoniłem do niej. Prawdopodobnie wyje system chłodzenia laserów w jakimś cholernie drogim mikroskopie.

– Ale czemu tu jest zamykanie i na kartę, i na klucz?

– Czasem zamykają się od środka kluczem, żeby ktoś z zewnątrz nie wszedł i nie wpuścił światła, bo oni tam specjalistyczne zdjęcia robią czy coś. Pukałem w te drzwi ile wlezie – nic.

– Wykręć mi jeszcze raz jej numer.

Mężczyzna rozmawiał przez telefon kilka minut, rozłączył się i oznajmił:

– Wyważamy.

W pokoju mikroskopowym pogaszone były wszystkie światła. Ciemność pomieszczenia przetamywała zielona smuga, która wydobywała się z jednego z obiektywów. Jaskrawa wiązka padała na okrągłą szalkę umieszczoną na stoliku mikroskopu, przypominając reflektor, który rzuca światło na niewielką scenę.

Jednak to nie szalka w zielonej poświacie przykuła uwagę ochroniarzy. Wzrok mężczyzn którzy wyważyli drzwi, skierował się w kąt pomieszczenia. Tam bowiem leżała postać ubrana w białe laboratoryjne fartuch.

Po chwili szef ochrony sięgnął po telefon i zaczął wystukiwać na klawiaturze 112.

„Weźmie taki i umrze w święta – pomyślał, czekając na potężne – a ty człowieku zostajesz z tym bajzlem”.

– Nie uwierzysz co się stało!

Elżbieta Maj usiadła w fotelu, rozpinając płaszcz. Ciągle nie mogła wyrównać oddechu po tym, jak pędziła od przystanku do domu. Na kolana starszej pani natychmiast wskoczyła Mona, za nią wgramoliła się tłusta Lisa. Jedynie Prada została na swoim leżowisku, zwinięta jak krewetka.

Elżbieta wyjęta z torebki wydruk i podała go swojej kuzynce. Była to strona internetowa Wydziału Biochemii, Biofizyki i Biotechnologii Uniwersytetu Jagiellońskiego, w lewym górnym rogu widniała czarna wstążka. W aktualnościach datowanych na 25 grudnia znajdowało się zdjęcie przystojnego blondyna stojącego obok mikroskopu i notatka:

Z ogromnym żalem zawiadamiamy o śmierci dr. Marka Gralczyka, asystenta w Zakładzie Biofizyki i Biologii Komórki. Dr Gralczyk specjalizował się w mikroskopii fluorescencyjnej i konfokalnej; był dwukrotnym stypendystą Fundacji na rzecz Nauki Polskiej dla wybitnych młodych naukowców oraz laureatem stypendium Prezesa Rady Ministrów. Zdjęcia Jego autorstwa pojawiły się na okładce prestiżowego czasopisma „Cell”.

Poniżej podano informacje dotyczące pogrzebu oraz prośbę rodziny, żeby zamiast kwiatów wesprzeć Polskie Towarzystwo Alergologiczne.

Agata odłożyła kartkę i wstawiła wodę na herbatę.

– Morderstwo w Boże Narodzenie – powiedziała po chwili. – Ktoś go w końcu sprzątnął.

Elżbieta drgnęła tak, że koty na jej kolanach podniosły głowy.

– Daj spokój, nikt go nie sprzątnął. Był sam, zamknięty od środka w pokoju mikroskopowym. Musiał mieć atak astmy, a inhalator zostawił w innym fartuchu. Zresztą sekcja zwłok nie wykazała nic prócz obrzęku płuc i podrażnienia błon śluzowych.

– Alergika najłatwiej zabić. Przecież u was roi się od trucizn, gazów i innych paskudztw. Morderstwo to nic trudnego.

Umysł Agaty zaczął pracować na najwyższych obrotach. Włączyła komputer. Na stronie internetowej zakładu pracy Elżbiety w dalszym ciągu widniało zdjęcie z życzeniami świątecznymi. Wesoła sześciuosobowa rodzina na tle choinki.

Gdy przyglądała się temu zdjęciu, przyszedł jej do głowy pewien wierszyk:

Sześć malutkich Murzynieček
Na miód słodki miało chęć.
Jedno z nich ukuła pszczołka
I zostało tylko pięć.

– No i? Czego się dowiedziałas? Sprawdziłaś te butle? Jak ci minął dzień? – Gdy tylko Elżbieta otworzyła drzwi do mieszkania, Agata zasypała ją pytaniami.

– Grzebałam w koszach, węszyłam, pytałam. Tak bym opisała mój dzień. Butle z azotem i argonem stoją niemal w każdym pomieszczeniu. Wszyscy używamy tych gazów podczas robienia liposomów lub żeby pozbyć się tlenu z próbek. Butla z azotem znajduje się również w pracowni mikroskopowej. Odpłombowana 15 grudnia, dziesięć dni przed śmiercią Gralczyka i do dziś prawie pełna, bo sprawdziłam ciśnienie na reduktorze. Nie było to więc uduszenie azotem. Zresztą wyniki sekcji byłyby inne.

– Powiedzmy, że zrozumiałam. A Polanowska? Bo to jest obecnie mój typ numer jeden. Jak to mawia nasz proboszcz: „kobiety czasami posuwają się bardzo daleko i poświęcają wiele wysiłku, by zaspokoić pragnienie zemsty”.

– Faktycznie, w komórkach, które przygotowała dla Gralczyka, było zakażenie grzybem. To spowodowało u niego reakcję alergiczną, zaczął kichać. O kichaniu powiedział mi Klich, który wtedy wybarwił część preparatów. Co więcej, Gralczyk, mimo nakazów i przepisów, nie nosił w pracy rękawiczek ochronnych. Szalki z komórkami, które oglądał pod mikroskopem, brał gołą ręką, co spowodowało reakcję alergiczną.

– A więc Polanowska! Wiedziałam!

– Wątpię. Zakażenia pleśnią czy grzybem zdarzają się w labie. Wprawdzie ja w moich hodowlach tego nie pamiętam – tu na twarzy Elżbiety pojawił się uśmiech dumy – ale wiem, że Gralczyk zetknął się z tym nie raz i nie dwa. I nie umarł. Niedbalstwo Polanowskiej nie spowodowało jego zgonu, choć ona się okropnie obwinia. Tak mi się przynajmniej wydaje.

Agata zerknęła do swojego zeszytu.

– Klich. Sercowiec, świeżo po operacji, trzy lata przed emeryturą. Wytłumacz mi jeszcze raz, o co chodzi z tymi ankietami?

– Klich od lat prowadzi zajęcia z optyki. I od lat studenci oceniają go średnio, ale że jest to kurs dość trudny technicznie, więc wiadomo, że studenci obwiniają prowadzącego. Tak było do momentu, gdy Klich wyładował z zawalem w szpitalu i musiał go zastąpić Nowak. Bartek zrobił z optyki najbardziej interesujące zajęcia w semestrze. Ale gdy Klich wydobrzeał, uparł się na poprowadzenie ostatniego wykładu. Chciał w ten sposób uczcić swój powrót ze szpitala. Jednak różnica w jakości wykładów była tak duża, że studenci zaczęli buczeć i dali temu wyraz w ankietach. A Gralczyk, którego wszędzie pełno, uparł się, by te ankiety upublicznić.

– To też jest niezły motyw – Agata pokiwała głową. – A czy to nie Klich umie podrabiać podpisy? Mówiłaś, że podpisał Nowakowi jakąś fakturę „zamiast” szefowej.

– Faktycznie, że dwa lata temu. Że też pamiętasz takie rzeczy!

– No cóż, słonie mają dobrą pamięć – Agata miała cytaty na każdą okazję.

– Litości! Dość tego przepytывania. Daj mi odpocząć – Elżbieta zastoniła się gazetą.

– Ja po prostu staram się rozwiązać zagadkę, a ty dostarczasz mi informacji.

Agata nic sobie nie robiła z narzekań kuzynki. – Takie śledztwo na cztery ręce. Oczywiście zakładam, że mówisz mi prawdę.

– No wiesz! Wypraszam sobie.

– Wypraszaj ile chcesz, ale ileż to razy słyszałam, że Gralczyk jest genialny, jednak wykorzystuje swoją pozycję. Przez niego Ewa ma złamane serce, pośrednio Nowak ma złamane serce, Klich ma

dostównie złamane serce. Szefowa jest niesprawiedliwa dla grupy, faworyzuje Gralczyka i tak dalej. Mogłaś go załatwić dla oczyszczenia atmosfery. Byłabyś idealnym mordercą. Wszyscy ci ufają, nie mieszasz się w konflikty. Wyobrażam sobie ciebie jako karzące ramię sprawiedliwości. Nemezis.

W odpowiedzi na słowa kuzynki Elżbieta Maj wzniosła oczy ku niebu.

Do drzwi z wizytówką E. Maj & A. Miller zapukał ministrant.

– Czy przyjmie pani księdza z wizytą duszpasterską?

– Oczywiście – odpowiedziała Agata.

Elżbieta, głaszcząc koty, westchnęła.

Po piętnastu minutach „Przybieżeli do Betlejem” zostało odśpiewane, pacierz odmówiony, a koty skropione święconą wodą. Ksiądz, będący miłośnikiem psów, rokrocznie uznawał to za doskonały pomysł. Bywał w tym mieszkaniu od lat. Agata była zagorzałą katoliczką, Elżbieta – jej przeciwnieństwem. Na każdą wizytę duszpasterską przygotowywała listę komentarzy do prawd wiary. Dziś, po wstępnych przepychankach, rozmowa zeszła na dawanie fałszywego świadectwa i tajemnicę spowiedzi.

Gdy przez chwilę kuzynki znalazły się w kuchni, Agata złapała Elżbietę za ramię:

– Czy ty musisz tak męczyć tego biednego proboszcza?

– Każdy powinien znać się na swej robocie. Ksiądz ma wiedzieć, że jest księdzem. A ja nie robię tajemnicy z tego, że jestem agnostyczką.

– Czyli taką świnką morską. Ani świnką, ani morską – syknęła Agata, zabierając dzbanek z kawą. – Zachowuj się.

– Pani to by samego diabła skusiła tym makowcem – powiedział z uśmiechem ksiądz, gdy

Elżbieta postawiła przed nim półmisek z ciastem.

– Czy ksiądz jest się w stanie zorientować, gdy podczas spowiedzi ktoś zaczyna się wybielać albo, mówiąc ogólnie, mija się z prawdą? – zapytała mniej bojowym tonem.

Proboszcz pomyślał chwilę i odpowiedział.

– Pozwoli pani, że zacytuję pewnego Belga: „Głęboko wierzę, że jeżeli uda się skłonić kogoś do dłuższej pogawędki na jakikolwiek temat, wcześniej czy później ta osoba sama się zdradzi”.

Elżbieta znieruchomiła. Przypomniała sobie pewną rozmowę w pracy. Zadała niewinne pytanie o zapas chloroformu w magazynie z odczynnikami. Uzyskała nad wyraz szczegółową odpowiedź, która w gruncie rzeczy nie wyjaśniała, po co ten rozpuszczalnik kupiono. Wtedy nie zwróciła na to uwagi, w tej chwili w jej głowie zapaliła się czerwona lampka.

Elżbieta przysunęła fotel do półki z książkami. Roito się tu od nazwisk znanych każdemu chemikowi. Bielański, Pigoń, Ruziewicz, Barrow, Danek, Atkins, Morrison, Boyd. Niektóre podręczniki pamiętały jeszcze czasy jej studiów, niektóre były zupełnie nowe. W skupieniu zaczęła je przeglądać, automatycznie głaszcząc Monę, która nie wiadomo kiedy znalazła się na jej kolanach.

Podniosła głowę znad książek, gdy drzwi do mieszkania otworzyły się i w progu pojawiła się zdyszana Agata. Kijki do nordic walking wstawiła do pojemnika na parasole i zawołała:

– O proszę! Chcesz sprawić wrażenie, że te książki są ci ciągle potrzebne, czy faktycznie czegoś szukasz?

– Już nawet znalazłam – odparła Elżbieta z wyjątkowo poważną miną.

- Potwierdziłaś moją teorię spiskową?
- Teoretycznie jest to możliwe. Teoretycznie. Myślę, że mogło się tu złożyć kilka czynników. Ale nie wiem, czy da się to udowodnić.

Elżbieta włączyła elektryczny czajnik i gdy w jej słuźbowym pokoju rozległ się szum podgrzewanej wody, sięgnęła po telefon.

- Panie Bartku, ma pan chwilę? Tak? To proszę do mnie zajrzeć.

Po kilku minutach Elżbieta postawiła przed Nowakiem kubek z herbatą.

- Ma pan spore zapasy chloroformu, panie Bartku. Jeszcze z czasów, gdy kolega Klich podpisywał faktury... Można eksperymentować. Chloroform i ultrafiolet – każdy chemik wie, co powstaje w takiej reakcji.

Elżbieta sięgnęła po notatki i odczytała: „Fosgen, bezbarwny gaz bojowy stosowany w czasie pierwszej wojny, o charakterystycznym zapachu skoszonego siana. Może spowodować obrzęk płuc po okresie utajenia”.

Popatrzyła na Nowaka. Wyraz jego twarzy się nie zmienił.

- Sugeruje pani, że otrutem Gralczyka czymś, co pachnie sianem? Każdy by to wyczuł.

– Nie, jeśli ten ktoś kichał i kaszłał, a Gralczyk dostał wcześniej uczulenia na pleśń. Dlatego nie zorientował się, że wdycha truciznę, która zabiła go po kilku godzinach, gdy pan był na nartach z przyjaciółmi 800 kilometrów stąd. Jak pan to sobie wytłumaczył? Że to coś innego wbić komuś nóż w serce, a wylać na szalkę trochę chloroformu? W tym ostatnim przypadku to tak, jakby robiło się eksperyment. Ma zajść reakcja, a to, że efektem końcowym jest trup? No cóż. Taka wartość dodana. Nie uważa pan?

- Pani zwariowała. A już na pewno mi tego nie udowodni.

– Nie. Ale powiem jedno: Ewa Polanowska obwinia się o śmierć Gralczyka. Przyznała mi się, że na szalkach z komórkami było zakażenie grzybicze. Świadomość, że to przez nią Gralczyk dostał ataku duszności, spędza jej sen z powiek. Wie pan, jest takie powiedzenie: „Nie ma większej nienawiści niż nienawiść mężczyzny do kobiety kochanej wbrew swej woli” – mówiąc to, Elżbieta zdała sobie sprawę, że zaczyna rzucać cytatai jak Agata i ksiądz proboszcz.

Bartłomiej Nowak zareagował natychmiast.

– Nie zrobiłbym nic, co mogłoby zaszkodzić Ewie. Nigdy. Ona tak bardzo się wszystkim przejmuje. Kiedy miała poprowadzić pierwsze zajęcia ze studentami, nie spała trzy noce. Przeżywała, że nie będzie znata odpowiedzi na jakieś pytanie, że sprzęt jej nie zadziała albo coś popsuje. Przychodziłem wtedy specjalnie do pracy, żeby w razie czego jej pomóc. Ona zawsze może na mnie liczyć.

„A to ciekawe – pomyślała Elżbieta, sprzątając kubek z herbatą, której Nowak nie tknął – nie zauważyłam, żeby Ewa przejmowała się zajęciami. Raczej maskuje brak wiedzy arogancją, jeśli chodzi o studentów”.

– Psy nie są takie złe. Mogłybyśmy jakiegoś przygarnąć – powiedziała Elżbieta, ostrząc nóż. Na ten dźwięk Prada poderwała się z legowiska i przybiegła do kuchni. Po chwili z drapaka zesła Mona i podążyła w ślad Prady. Jedynie Lisa nigdzie nie pędziła, gdyż od dawna siedziała przy lodówce jak hipnotyzer wpatrzona w swoją panią.

– Ale powiedzmy sobie szczerze – ciągnęła Elżbieta – to upośledzone stworzenia. No bo jak można być tak ślepo i bezgranicznie przywiązany do człowieka?

Agata nie słuchała kuzynki, tylko z uwagą przeglądała notatki.

– Wszyscy są beneficjentami śmierci Gralczyka. Może z wyjątkiem szefowej. Gralczyk był dla niej kurą znoszącą złote jajka.

– Jakbym miała obstawiać – wtrąciła Elżbieta – to myślę, że Kantyka-Kołodziej woli go martwego w swojej grupie niż żywego i pracującego dla jej byłego męża. Oni prowadzą dość podobne badania i rywalizują ze sobą o granty. Szefowa wpadła w szal, gdy dowiedziała się, że jej „eks” zwabił Gralczyka wyższą pensją i z marszu załatwił mu staż w Szwecji. A gdy próbowałam zagaic o Nowaku, powiedziała coś takiego, że ciarki przeszły po plecach. „Oj, pani Elu, zostawmy to. Nie będziemy nikomu rzucać kłód pod nogi. Ludzie dla kariery robią gorsze rzeczy. W gruncie rzeczy, kto z nas nie ma czegoś za uszami?”.

Agata pokiwała głową, jakby w ogóle nie zdziwiły jej te słowa. Elżbieta ciągnęła:

– Klich na pewno ma swoje za uszami, ale morderstwo nie jest w jego stylu. Nawet gdyby Gralczyk zaniósł te ankiety do działu dydaktycznego, szefowa stanęłaby po stronie Klicha, kazała mu podrasować wykłady i jakoś dociągnęłaby do emerytury.

Agata odłożyła zeszyt na stolik kawowy, co natychmiast wykorzystła Prada, moszcząc się na zapisanych kartkach. Agata tymczasem oświadczyła:

– W takim razie zabił ten, kto najwięcej zyskał. Kto był zawsze drugi, a teraz jest pierwszy. Zresztą sama doszłaś do tego wniosku. Że położył tapę na wynikach Gralczyka do publikacji i dzięki temu habilitację ma w kieszeni. I pozbył się konkurenta w miłości. Wprawdzie z tego, co mówiała, wynika, że Gralczyk nie był zainteresowany Ewą, ale ona mogła mieć ciągle nadzieję, więc Nowak wołał chuchać na zimne.

Elżbieta wstała z fotela i podeszła do choinki. Zakręciła nitką, na której wisiął jeden z filcowych koników.

– Agato, a może się mylisz? Może to był nieszczęśliwy wypadek? Bo jeśli Nowak planował morderstwo, robił doświadczenia z fosgenem i tak dalej, to przecież w kluczowym momencie nie zdałby się na niedbalstwo Polanowskiej i przypadkowe zakażenie grzybem. Coraz bardziej wątpię, że byłby zdolny zrobić coś takiego. To taki miły chłopak.

– Zło czai się wszędzie – odpowiedziała swoim zwyczajem Agata, nieprzekonana słowami kuzynki.

Agata włączyła komputer i zajrzała na stronę Wydziału Biochemii, Biofizyki i Biotechnologii. Na głównej stronie widniało:

Publikacja w „Science”!

Z dumą informujemy, że praca przygotowana w grupie badawczej profesor Urszuli Kantyki-Kołodziej z Zakładu Biofizyki i Biologii Komórki ukaże się w prestiżowym czasopiśmie „Science”. Pierwszym autorem pracy jest dr hab. Bartłomiej Nowak. Wywiad z docentem Nowakiem będzie można przeczytać w najnowszym numerze „Polityki”.

Gratulujemy całej grupie badawczej!

Agata zaczęła czytać aktualności i zwróciła uwagę, że Nowak został niedawno kierownikiem studiów doktoranckich. Mimowolnie uśmiechnęła się, widząc, że w nazwisku Polanowskiej pojawił się drugi człon: „mgr Ewa Polanowska-Nowak, doktorantka”.

„Czyli zakażenie grzybem nie było przypadkowe. Działaliście razem, gołąbeczki – pomyślała, wyłączając komputer. – Morderstwo najgorszego sortu”.

O AUTORCE

Magdalena Niziołek-Kierecka (ur. 1977) – z wykształcenia doktor nauk przyrodniczych w zakresie biofizyki; dwukrotna stypendystka Fundacji na rzecz Nauki Polskiej dla wybitnych młodych naukowców. Absolwentka UJ, pracowała na uczelniach w USA, Austrii i Szwecji. Laureatka konkursów literackich Festiwalu Conrada (2013) i Międzynarodowego Festiwalu Kryminatu (2014). W 2014 roku otrzymała główną nagrodę na Międzynarodowym Festiwalu Opowiadania we Wrocławiu. Miłośniczka podróży, gier planszowych i Woody’ego Allena.

Grzegorz Reiwer

Pema. Opowiadanie o komisarzu Jakubie Śpiechu

*Spoglądam w nie urodzony, schematyczny świat,
który pragnie, aby go stworzyć i ukształtować,
spoglądam w rojowisko cieni postaci ludzkich,
które kiwają ku mnie, abym je zaklął i wyzwolił:
cienie tragiczne i śmieszne, i śmieszno-tragiczne
– i jestem do nich bardzo przywiązany.*

„Tonio Kröger”, T. Mann

Niespokojne duchy ofiar pragną uwagi żywych. Ich sprawy są naszymi. Gramy w ich dramatach.

Komisarz Jakub Śpiech zdał sobie z tego sprawę dużo wcześniej, nim pewnego jesiennego popołudnia przekroczył próg niewielkiego mieszkania, mieszczącego się w faldowcu przy ulicy Kołobrzeskiej w Gdańsku. Mieszkające tam małżeństwo wydawało się pogrzebane za życia przez osobistą tragedię.

Radź Asshish w milczeniu wpuścił Śpiecha do środka i jak co tydzień poprowadził w głąb korytarza, w którym unosił się zapach kadzideł i żałoby. Hindus zwiesił głowę, akceptując obecność policjanta tak, jak skazaniec akceptuje przypomnienie o przedłużeniu niewzruszalnego wyroku. Przygarbiony parł naprzód wolno, choć wydawało się, że bezwolnie, i to ziemia kręci się dalej, a on tyl-

ko przebiera stopami w miejscu, chcąc uparcie zatrzymać świat i jego szaleństwa.

– Gdzie jest moja córka? – pytał w pokoju sekcyjnym.

Śpiech wszedł chwilę wcześniej do sali, luzując dyżurnego. Radz stał przy stole, intensywnie wpatrując się w leżące na nim ciało dziewczynki. Jakub postanowił mu nie przeszkadzać do momentu przybycia lekarza. Komisarz przypomniał sobie, że wyrwany z głębokiego zamyślenia, w pierwszej chwili uznał, że doszło do pomyłki. Już chciał zaśmiać się i przeprosić, lecz popatrzył jeszcze raz na ciało i znowu na mężczyznę.

Spojrzał jakby z góry na sytuację, która trąciła komizmem... aż zreflektował się i pokiwał smutno głową. Poczuł się niezręcznie za sprawą niedoskonałości własnego serca czy raczej tajemniczego defektu w mózgu, przez który nie reagował tak, jak było to właściwe. Nie wiedział, czym właściwie są emocje. Nie potrafił okazywać uczuć. Chyba że chodziło o role, znane z dawno pogrzebanej kariery aktorskiej. Przypomniał sobie adekwatne słowa Tomasza Manna z opowiadania o Tonio Krögerze. Rozumiał więc, że świat jest ułożonym, schematycznym miejscem. Ludzie przypominali cienie postaci, nim pojawiali się na tej samej co on scenie. Dotykając blizny na policzku, pomyślał z żalem, że jego iluzje nie są takie jak kiedyś, że są skażone pęknięciami, zza których niestety widać zimne i potworne wnętrza, które kiedyś ukrywał.

Jego zmieszanie trwało krócej niż mrugnięcie powieką. Górę wziął nawyk improwizacji z czasów gry scenicznej. W tej sztuce potrzeba subtelności i współczucia, dodał w myślach. Porzucił maskę chłodnej zawodowej obojętności oraz rażącą w tym momencie wesołość. Podeszedł bliżej, zamarkował podchwyconym przy podobnej okazji gestem, delikatnym uściśnięciem ramienia.

Pokiwał smutno głową. Nim zorientował się, że podszedł ze złej strony, Radź obejrzał się i skrzywił, widząc szpetotę na twarzy Śpiecha. Komisarz powstrzymał rozdrażnienie. Niemniej, ojciec ofiary zrozumiał. Nie ma mowy o pomyłce. Jęknął i zapłakał. Policjant zrobił krok w tył, jak sądził, poza kadr wydarzeń.

– Moja mała Pema – powiedział wtedy Radź, jeszcze nim wszedł lekarz, który dzięki trzymanym w rękach dokumentom oddzielał sprawy żywych i umartych, tak jak oddzielał wielokrotnie narzędziami tkanki, by zapełniać szalę życia kolejnymi dowodami śmierci.

Na łóżeczku leżał karton ze spakowanymi zabawkami i ubraniami. Jakub zmarszczył brwi, gdy przelotnie zauważył na nim grubą warstwę kurzu. Minęło tyle czasu, pomyślał. Czasu, który, mimo starań, zmarnował.

Widział już wiele podobnych rodzin, rozdieranych przez żal. Polacy, jeśli mordowali, to głównie wśród bliskich. Przelewali krew z własnej krwi, za pomocą tego, co akurat znaleźli pod ręką. Tchórze skryci za maskami twardzieli. Twardziele o słabych nerwach. Wszyscy ukrywają swoją naturę. Grają wbrew sobie, ze strachu lub głupoty. Sprytne łasice, które udają groźne psy. Psy udające łasice. Odkrywał w nich zwierzęta udające ludzi.

Zaglądał do Asshishów i początkowo badał, kim jest zrozpaczony ojciec. Potem, gdy już uznał ich niewinność, przychodził z przyzwyczajenia. Opowiadał o sprawie.

Zamiast kłów i pazurów ujrzał morze spokoju, podpowierzchniowego smutku i głębię rezygnacji z życia. Z czasem poznał, że byli niewinnymi ofiarami, on zaś – jedynym zwierzęciem w mieszkaniu. Przedrzeźniaczem pod skórą wilka.

Usiedli w dużym pokoju. Śpiech skinął głową matce dziecka, Anshal. Postawiła na stoliku aromatyczną herbatę.

– Dziękuję – powiedział, gdy opadła ciężko na kanapę. Ze stolika wzięta zdjęcie, na którym uśmiechała się jej córka, Pema.

Jakub przypatrywał się swoim gospodarzom. Obcy, w obcym kraju. Tak kulturowo, jak i światopoglądowo. W duchu uznał, że niezależnie od długości i szerokości geograficznej wszyscy podobnie przeżywają miłość i rozpacz. Chyba że chodzi o psychopatę, dodał w myślach.

– Czy ma Pan jakieś informacje? – zapytał Radź.

Jakub długo nie odpowiadał, zbierając myśli. Pokręcił głową, mówiąc:

– Niestety.

Radź objął Anshal, całując w czoło. Szeptał. Komisarz nerwowo podniósł kubek z herbatą, lecz po chwili go odłożył, gdy zapiekła go blizna na prawym policzku. Pocierając ją, wpatrywał się w zdjęcie na kolanach matki.

Porównując fotografię ze swoim pierwszym wspomnieniem na temat małej Pemy, w myślach zauważył refleksyjnie, że śmierć zatrzymuje czas w sposób gorszy, wybrakowany. Oczy na zdjęciu były ciemnoorzechowe, piękne, radosne i niewinne. Jednym słowem, żywe. Takie pozostały dla rodziny i przyjaciół. Te, które pamiętał Śpiech, na zawsze pozostaną zamknięte.

Po raz pierwszy zobaczył ją pewnego mglistego poranka w trójmiejskim parku Reagana. Leżała na stercie wilgotnych liści, porzucona jak marionetka. Mała Pema. Stała się wyzwaniem gdańskiego śledczego.

Była ubrana w krótką sukienkę w kwiaty, odstanającą drobne kolanka. Butów nie odnaleziono. Od mamy dziewczynki Jakub dowiedział się, że w dniu, gdy zaginęła, nosiła swoje ulubione czerwone trzewiki. Przypadkiem mechanicznie wtedy na te słowa.

Miała piękne włosy barwy hebanu. Gęste i grube jak stoje drewna; grube od rosy, ciężkie od śmierci. Przypominały liczne dłonie opadające na małe ramiona, sięgające ku brudnej i mokrej ziemi, w której tydzień później ją złożono.

Kłękając przy jej ciele, Jakub zapamiętał chłód tamtego poranka, szum morza w oddali i wyraz ulgi na twarzy dziecka. Wrażenie to psuła napuchnięta i rozcięta dolna warga. Patolog stwierdził, że zmarła od uderzenia w głowę i nie cierpiąca.

Późniejszy raport na temat znalezionych śladów przeczytał temu i Jakub w milczeniu uznał go za kłamcę.

Jednocześnie nowe wyzwanie sprawiło, że poczuł się cały. Silny. Minęło odrętwienie, które czuł od chwili, gdy prawie jedenaście lat wcześniej, po wypadku na planie filmowym, obudził się w szpitalnym łóżku jako człowiek słaby i złamany przez zły los. Wcześniej wiódł dostatnie życie artysty. Miał tylko dwadzieścia pięć lat i cały świat u swoich stóp.

Był chwalony za talent i charyzmę. Uwielbiali go zarówno widzowie, jak i krytycy. Kiedy pytano, co jest sekretem jego sukcesu... kłamał. Oszukiwał ich wszystkich. Nie potrafił inaczej.

Przypomniał sobie słowa z „Ifigenii w Taurydzie” Goethego:

Natura słabym nie odmawia broni

Przeciwko sile i przemocy,

Lecz chytryść uczy ich sposobów, sztuk

Jak ustępować, zwlekać i omijać.

Mimo elokwencji zapamiętanych przed laty tekstów, nie wiedział, jakich słów ma użyć wobec rodziców ofiary.

Dlatego siedział na fotelu, creatio ex nihilo. Szukał wewnątrz, wśród fantomów dawnych ról, tożsamości dostarczyciela złych wieści. Żałował, że nie może się zmienić w kruka z nordyckich mitów.

Zerknął na rodziców Pemy. Anshał ścisnęła nadal zdjęcie, wystawione na świat jak oskarżenie. Wiedział, co sobie myśli, o co oskarża JEGO: że przychodzi stamtąd, spoza kręgu bólu, gdzie życie toczy się dalej. Chciał jak najszybciej opuścić mieszkanie. Przerazało go to, jak bardzo był winny niewypowiedzialnych oskarżeń kryjących się w pustym spojrzeniu matki.

Długo jeszcze mełł w ustach słowa, nim wreszcie powiedział:

- Śledztwo zostało umorzone.
- Dlaczego? – krótkie pytanie cięto powietrze jak bat.

Mieszkał w Polsce od kilku lat. Pracował jako informatyk w oddziale międzynarodowej korporacji. Żonę i dziecko sprowadził niedawno. Szczęście potężnej rodziny nie trwało jednak długo.

Komisarz z trudem pokonał chęć odwrócenia wzroku.

– Brak śladów. Żadnego świadka. Nie ma punktów zaczepienia – podał prawdziwe powody, lecz zabrzmiały one jak wymówki.

Radź popatrz w dół, na własne ręce, jakby widząc je po raz pierwszy. Matka milczeniem odgradziła się od spraw świata. Wyglądała, jakby zaparzenie trzech herbat odebrało jej resztkę energii.

– Przykro mi.

Cisza przedłużała się, nim przerwał ją Radź:

– Pamiętam spokój jej oczu. – mówił. – Kiedy się urodziła, wiedziałem, że jest duchem o czystym sercu i duszy. Niewinna. Dlatego daliśmy jej na imię Pema.

Załamiał mu się głos, lecz ciągnął dalej:

– Widziałem te... plamy krwi na jej sukience. Byłem wściekły – przerwał, by nabrać powietrza. – Wściekły na świat. Na żonę. Na policjantów zadających pytania, nieznających odpowiedzi na żad-

ne z nich, zwłaszcza: kto to zrobił, kto ją skrzywdził? – załkał. –
Moja kochana Pema.

Komisarz nie przerywał mu. Słuchał uważnie. Blizna paliła go
żywym ogniem. Dłonie trzymał na kolanach; zaciskał je, niby du-
sząc własną bezsilną złość.

– Przykro mi. Proszę nie robić sobie kłopotu, znajdę wyjście.

Zamarł w pół kroku, gdy usłyszał staby głos matki dziewczynki.

– Słucham? – zapytał.

– Maja – popatrzyła błagalnie na męża.

Radź nie podniósł wzroku:

– Nie „maja”, tylko „maya”. To coś, czego nie ma.

– Nie rozumiem – komisarz usiadł ponownie na fotelu.

Tamten westchnął.

– Przychodzi do niej we śnie – popatrzył na Śpiecha – Pema.
Mówi mojej żonie o mayi. W naszej kulturze słowo to oznacza
energię, utudę zastaniającą rzeczywistość. W hinduizmie dotyczy
przywiązania do posiadanych rzeczy. Pokonanie jej jest koniecz-
nie do wyjścia z sansary dla osiągnięcia wyzwolenia z kręgu rein-
karnacji. Czasami ukazuje to, co ukryte.

Po chwili dodał:

– Pema chce odejść, ale nie może. Nadal jest tu z nami – prze-
rwał. – Ona czeka.

Śpiech wyszedł z mieszkania. Zastanawiał się, czy przerasta
go rola policjanta. W tamtym życiu stawką była gaża i stawa.
W tym chodziło o przeżycie dzięki ciągłej improwizacji. Walczył
z niesprawiedliwością – kłamstwem i iluzją. Walczył jednak nadal
o prawdę. Nikt nie będzie o nim mówił i podziwiał. Poza duchami
ofiara. A one czekają.

Prawa strona twarzy, wystawiona na zimny jesienny wiatr, nagle odrętwiała. Skrzywił się, gdy blizna zapłonęła ostrym, gorącym bólem, od którego pociemniało mu w oczach. Zachwiał się, lecz po chwili zrobił krok do przodu. Zimny wiatr schłodził pokryte potem czoło. Nie chciał się zatrzymywać.

Celem obranej roli policjanta było złapanie mordercy.

Poniósł klęskę.

Tak jak woda drąży skałę, tak ból drążył teraz jego głowę, a poczucie porażki niszczyło spokój.

Z trudem zwalczył chęć rozdrapania swojej twarzy. Sięgnął po telefon. Kilka nieodebranych połączeń z komendy.

Zmienił maskę. Uśmiechnął się. Wiedział, że to najlepsza iluzja.

Idąc do samochodu, postanowił udawać, że ból i duchy nie istnieją.

Minęło kilka miesięcy, podczas których komisarz Śpiech starał się nie myśleć o Pemie i jej mordercy. Zakończone porażką śledztwo tkwiło jak otwarta, niezasklepiona rana, ukryta pod maską spokoju, którą nakładał, wypełniając obowiązki służbowe. Odstonięte nerwy w ranie drażniła myśl o kolejnych możliwych niepowodzeniach. Żył nieświadomą potrzebą załapania mordercy Pemy. Choć scenariusz przewidywał jego złapanie, ten z jakiegoś powodu unikał swojego losu.

Śpiech widział go w wyobraźni: cień drwący zza kurtyny.

Wizja ta objawiała się jak zżerająca wewnętrzności nieuleczalna choroba.

Było tak aż do momentu, gdy w jego biurze zjawił się ojciec Pemy. Śpiech obserwował go znad parującego kubka niesmacznej, gorzkiej herbaty.

W pomieszczeniu, pod ścianami, na podłodze i krzesłach walały się poustawiane byle jak kartony z aktami. Archiwum nieustannie wzywało komisarza do ich zwrotu, co on nieustannie ignorował. Jakubowi biuro wydawało się przytulniejsze dzięki tej makulaturze.

Na biurku, między stertą dokumentów, stała lampka z przepaloną żarówką oraz gruby notatnik. Ekran komputera milczał. Zamiast w koszu, śmieci lądowały w czarnym foliowym worku.

Radź schudł. Pod jego oczami zarysowały się cienie, widoczne mimo ciemnej karnacji. Patrzył przed siebie z wzrokiem utkwionym w czymś, co tylko on widział.

Śpiech pociągnął łyk herbaty, skrzywił się i odstawił kubek na akta poznaczone licznymi brązowymi, zaschniętymi kręgami.

- Herbaty? – zapytał swojego gościa.
- Nie, dziękuję – pokręcił głową.
- W takim razie, w czym mogę panu pomóc?

Radź potarł nerwowo dłonią czoło.

- Sam nie wiem. To takie dziwne. Moja żona...
- Co u niej?

– Lepiej. Dziękuję... – przerwał, jakby zbierając myśli. – Ona nie zna waszego języka za dobrze. Rzadko wychodzi, a od czasu... Wie pan... Wyszliśmy razem do sklepu osiedlowego. Dwa, trzy tygodnie temu. Podśluchata rozmowę dwóch kobiet. Mówiły o znalezionej w parku dziewczynce.

Śpiech sięgnął po notatnik, przygotowując w głowie zestaw pytań. Radź mówił dalej:

- Anshał nadal miewa sny o córce...
- Co to były za kobiety?

Komisarz na przemian zadawał pytania i notował. Gdy otówek ciężko skrzypiał po wytartych stronach, miał wrażenie, że jest w transie.

Radź kilka godzin później wyszedł.

Choć Śpiech wiedział, że ciężko będzie wznowić umorzone śledztwo na podstawie zebranych informacji, zrobi to i ta myśl dała mu pewną satysfakcję. Kurtyna uchyliła się nieznacznie, a on nie spocznie, nim nie sięgnie, żeby wyciągnąć zza niej mordercę.

Ból zelżał. Blizna na policzku nieznacznie dawała znać o swoim istnieniu. Pocierał szramę jak amulet. W końcu wstał gwałtownie. Zabrał z wieszaka płaszcz i wyszedł, powtarzając w myślach adres, który podał mu Radź. Mimochodem zastanawiał się nad słowami Francisa Bacona, że otwarte, niezabliźnione świeże rany noszą przeważnie ludzie planujący wendetę.

Uśmiechając się drapieżnie, przypomniał sobie, że Temida również nosi maskę. Pod nią skrywa jedną z najstarszych motywacji świata. Zemstę.

– Pani Ostaszewska? Maria...? Dzwoniłem. Jakub Śpiech z komendy...

– Już mówiłam! Ja nic nie wiem! – kobieta za drzwiami wrzasnęła przeraźliwie, próbując zamknąć drzwi. Te lekko wygięty się, gdy w progu trafiły na ciężko obutą stopę komisarza Śpiecha.

Wyraz twarzy policjanta zmienił się momentalnie. Najpierw zignorowała jego telefon, teraz to. Bezrozumny opór i brak współpracy dotknęły w nim tej struny, której nie ufał. Zazwyczaj. Teraz stracił resztki cierpliwości.

Nachylił się do szpary w drzwiach, cedząc szeptem:

– Albo mnie wpuścisz, stara kurwo, albo wyważę drzwi.

Gdy nadal nie ustępowała, Śpiech gwałtownie naparł na drzwi. Kobieta zatoczyła się, sięgnęła niezdarnie za siebie. Przywarła do ściany plecami. Nie odrywając wzroku od policjanta, zrobiła parę kroków w tył, by nagle odwrócić się i zniknąć za pierwszym progiem po prawej.

Jak pluskwa w dziurze, pomyślał.

Pośpiesznie sprawdzał rolę. Wziął parę głębokich wdechów. Potarł niby na szczęście bliznę. Uśmiechnął się drapieżnie, dostosowując spokojny, stanowczy chód do roli brutalą, którego zamierzał przedstawić w następnej scenie. Scenie przestuchania. Wyprostował plecy, zacisnął szczękę. Rozbawiła go wizja pluskwy polanej wrzątkiem.

Kurczyła się i pękała, ukazując wnętrze.

– Jeśli coś wiesz, wydobędę to z ciebie – szepnął.

Styszał, jak próbuje skrzesać ogień w zapalnicze.

Sprzątaczką, z którą rozmawiał, była znajomą Marii Ostaszewskiej. Nie musiał nawet na nią naciskać. Podawała dość szczegółów.

Maria Ostaszewska miała dwadzieścia lat, kiedy urodziła pierwsze dziecko. Chłopiec, Michał, lat szesnaście, popełnił samobójstwo po wyjściu z poprawczaka. Jakub umówił się na spotkanie z opiekunem prowadzącym chłopca w zakładzie poprawczym.

Córka, Maja, dziesięciolatka, obecnie przebywała w domu dziecka w Gdyni. Widziała Pemę w dniu jej śmierci. Dyrektorka placówki, niechętnie, ale zgodziła się na przestuchanie.

Alkoholizm, przemoc, liczne wizyty na SOR-ze, wezwania patroli do domowych awantur. Teczka dotyczącą rodziny Jakub ma odebrać dopiero następnego dnia, nad ranem, o ile – co zastrzegł pracownik archiwum – komisarz odda zebrane u siebie w biurze akta.

Ojciec dzieci jest nieznan.

Staął w progu kuchni. Pstrykanie zapalniczki ucichło.

Gdy Ostaszewska go zobaczyła, zamarta w połowie ruchu. Papieros zwisał niedbale w kąciku jej ust. Śpiech wypełnił pomieszczenie swoją obecnością.

W kuchni cuchnęło. Rozwiązaniem tajemnicy nieokreślonego zapachu mogła być jego złożona historia, widoczna w wyrwanych lub obłuzowanych drzwiczkach na kremowych meblach. Zadrżały, gdy ulicą za oknem przejechał tramwaj.

Wszystko śmierdziało, jest brunatne lub kremowe. Jak zęby palacza.

Jakub mógł przysiąc, że ściany, sufit i podłoga nadęły się do środka, gotowe pogrzebać wszystko i wszystkich.

Oparła się o parapet okna. Gwałtownie wyszarpnął z jej rąk zapalniczkę. Zapalniczka pstryknęła tylko raz.

Śpiech czytał w niej, jakby była postacią scenariusza, który trzyma w ręku.

Chciała odwrócić wzrok, lecz cienie na jego twarzy działały hipnotyzująco. Zwłaszcza poszarpana blizna na prawym policzku.

Wydawał się kolejnym chudzielcem w za dużym płaszczu. Policjantem z małym fiutem zamiast mózgu. Znała już takich.

Potem jednak uśmiechnął się w ten dziwny sposób.

Najgorsze były oczy. Błyszcząły. Wielkie oczy jak u wilka w bajce. Spojrzała w nie tylko raz; wyobraziła sobie, że widzi nie ją, tylko kawałek mięsa. W dzieciństwie bała się, że w drodze do szkoły porwie ją żartoczny wilk. A teraz zjawił się na progu. Przez bliznę jego usta również wydawały się większe.

Żartoczniejsze.

Lubiła towarzystwo mężczyzn. Kładli się obok w nocy, przytulając, dając ciepło, którego sama nie potrafiła dawać. Nawet gdy ją

dusili i przepraszali, przystawiali nóż do gardła. Przynosili jedzenie, papierosy i alkohol. Wiedziata, że nie zrobią jej większej krzywdy.

Tym razem było jednak inaczej.

Po raz pierwszy przekonała się, jak to jest być ofiarą.

Zaciągnęła się papierosem, nerwowo zerkając na boki i w dół, jak zwierzyna złapana w potrzasku.

Jakub znał ten typ ludzi. Szukają ratunku w bezsilności. Jak pies pokaże podgardle. Odsunął kosmyk włosów, który opadł na jej policzek. Zadrżała. Oddychała ciężko. Przyłożyła do piersi artretyczne ręce z guzkami zamiast stawów. Popiół z papierosa opadł jak martwy naskórek.

W końcu komisarz cofnął się.

Zamiast wydychać dym, zdawała się go wciągać z powrotem, jakby nie oddychała powietrzem, tylko szarym duchem.

– Siadaj! – warknął Śpiech.

Postusznie usiadła na jedynym krześle. Jakub odniósł wrażenie, że oprócz mebla skrzypią przeraźliwie stawy w ciele kobiety.

– Dziękuję.

Śpiech podszedł do zlewu. Spośród brzęczących, lepkich talerzy wyciągnął maty garnek. Odkręcił kran. Rury zacharczały przy tym, jakby chorowały na raka.

Napełniony garnek postawił na gazówkę, która działała wbrew pozorom zapuszczonego złomu. Kolce niebieskich płomieni rozszły się nierówno na boki, kopiąc od nieczystości z przewodów.

– Wiesz, że policjantów uczy się wykrywania kłamstw?

Chrząknięcie, brak odpowiedzi.

– Jestem w tym szczególnie dobry – powiedział, odwracając się z uśmiechem. – Mam pewien rodzaj talentu.

Jej obojętna, pomarszczona twarz pokryta się papierową szarością. Oczy płonęły czerwienią.

Próbowała nie okazywać strachu. Daremnie.

– Wszystkie psy to jeden chuj.

– Nieładnie jest przeklinać.

Grdyka Ostaszewskiej odbiła w górę i w dół.

– Co wiesz o córce Hindusów? Miała na imię Pema. Bawiła się z twoją córką, gdy zginęła.

– Nie wiem...

Śpiech uderzył w ścianę tuż koło jej lewego ucha. Papieros wypadł z jej dłoni. Ciężki but komisarza zgasił go, jakby nie istniał.

– Jak łatwo zgasić życie... – stwierdził niby refleksyjnie.

– Ja... ja...

– Nie kłam.

– Jak Karol wróci... – odpowiedziała, uśmiechając się histerycznie.

Komisarz złapał za ramię kobiety i odepchnął tak, że tył głowy wraz z oparciem uderzył w ścianę.

– Nie obchodzi mnie twój frajer.

Łzy, które popłynęły po jej twarzy, również były kłamstwem. Widząc, że go nie ruszają, zobojętniała. Zmieniała nastroje jak kanał w telewizji. Woda za plecami Śpiecha zawrzała.

– Maja widziała matkę tych Hindusów... ale nic... AŁA!!! – Jakub nagle złapał ją za nadgarstek. Drugą ręką ścisnął za kark, podnosząc i przyciskając policzek kobiety do szafki nad zlewem.

Zaczęła wyć.

– Co jeszcze?! – drobna ręka zawisła nad gotującą się wodą. – Czy wiesz, że kiedyś prawdomówność badano wrzątkiem?

– Nie... Ała! – kobieta zaparła się nogą o gazówkę, lecz bez skutku. – Córa moja... była tam. Mówiła, że... Michał był z nią! Mówiła, że jeden taki dziadek częstował dzieciaki cukierkami – dy-szała. Na jej karku pojawiły się grube żyły. – Córa ufata. Nic nie brała! Michał go przegonił. Może to on. Mój mąż Michał – zatkała.

- Co więcej?
- Ostaszewska opadła ponownie na krzesło.
- Że dziwny był jakiś. Mówił do siebie! I jak ktoś dorosły przechodził, to on odchodził szybko. Ale nic w...
- Co jeszcze? – naciskał Śpiech, cedząc powoli słowa.
- Nie, proszę, ja nic więcej! – teraz była już zupełnie wystraszona.
- Gadaj!
- Mała mówiła, że miał plamę na czole. Jakby brudny był. Był tysy i ta plama... Ona... ona była aż do czubka głowy.
- Łkała, przyciskając rękę do piersi.
- Proszę, nie rób mi krzywdy, błagam...
- Co dalej? – zapytał Jakub, zbliżając rękę do gazówki.
- Że miał czarną torbę. Piłam wtedy od rana. Córka gadała, a ja... nie pamiętam! Michał... mój Michał... – targnął nią szloch.
- Komisarz wyłączył gaz.
- Był taki jak jego ojciec – powiedziała jakby do siebie. – Miał kręcone, czarne włosy, których się wstydził i chciał, żeby je ciągle obcinać. Ciągle pytał, kiedy tata przyjdzie. Kiedy przyjdzie, mamusi, pytał. Ale on nie kiwnął nawet palcem – podniósł wzrok na Jakuba. – Wszystkie psy to jeden chuj – dodała jadownicę.
- Dziękuję – odparł Jakub głosem wypranym z emocji, opuszczając kuchnię.
- Zszedł ze sceny.

Wychodząc z mieszkania, przesuwając palcem po oszpeconym uchu, ukrytym pod włosami. Przedstawienie trwa. Pora na kolejną scenę.

Atmosfera na komisariacie przypominała Śpiechowi kulisy.

Dyżurnego zawsze traktował jak asystenta. Tym razem jednak za ladą pojawił się ktoś, kogo nie znał.

– Dzień dobry, komisarzu Gwiazdo – zawołał nieznany mężczyzna.

– Zastępujesz Andrzeja Podolskiego?

– Błąd – odparł.

– Nie znam cię. A pracuję na komendzie od ponad dziesięciu lat.

– Wiem, komisarzu Gwiazdo. Jesteś największym celebrytą w mundurze – zawahał się. – No, oprócz psa policyjnego, który w zeszłym tygodniu znalazł kilkaset kilogramów narkotyków w Nowym Porcie – dodał z błyskiem rozbawienia w oku.

Komisarz bez słowa minął dyżurkę.

– Azor.

– Słucham?

– Pies. Tak się wabi.

– Chyba cię popierdoliło – odparł Śpiech, mijając recepcję i wspinając się po schodach do swojego biura.

– Fiu, fiu. Gwiazda zna łacinę!

Śpiech chciał od razu zabrać się za czytanie akt. Zaburczało mu w brzuchu. Od rana nic nie jadł, a po spotkaniu z opiekunem Michała nie miał ochoty zatrzymywać się w mieście.

Zamął w pót kroku.

W biurze paliło się światło.

Podszedł ostrożnie do drzwi. Nic. Żadnego dźwięku. Może zapomniał zgasić światło? Nie, to nie mogło... Doszedł do niego zapach palonego drewna i ziół.

Uchylając drzwi, pokręcił głową.

– Jak tu wszedłeś? – zapytał swojego niespodziewanego gościa.

Starszy mężczyzna zajmował fotel i czytał gazetę.

– Dyżurny mnie wpuścił – odparł.

– Andrzej?

– Tak. Był tutaj. Wziął jakieś kartony.

Jakub podszedł do biurka. Gdy zadzwonił telefon, podniósł słuchawkę.

– Tak?

– Masz gościa – usłyszał. Rozpoznał głos nieznanego z dyżurki.

– Dzięki – odparł, rzucając słuchawkę.

– Kłopoty? – usłyszał.

– Nowy pracownik.

– Olgierd pracował w komendzie, odkąd twój wujek zbierał pierwsze szlify. Dopiero dziś wrócił na swoje stare stanowisko.

– Jest zastępcą komendanta?

Filip przytaknął, rozkładając gazetę.

– Czemu czytasz ten szmatawiec?

– Obrażasz mnie. Najlepsza gazeta, w jakiej pracowałem.

– Przecież odchodzisz na emeryturę.

Roześmieli się jak ze starego, znanego nielicznym dowcipu.

– Napijesz się czegoś? – zapytał Jakub, wstając.

– Tylko nie to! – powiedział, po chwili poważniejąc. – Jak idzie śledztwo?

Rozmawiali rano przez telefon o nowym śladzie w sprawie Pemy. Filip Modrzew nie znał innego życia poza dziennikarstwem. Poznali się, gdy Śpiech śledził trójmiejskich handlarzy ludźmi. Pomagali sobie nawzajem i dzięki tej współpracy oraz wieczorom spędzonym na opowieściach i piciu piwa zawiązali nić porozumienia i przyjaźni.

- Informacja od ojca ofiary to nawet nie ślad, tylko cień śladu.
- Jak to? – zainteresował się Filip.
- Jeden z możliwych świadków nie żyje. Drugi świadek to dzieśiesięcioletnia dziewczynka.

Jakubowi ponownie zaburczało w brzuchu.

- Masz – Filip rzucił mu kanapkę. – A teraz mów, czego się dowiedziateś.

Rozmowa trwała godzinę.

- Tak... A co sądzisz o tym mężczyźnie z plamą na głowie? Albo kim jest Karol Jedynak? To ten policjant z programu. Może on wie coś więcej.

- Co do plamiastego, to może być ktokolwiek. Policjanta nie kojarzę.

- Myślałem, że znasz każdego.

- A tak się składa, że znam kogoś, kto może ci pomóc. – Wskażał głową na słuchawkę.

- Nigdy w życiu!

- Dzwon. A ja pójdę do ubikacji.

- Dyżur. Olgierd przy telefonie. W czym mogę służyć?

- Komisarz Śpiech. Mam prośbę...

- A, Jasnie Gwiazda. Czego? Jestem zajęty.

- Przestań. Co ja ci zrobiłem? Nawet się nie znamy.

- No, dobra... Dziś grasz królową dramatu?

- Gdzie mogę znaleźć Karola Jedynaka?
- Nie pracuje tu taki.
- Powiedziano mi, że był członkiem programu mentorskiego dla dzieciaków z poprawczaka przy ulicy Polanki w Gdańsku.
- Tak było, ale przeszedł na wczesną emeryturę.
- Kiedy?
- Skąd mam wiedzieć?
- Podobno wiesz wszystko.
- Niech Modrzew nie rozsiewa plotek.
- Kiedy?
- Nie wiem. Mam mnóstwo pracy...
- Inaczej. Czemu odszedł?
- Plotki mnie nie interesują.
- Ale mnie tak.
- Jeden z jego podopiecznych powiesił się. Coś jeszcze?
- Podaj mi jego telefon i adres.

Gdy Jakub skończył notować, rozłączył się bez pożegnania. Wrócił Filip.

- Masz coś?
- Więcej niewiadomych.

– Znaleźliśmy go, jak kręcił się po parku Reagana – powiedział młody policjant, wskazując na celę, w której zamknięty był starszy mężczyzna. Błade światło z jarzeniówki odbijało się od łysiny z czerwonym znamieniem. Wędrował wzrokiem od Śpiecha do mundurowego.

- Miał coś przy sobie?
- Torbę.
- Co było w środku?
- Nie zaglądaliśmy.

- To zajrzyjcie. Dajcie do go pokoju przestuchnąć.
- Dobra, odpowiada rysopisowi z notatki. Stary będzie się pieklił, bo złapaliśmy go na gębę.
- Jakub popatrzył na niego bez słowa. Tamten zrozumiał w lot.
- Jasne. Torba jest w depozycie – powiedział, po czym odwrócił się do celi. – Hej, wstawaj. Idziemy.

– Imię i nazwisko? – zapytał Śpiech. Wyczuwał od mężczyzny coś, co przypominało tanie perfumy pokrywające zepsute mleko.

– Henryk Zamoyski... yyy, przez „y” zamiast „j”. Jak ten szlachcic, co...

Śpiech machnął ręką.

- Nieważne.
- Co robiłeś w parku?
- Spacerowałem. Nic nie zrobiłem.
- Widziałeś jakieś dzieci?
- Po dwudziestej? – zapytał, wytrzeszczając oczy w nalanej twarzy. Znamię na czole załśniło od potu.

Zdenerwował się. Czemu się denerwujesz, skoro nic nie zrobiłeś? – zastanawiał się Śpiech.

– Nie chodzi mi o dzisiejszy dzień. 28 sierpnia zaginęła dziewczynka, Hinduska. Odnaleziona została kilka dni później, w parku Reagana. Gdzie byłeś tamtego dnia? Co robiłeś?

Przetknął ślinę. Spojrzał w górę.

- Byłem w domu.
- Mam cię! – nie wytrzymał Śpiech.
- Ale!? Co? Ja nic...
- Zrobiłeś, zrobiłeś. Mamy świadka, który twierdzi, że widziano cię na placu zabaw, na którym po raz ostatni widziano dziewczynkę, córkę Hindusów. Pamiętasz ją chociaż? Miła na imię Pema.

- Kłamstwo! Chcę adwokata.
- Już tu jedzie. Zanim wejdzie przez te drzwi, przyznasz się do wszystkiego. Wiesz dlaczego?

Aresztowany pokiwał głową.

- Ponieważ jesteś zmęczony. Błądzeniem po nocach w poszukiwaniu ofiar lub pomocy. Ponieważ od siedzenia w domu odchodzisz od zmysłów. Ponieważ boisz się złapania! I oto jesteś, złapaliśmy cię. A teraz opowiadaj. Wiesz, że chcesz. Tacy jak ty chcą być złapani. Boicie się kary, ale najbardziej boicie się utraty kontroli. Rusz mózgownicą. Co cię czeka tam na zewnątrz? Tutaj się przyznasz do wszystkiego, a my załatwimy ci leczenie.

Podejrzany załkał. Płakał i smarkał. Jakuba to bawiło i drażniło. Chciał sięgnąć do twarzy mężczyzny i kilka razy potraktować z pięści. Ty chory skurwysynie, dodał w myślach.

- Jestem chory – powiedział tamten, jakby czytając w myślach komisarza. – Ale nikomu jeszcze nic nie zrobiłem. Jestem chory. Nie zabiłem nikogo. Ja nawet nie lubię dziewczynek... Ten ktoś pak mnie przegonił. Kiedy ta druga dziewczynka odeszła, został z Hinduską na placu. Krzyczał na mnie. Nic nie zrobiłem! – wybuchł, po czym rozplakał się jeszcze bardziej.

Komisarz Śpiech wstał i wyszedł z pokoju. Słowa aresztanta wstrząsnęły nim. W korytarzu minął wściekłego adwokata.

- Złożę skargę – powiedział.
- Spierdalaj – rzucił za nim.

Śpiech ujrzał zbliżającego się komendanta. Za nim szedł policjant z torbą aresztowanego.

- Henryk Zamoyski, pisane przez „y”, nie zabił Pemy – powiedział, gdy podeszli bliżej. Zdruzgotало go wypowiedzenie tych słów, pozbawiło naraz wszystkich sił. Czytał w tym chorym draniu jak w instrukcji składania długopisu. – Może kogoś skrzywdził, ale nie zabił Pemy.

– To nieważne – odparł komendant. – Powiedz mu – kiwnął na towarzyszącego mu policjanta.

Ten, w rękawiczkach, otworzył torbę.

– W środku był notatnik z adresami i zdjęciami dzieci – zrelekcjonował. – Część z nich jest przekreślona. Pema też tam jest.

Pokazał na stronę z adresem mieszkania Hindusów na Koto-brzeskiej. Zdjęcie pochodziło prawdopodobnie z dnia jej morderstwa. Miała na sobie odświętną sukienkę oraz czerwone trzewiki. Stała na drabinkach, na placu zabaw.

– Spiszcie zeznania – powiedział komendant. – Beknie za to, co zrobił – zawyrokował.

– Czyli to on? – zapytał młody policjant.

– Nie – odparł Śpiech.

Komendant dał znak głową, żeby mundurowy oddalił się pośpiesznie. Gdy tamten odszedł, wypalił w stronę Śpiecha:

– Jakub, nie odpierdalaj takich cyrków. Złapałeś go. Mówimy jednym głosem albo milczysz. Jasne?

– Ten facet – wskazał na pokój przestuchań – ma na sumieniu inne sprawy, ale morderstwo Pemy do nich nie należy.

Komendant wymierzył w niego palec.

– To twoja opinia. Moja jest taka, że pójdzie siedzieć i długi nie wyjdzie, jeśli wcale.

Odszedł i zostawił komisarza Śpiecha z jego ponurymi myślami. Jakub widział w takim zakończeniu śledztwa swoją kolejną porażkę. Zacisnął pięść. Co za bzdura, pomyślał. Temida faktycznie jest ślepa, a jej zemsta wybiórcza. Zawrzał w nim głos sprzeciwu.

– Po co to? Po co to wszystko?!

Rozejrzał się po korytarzu. Scena i widownia opustoszały. Nie miał dla kogo i z kim grać.

– Po co?

Gdy nie uzyskał odpowiedzi, uderzył pięścią w wiszącą na korytarzu fotografię jednego z dawnych komendantów. Szkło pękło,

a po ręce Śpiecha pociekła krew. Zakrwawione, pęknięte odbicie wyznało w tym momencie prawdę:

Znowu zawiódł.

– Gdzie oklaski? – zapytał pusty korytarz.

Deszcz brzmiał jak oklaski. Łzy ronione z widowni, spadające wprost na twarz i płaszcz komisarza Śpiecha. Wydawały się go przytłaczać. Szedł przygarbiony.

Od momentu wyjścia z komendy żył wizją źle zagranego spektaklu, w którym miał być królem, a okazał się błaznem. Przystanął przed starym, ceglany budynkiem – celem swojej wędrówki.

Bidul w Gdańsku przypominał zaś zapuszczone akwarium.

Jakub obserwował zza bramy widoczne w środku dzieci. Unośli się. Małe, śnięte ryby. Zatrute czadem z domowego ogniska. Ratowane sztucznym systemem podtrzymywania ciepła i opieki państwowego mechanizmu.

Śpiech zachował obojętny wyraz twarzy. Chciał ukryć niezręczność sytuacji, którą wymusił na sobie przez frustrację związaną ze wznowieniem śledztwa... zakończonych w ostateczności złapaniem nie tego mordercy.

A może jednak się mylił?

Zamiast kryminatu zagrał w farsie, w sztuce spisanej na wariackich papierach. Krytycy mieliby używanie.

I jeszcze te dzieci, pomyślał, rozglądając się po korytarzu. Dla kogoś, kto nie uważał dzieci za coś interesującego, rozmowa z jednym może stanowić problem. Kogo zagrać?

Fantomy w głowie walczyły o swobodę.

Prawą stronę twarzy przeszył nagły ból. Dotykając blizny, zaciśnął szczękę, szukając wytchnienia w wyobrażeniu zerwania skóry,

odstąpienia czaszki, żeby owiał ją chłód, a dokuczające mu ciśnienie i gorączka uciekły do atmosfery.

Chciał krzyknąć, lecz zamiast tego zacisnął zęby na języku. Przystanął na chwilę, żeby przyłożyć czoło do zimnej ściany. Wziął parę głębokich wdechów.

Pomogło. Ruszył do gabinetu dyrektorki.

W drodze do domu dziecka myślał o zdradzonych nadziejach. O czekających na niego scenach.

Nadal czuł ciężar deszczu.

Dyrektorka patrzyła przez szybę w drzwiach do pokoju zabaw na siedzącą przy małym stoliku nietypową parę. On, za duży na dziecięce krzesetko, usiadł na nim mimo to, lecz rozbawienia próżno było szukać w spojrzeniu, którym mierzył dziewczynkę. W czarnym płaszczu wyglądał jak gargulec. Wrażenie to spotęgował orli nos i jasna cera z czerwoną linią ust. W ciemnych długich włosach nie przypominał policjanta. Blizna przecinała jego twarz jak u jakiegoś zbira.

Dziewczynka wpatrywała się w niego uważnie. Nie przerażała jej ani nie onieśmiałą spojrzeniem jasnoniebieskich oczu. Drobną postać dziecka trzymała na kolanach pluszowego króliczka. Wyglądała jak zabawka trzymająca zabawkę.

Kobieta odeszła od drzwi. Miała inne, ważniejsze sprawy, a policjant dał jej jasno do zrozumienia, że nie chce, by mu przeszkadzano. Na wspomnienie o psychologu dziecięcym wyszczerzył się tylko drapieżnie. Podejrzewała nawet, że mężczyzna wykorzystuje odznakę, by... nawet nie chciała o tym myśleć. Gdy jednak skojarzyła nazwisko Śpiecha, nie miała więcej pytań. Jeden telefon na komendę wystarczył. Potwierdzili jego tożsamość. W duchu prze-

klinała swój brak stanowczości i energii, martwiąc się o dziewczynkę.

W pewien sposób był przystojny. Pamiętała jego filmy. Czasami wracała do nich tylko po to, żeby popatrzeć w piękne, zimne oczy. Dziś przez te oczy poczuła się nieswojo. Zastanawiała się nawet, czy nie jest chory.

I ta blizna.

– Brrr... – zadrżała. – Jestem na to za stara... – powiedziała cicho.

Rola. Staję się kimś innym. Wybieram charakter. Maską pojawia się z pamięci jak wspomnienie o nieżyjącym krewnym. Jakub przyjął postawę skromną, o delikatnym głosie. Znajomy nauczyciel. Ojciec dwojga dzieci. Kochany mąż. Uwielbia dzieci. Zna ich język i potrzeby. Śpiech zanurzył się w troskliwość. W poczuciu odpowiedzialności za dziecko. W głębi siebie wyczuwał pewną rękę, pociągającą za sznurki. Gdy coś zgrzytało, odsuwał to poza wzrok widowni.

Przyjrzał się Mai. Doszedł do paru wniosków, z których jeden był najważniejszy:

Dziewczynka unosi się na granicy niepokoju i ciekawości.

– Cześć, Maju. Mam na imię Jakub Śpiech. Jestem policjantem. Wiesz, kim jest policjant?

– Łapie złych ludzi.

– Tak.

– Czy zrobiłam coś złego?

– Nie. Ale potrzebuję twojej pomocy.

Dziewczynka kiwnęła głową.

– Przyszedłem, żeby zapytać cię o koleżankę, którą poznałaś kilka miesięcy temu. Bawiliście się razem na placu zabaw. Potem zaginęła. Miała piękne ciemne włosy i ciemną karnację. Pochodziła z Indii. Pamiętasz ją?

– Pema? – uśmiech rozjaśnił twarz dziewczynki. Coś drga we wnętrzu Jakuba. Dusi to zdecydowanie.

– Tak.

– Co u niej?

– Bawiliście się razem. Potem zniknęła.

Maja zwiesiła głowę.

– W co się bawiliście?

– W statek. W dom. Takie tam.

– Był tam ktoś dorosły?

– Jeden pan. Ale nie był tatą.

– Wiesz, jak się nazywa?

– Nie.

– Jak wyglądał? – Wyciągnął notatnik.

Zadał jej serię precyzyjnych pytań. Notował odpowiedzi. Pokazał szkic rysopisu Henryka Zamoyskiego, który zabrał ze sobą. Może pomylił się w swojej ocenie. Może był winny. Świadczył o tym rysopis. Maja nie stanowi najlepszego świadka, ale...

– Czy pamiętasz coś jeszcze?

– On chciał coś powiedzieć, ale Michał go wystraszył.

– Pamiętasz, co mówił?

– Nie...

– A Michał?

Pokręciła głowę.

– Dawno mnie nie odwiedził.

Jakuba zamurowało. Nikt jej nie powiedział o śmierci brata.

– Czy mama cię nie odwiedza?

– Nie. Zresztą... Nie chcę, żeby tu przyszła. Chce mnie zabrać, ale jest mi tu dobrze. Pani dyrektor obiecała, że znajdzie mi nowy dom.

– Boisz się?

– Trochę.

– Nie powinnaś. Wszystko będzie dobrze.

Śpiech zamilkł. Chciał dodać coś jeszcze, ale nie wiedział co dokładnie. Dzieci nie myślą jak dorośli. Argumenty nie mają tak dużego znaczenia. Nie chciał jej też okłamać. Dorośli dość już ją skrzywdzili.

– Słuchaj...

– Czy z Michałem wszystko w porządku? – zapytała bez ogródek.

– Michał nie żyje.

Śpiech wiedział, że popełnił błąd. Twarz Mai zmieniła się. Poczut, jak coś się w niej zamknęło. Na głucho.

– Prz... prze... przepraszam.

Rozpłakała się. Jakub wstał. Uklęknął koło niej i przytulił. Pogataskał ją po głowie. Płakała długo, wzywając brata. Ten jednak nie zjawi się już nigdy.

Gdy się uspokoiła, odprowadził ją do pokoju dyrektorki.

– Dziękuję – powiedział i wyszedł.

Idąc do drzwi, pocierał bliznę na policzku. Mimowolnie sprawdził, czy karykatura ucha jest ukryta pod włosami.

– Proszę pana?

Jakub odwrócił się z pytającym spojrzeniem.

– Tak?

Stała w otwartych drzwiach gabinetu. Chciała o coś zapytać.

Śpiech nie wiedział, co powiedzieć. Rola już się skończyła. Teraz czuł się pusty jak zawsze po zejściu ze sceny. Spojrzał na buty, które nosiła Maja. Niemożliwe, pomyślał.

– Czy mogę mieć ostatnie pytanie?

- Tak.
- Skąd masz takie ładne buty?
- Od Michała. Woląabym zielone, ale mówił, że były tylko czerwone. Czy z Pemą wszystko w porządku?
- Teraz już tak – odpowiada w końcu i wie, że tak naprawdę jeszcze sporo pracy przed nim.

– Dziękuję za spotkanie – powiedział Śpiech, wchodząc do domu jednorodzinnego Karola Jedyńaka. Mężczyzna, który mu otworzył, przecesał dłonią czarne kręcone włosy, jakby zastanawiając się nad czymś.

– Przez telefon był pan dość enigmatyczny. O co chodzi?

Wydawał się zaniepokojony.

– Jesteś ojcem Michała Ostaszewskiego.

– Ja... nie wiem... Nie mamy dzieci – mówiąc to, uciekał wzrokiem.

– Przyszedł tutaj, prawda? Kiedy pokłócił się z matką, wyrzuciła go z domu. Powiedziała, kim jest jego ojciec.

Karol westchnął.

– Proszę usiąść – wskazał na fotel. Gdy sam usiadł, mówił dalej. – Kiedy Michał trafił do poprawczaka, chciałem mu pomóc, ale nie chciałem się przyznać. Kiedy spotkałem jego matkę w poczekalni poprawczaka, zrobiła mi awanturę. Powiedziała mu.

– Co zrobisz, gdy tu przyszedł?

– Pytał mnie, czy to prawda. Płakał.

– Wyrzekłeś się go.

– Moja żona... ona pochodzi z dobrej rodziny...

– Wyrzuciłeś go.

– Tak – zatkanął, chowając twarz w dłoniach. Śpiech zauważył, że pokrywały je blizny po oparzeniach. – Próbowałem go zatrzymać,

ale on... Miał problemy. Czasami nie panował nad sobą. Odpro-
wadziłem go na przystanek, ale chciał pospacerować. Wtedy po-
owiedział mi, co zrobił z tą dziewczynką. Jak chciał jej zabrać buty,
żeby dać siostrze. Mała wrzeszczała. Uderzył ją czymś i schował
w krzakach. Później przeniósł do parku Reagana. Boże, tak mi
przykro...

- Kłamiesz.
- Słucham?
- Masz poparzone dłonie. Od wciągania liny na drzewo? Wyr-
wał się? Znajdziemy odciski?

Karol Jedynek zeszytniał. Popatrzył na swoje ręce. Komisarz
wiedział, że trafił w czuły punkt.

- Chciał umrzeć. Po tym, co powiedział. Co zrobił tej matej. Był
na krawędzi... Był załamany. Miał ze sobą linę. Ja... mu pomogłem.
- Wstawaj.
- Ale!
- Wstawaj! Idziesz ze mną.

Jakub spotkał się z Radzem w mieście. Powiedział mu prawdę.
W odpowiedzi usłyszał:

- Celem doczesnego życia jest granie w dramacie i ciągła na-
uka. Sprawy dzieją się pod kontrolą bogów. Ku ich przyjemności.
Lekcje bywają twarde. Mają nieść naukę. Ale jaką naukę ma nieść
utrata dziecka? Utrata niewinności?

Śpiech pomyślał, że chodzi o cenę szczęścia. O ryzyku roli, któ-
rą przyjmujemy. Blizna zapiekła go. Poczuł się znużony. Milczał,
kiedy położył rękę na ramieniu mężczyzny. Patrząc mu w oczy,
powiedział, że jest małą dziewczynką, która również tęskni za
Pemą. Podał kartkę z adresem domu dziecka oraz imię: Maja.

- To ona mi pomogła w ustaleniu prawdy.

Po czym przeprosił Radża.

Odszedł do kolejnej sprawy. By grać w dramatach innych ludzi.

O AUTORZE

Grzegorz Reiwer (ur. 1987) – urodzony w Golubiu-Dobrzyniu. Student prawa na WPiA UG, broker ubezpieczeniowy, pasjonat czytania szukający spełnienia w pisarstwie, swoim jedynym nałogu. Nie wierzy w talent bez rzemiosła oraz rzemiosło bez talentu, szuka nowoczesności i oryginalności w literaturze użytkowej i rozrywkowej, a także wierzy, że literatura przedłuża życie i wyzwala z samotności. Właściciel dwóch chomików, paru regatów z książkami, sterty płyt z grami RPG na PC i kilku kaset magnetofonowych.

Magdalena Siemieńska

Sploty

Interwencja nr 7/2010

– Za dużo, za dużo tego wszystkiego. To musi się wreszcie skończyć, muszę znaleźć sposób, żeby to zatrzymać, zapobiec – mamrotał profesor Pacuszko sam do siebie, nerwowo poprawiając dłonią opadające mu na czoło tłustawe kosmyki siwej grzywki. Siedział w poczekalni komisariatu przy Malczewskiego, w jednej ręce zginał szary, wystużony już nieco kaszkiet, a w drugiej zieloną papierową teczkę. Rozglądał się po pomieszczeniu, co chwilę pokastując.

– Przepraszam najmocniej, czy mogę już wejść?

– Pan poczeka, dyżurny zawoła – odburknęła pucutowata sekretarka i wróciła do przeglądania kolorowej gazetki. Na biurku leżał nadgryziony pączek.

– Chryste Panie, dokąd zmierza ludzkość – wycedził cicho Pacuszko. Dziewczyna pracowała tu chyba od niedawna, ale z jej pełnego politowania spojrzenia wywnioskował, że musiała go już kojarzyć. Był 10 marca 2010 roku, a Edward Pacuszko, były redaktor miesięcznika literackiego, emerytowany nauczyciel polskiego i człowiek, który ponad takie błyszczące pisemka przedkła-

dał prawdziwą literaturę, odwiedzał komisariat po raz drugi w tym miesiącu, a siódmy w bieżącym roku kalendarzowym.

Dzisiaj dyżur miał komisarz Skóra. Pacuszko darzył go największym zaufaniem. Miał tęb na karku i wydawał się najlepiej rozumieć powagę problemu, z którym przychodził profesor. Pacuszko sądził, że jeśli tylko zdoda on zdobyć środki z ministerstwa, cała sprawa nabierze rozpędu i uda się zapobiec przynajmniej części przyszłych tragedii. No, chociaż utamkowi.

– Zapraszam – usłyszał zza drzwi głos Skóry.

– Pan wejdzie – dziewczyna zachęciła profesora, a ten podrepotał powoli do gabinetu, odwracając się po drodze kilka razy. Upewniał się, czy niczego nie zostawił na niewygodnym plastikowym krześle, na którym spędził ostatnie czterdzieści minut.

– Panie Pacuszko, na litość boską. Widzieliśmy się w zeszłym tygodniu – przywitał go westchnieniem Skóra.

– Dziękuję, panie komisarzu, że znalazł pan dla mnie czas. Doskonale wiem, ile na pańskich barkach spoczywa problemów, ale musiałem przyjść. Naprawdę musiałem. Po pierwsze, chciałem się upewnić, że dostali państwo faks z listą dat i zdarzeń – tu zawiesił głos i czekał na reakcję.

Policjant milczał i nieobecny wzrokiem spoglądał za okno. Pacuszko, niezrażony, kontynuował:

– Mam nadzieję, że dotarł. Jestem gotów odpowiedzieć na wszelkie pytania, jeśli coś wciąż jest niejasne. Zastanawiałem się, czy może regularne spotkania policjantów ze mną, krótkie wykłady, nie mogłyby wam na dłuższą metę pomóc. Nie chcę wyjść na zarozumialca, ale mam wrażenie, że akurat w dziedzinie literatury mógłbym się do czegoś przydać. Poza tym ostatnio pan komisarz wspominał, że porozmawia z nowym szefem i da znać, jak się sprawy mają.

– Tak powiedziałem? – zdziwił się. – A, tak, tak. Przedstawiłem szefowi pana, hm, dokumentację – Skóra wskazał na zieloną

teczkę, którą Pacuszko przed chwilą położył na biurku. – Szef był... Jak by to ująć...? Był pod dużym wrażeniem zebranych przez pana materiałów.

Pacuszko rozpromienił się:

– To dopiero część większego obrazu. Tak jak pisałem w przesłanym w tym tygodniu raporcie, ogrom powiązań i korelacji jest trudny do oszacowania. Ja sam staram się robić, co w mojej mocy, żeby przewidzieć, co może się wydarzyć, i zrozumieć te przypadki, które już miały miejsce. Coraz lepiej idzie mi wykrywanie nawet najdrobniejszych splotów zdarzeń. Ale co może jeden dziadek polonista? Ilość pozycji do przeanalizowania jest kolosalna. Potrzebuję zespołu. Jeśli udałoby się stworzyć odpowiednią jednostkę, chętnie dalej będę wspierał państwa swoją wiedzą o ile, rzecz jasna, zdrowie mi pozwoli...

– Panie Pacuszko – przerwał mu policjant – tak jak mówiłem, szef był pod wrażeniem, natomiast niestety ze względów finansowych, jak i z braku klarownych dowodów nie jesteśmy w stanie zajmować się dalej tą sprawą. Ciągnie się to już zdecydowanie za długo i mówiąc szczerze, myślę, że najwyższy czas to skończyć. Dzwoniła do nas też pana siostrzenica. Martwi się. Podobno przestał pan przychodzić na rodzinne spotkania. Rozmawiała z szefem. Szef kazał przekazać też to...

Skóra nachylił się w kierunku profesora Pacuszki i wręczył mu matą wizytówkę. Staruszek wyciągnął z kieszeni marynarki okulary i przeczytał:

„VITA-MENT. Poradnia zdrowia psychicznego. Wizyty na NFZ i prywatnie”.

Spojrzał na policjanta i zmarszczył brwi. Skóra był ostatnią nadzieją. Wiedział, że reszta ekipy podchodzi do niego z rezerwą, ale na niego mógł wciąż liczyć. Jeszcze tydzień temu w rozmowie policjant dawał do zrozumienia, że finansowanie na pewno się

znajdzie, a pomysł zaangażowania w sprawę sieci bibliotek publicznych uznał za interesujący.

A teraz tak po prostu wręcza mu ten kartonik?!

Pacuszko zdjął okulary, włożył je uważnie do kieszonki,abrał z biurka zieloną teczkę, założył na głowę kaszkiet i ukłonił się uprzejmie.

– Dziękuję panu za poświęcony mi czas – powiedział cicho.

Czuł, że każdy krok sprawia mu trudność. Jakby ktoś przyczepił mu do nogi wielki kamień. Kiedy wychodził z komisariatu, on, gentleman starej daty, tak przywiązany do dobrych manier, nie pożegnał się nawet z korpulentną sekretarką. Spojrzał na nią tylko spode łba. „Może to jej przeszkadzały moje zgłoszenia? Niech się tym pączkiem udławi”. Nie poznawał swoich myśli. Coś w nim pękło. Wyszedł z budynku komendy jakby o kilka lat starszy, o parę centymetrów mniejszy.

– A więc to by było na tyle – pomyślał.

Dowód pierwszy

Pierwszy znak, który odczytał Edward Pacuszko, pojawił się w maju 1996 roku. Jego siostra Wandzia obchodziła wtedy urodziny i tuż po długim weekendzie majowym zaprosiła najbliższych na uroczysty obiad. Pogoda nie była najtęskawsza, głównym tematem przy stole było narzekanie na opady deszczu i brak słońca. Wandzia była o sześć lat starsza od Edwarda i fakt, że świętowała swoje sześćdziesiąte piąte urodziny, wprawiał go w osłupienie. Głównie dlatego, że oznaczało to, że i on nieuchronnie zbliża się do szóstej dekady swojego życia. Córka Wandzi wyszła po godzinie spotkać się ze znajomymi, bo urodziny matki nie były dla niej szczególną atrakcją. W dużym pokoju, którego podłoga wyłożona była tureckim dywanem, a jedną ścianę zdobiła ciemnobrązowa meblościanka, zostali więc oprócz niego: Wandzia, mąż Wandzi

Wojtek i przyjaciółka rodziny Zosia. Trochę się pośmiali, trochę pomilczeli. Jak co roku pochwalili popisowy sernik z rodzynkami. O siedemnastej, po obiedzie, włączyli Teleexpress. Synoptycy ostrzegali, że cały tegoroczny maj będzie najprawdopodobniej deszczowy, politycy w sejmowych ławach spierali się o nowelizację jakiejś ustawy, a właściciele kwater nad morzem narzekali na słaby zarobek. Edward zwrócił uwagę na kolejny materiał: reporter przedstawiał horror, jaki zastali w domu rodzinnym państwo Lisikowie z Poznania. W salonie znaleźli martwą córkę. W łazience natomiast powiesił się jej chłopak. Okazało się, że dziewczyna zmarła w wyniku przedawkowania środków nasennych. „Chłopak najprawdopodobniej odnalazł ją i z rozpaczą powiesił się w łazience – spekulował dziennikarz – na ten moment policja nie wyklucza jeszcze udziału osób trzecich”. Ojciec siedemnastolatki był pewien, że to rok starszy chłopak namówił jego córkę do samobójstwa lub wręcz sam nafaszerował ją prochami.

„Ona sama nigdy by tego nie zrobiła. To właśnie dlatego nie pozwalałem im się spotykać, miał na nią zły wpływ. Człowiek z takiej rodziny to zawsze kłopoty” – tłumaczył mężczyzna. Reporter dodał, że ojcowie nastolatków znali się. Byli szefami konkurencyjnych firm spedycyjnych. Według anonimowych pracowników, obaj robili wszystko, by się nawzajem pogrążyć. Pogrzeb nastolatków miał odbyć się za kilka dni, mieli zostać pochowani na cmentarzach na dwóch końcach miasta. Chwilę później Hirek Wrona przedstawiał pierwsze miejsca brytyjskich list przebojów. Pacuszko i reszta gości wnieśli jeszcze kilka toastów i rozeszli się do domu.

Kiedy Pacuszko wracał do siebie, na przystanku tramwajowym zauważył plakat reklamujący sztukę „Sen nocy letniej” Szekspira. Jako emerytowany polonista lubił przypominać sobie daty roczne urodzin i śmierci znanych pisarzy, robił to już na studiach. Czasem z kolegami zakładali się o piwo, wygrywał ten, który był bliższy prawdy. Tym razem nie mógł sobie przypomnieć. 1615? 1616?

Kiedy dojechał do domu, pierwsze, co zrobił, to w małym pokoju otworzył na literze S drugi tom podręcznej encyklopedii PWN. Szekspir, William, urodzony w 1564, zmarł 3 maja 1616 roku.

W jego głowie coś kliknęło.

Sięgnął po gazetę z poprzedniego dnia i zaczął szukać informacji o sprawie z Teleexpressu. Tak! Śmierć dwójki zakochanych miała miejsce dokładnie 3 maja, w 380. rocznicę śmierci Szekspira. Zakazana miłość i podwójne samobójstwo. Nazajutrz jeden z dziennikarzy gazety opisywał dwójkę nastolatków dokładnie. Dziewczyna miała na imię Julia, a chłopak po szkole dorabiał sobie jako kierowca w Pizzerii Verona.

– Cóż za niesamowity zbieg okoliczności – pomyślał.

O odkryciu opowiedział przez telefon Wandzi, ale ta stwierdziła, że robi sobie żarty z ludzkiej tragedii. Pacuszko był jednak z siebie dumny. Czuł, że nawet jeśli to tylko interesujący splot wydarzeń, to udało mu się dostrzec jakiś głębszy porządek świata, w którym przeszłość niezauważenie splata się z teraźniejszością, a życie z literaturą.

Przez kolejnych kilka lat nie zdarzyło się nic, co mogłoby wzbudzić jego czujność. Pacuszko żył spokojnie, starał się przywiązywać wagę do swoich rytuałów. Co sobotę chadzał na obiady do siostry Wandzi, która niestety podupadała na zdrowiu coraz bardziej, więc częściej niż kiedyś posiłki przygotowywała jej córka Agatka. W poniedziałki Pacuszko spotykał się na brydża z kolegami ze szkoły. Raz w miesiącu odwiedzał teatr, a w godzinach popołudniowych udzielał korepetycji z polskiego uczniom klas maturalnych.

Ot, proza życia.

I wtedy pojawił się znak drugi.

Dowód drugi

O tym zdarzeniu profesor Pacuszko dowiedział się z pewnym opóźnieniem. Był rok 2000, po świętach Bożego Narodzenia wyjechał na kilka dni w góry odwiedzić kolegę z czasów szkolnych. Kiedyś obiecali sobie, że razem powitają nowe millennium. Wypad był całkiem udany, choć w pewnym wieku kilkugodzinne podróże pociągami bywają uciążliwe. Dopiero po powrocie, kiedy przeglądając gazety z całego tygodnia, które odłożył dla niego znajomy kioskarsz, natknął się na ten artykuł:

„Dramat na Wybrzeżu. Zbrodnia na tle rasistowskim czy porachunki gangsterskie?

Wczoraj w godzinach popołudniowych na plaży w Stogach znaleziono ciało 32-letniego Ahmeda Kassema. Egipcjanin od dwóch lat mieszkał w Polsce i prowadził przy nadmorskim deptaku bar szybkiej obsługi. Mężczyzna został śmiertelnie postrzelony z pistoletu. Narzędzia zbrodni na razie nie odnaleziono. Policja nie wyklucza, że mogło chodzić o haracz, którego płacenia odmówił właściciel lokalu. Przesłuchano świadków, którzy kilka godzin wcześniej widzieli przepychankę między grupą Polaków a Egipcjaninem i jego pracownikami. Polacy zostali zatrzymani w charakterze podejrzanых”.

Anonimowy informator powiedział gazecie, że jeden z zatrzymanych stracił niedawno matkę i był przez to w nie najlepszym stanie psychicznym. „Trochę mu odbiło, to fakt, ale nie sędzę, że do tego stopnia” – komentował. Kobieta, która spacerowała po plaży z psem i usłyszała strzały („Myślałam, że to dzieci bawią się petardami”), a chwilę później znalazła ciało ofiary oraz wezwała policję, zaznaczyła, że był to makabryczny widok: „To było takie piękne popołudnie, zimno, mroźnie, odbijające się w falach stoń-

ce wręcz oślepiało. I nagle, na białym śniegu, plama czerwonej krwi. Jakby ktoś zburzył równowagę dnia, niezwykłą ciszę plaży. Coś okropnego, taka tragedia. To był dla mnie szok” – cytował słowa gdańszczanki dziennikarz.

„Równowaga dnia? Niezwykła cisza plaży?” Ludzie tak nie mówią! – pomyślał Pacuszko, po czym jeszcze raz przeleciał artykuł wzrokiem.

Śłońce, śmierć matki, zabójstwo Araba – jakby gdzieś już to słyszał. Odłożył gazetę i poszedł zrobić kawę przed sprawdzaniem maturalnych wypracowań. Bez odpowiedniej dawki kofeiny byłoby to niewykonalne. Zdawało mu się, że z każdym rokiem młodzież pisała coraz bardziej sztampowo, posiłkując się często 1:1 zdaniami znalezionymi w serii szkolnych „bryków”. Jeden z zadanych uczniom przez Pacuszkę tematów dotyczył „Lalki”, drugi „Dżumy”. Profesor otworzył jedną z książeczek-streszczeń, których zestaw kupił właśnie po to – żeby sprawdzać, czy ktoś nie inspirował się nimi zbyt dosłownie. Przy czwartym z rzędu wypracowaniu, w którym ktoś bez zrozumienia pisał o „widocznym gołym okiem” egzystencjalnym przestaniu dzieła Alberta Camusa, zaczął przysypiać.

Kartki wyleciały mu z ręki, chyba nawet zaczęło mu się coś śnić, kiedy nagle z drzemki wyrwał go metaliczny huk. Pacuszko zerwał się na równe nogi i wyrzwał za okno. Dwa samochody zderzyły się na głównej ulicy. Nikomu nic się chyba nie stało, ale czerwony peugeot nie wyglądał najlepiej. Kiedyś marzył o posiadaniu własnego samochodu, z czasem stwierdził, że więcej z tego zachodu niż pożytku. Przypomniało mu się nagle, bo takie myśli często pojawiały się znienacka w jego głowie, że Albert Camus zginął przecież w wypadku samochodowym. Ledwie dwa lata po otrzymaniu literackiej Nagrody Nobla wracał samochodem do Paryża, jego samochód uderzył w drzewo i autor „Dżumy” zginął na miejscu. Urodzony w 1913, zginął w 1960 – Pacuszko zajął do

bryka sprawdzić, czy pamięć go nie oszukała. Zaczął przypominać sobie inne książki Francuza: „Upadek”, „Pierwszego człowieka”, którego niedokończony maszynopis wiózł tego feralnego dnia w walizce w drodze z południa na północ, no i „Obcy”. „Obcy”! Słońce, matka, Arab.

4 stycznia 1960 – 4 stycznia 2000. Dokładnie czterdzieści lat później.

Kiedy rozmawiał wieczorem przez telefon z siostrą, wspominał jej o tej zbieżności dat.

– Ty i te twoje teorie, Edek. Kiedyś już żeś coś takiego wykombinował, z dwójki nastolatków-samobójców zrobisz Romea i Julię. Dałbyś ty ludziom żyć i umierać w spokoju, a nie wciskasz wszędzie te swoje literackie fanaberie.

Pacuszko roześmiał się. Zdążył już zupełnie zapomnieć o sprawie dwójki młodych sprzed pięciu lat. Obiecał niebawem odwiedzić Wandzię, która miała coraz większe kłopoty z wychodzeniem z domu, i skończył rozmowę.

Musiał przyznać siostrze rację – coś było na rzeczy. Co prawda Wandzia widziała w tym jedynie odchylt sfiksowanego profesorka, ale Pacuszko czuł satysfakcję, że to właśnie jemu świat podkłada pod nos takie niesamowite literackie opowieści.

Od tamtego czasu Edward Pacuszko na wszelki wypadek częściej wracał do zabawy z czasów studenckich i starał się przypominać sobie daty urodzin, a szczególnie daty śmierci największych gwiazd literatury. Zapisywał je skrzętnie w swoim kalendarzu. Tam, gdzie inni wpisywali urodziny bliskich, profesor notował nazwiska literatów z zakreślonym obok małym krzyżykiem. Po kilku miesiącach przynajmniej trzy czwarte ze stron nosiły nazwiska mniej lub

bardziej znanych pisarzy. Przy niektórych datach musiał doklejać dodatkowe karteczki, żeby zmieścić wszystkich autorów. Nieliczne pozostawały puste.

Stał się też uważniejszym obserwatorem bieżących wydarzeń. Codziennie kupował kilka dzienników i oglądał przynajmniej dwa programy informacyjne. Jego uwagę przykuwały głównie sprawy powiązane ze śmiercią, często z wątkiem kryminalnym. Im częściej zaglądał do swojego kalendarza, tym łatwiej dostrzegał kolejne odbicia literackich scen, które dziwnym trafem powtarzały się w odmienionych konfiguracjach najczęściej w równe rocznice śmierci swoich autorów. Część z nich zapisywał na karteluskach.

Wśród licznych zebranych w kolejnych latach notatek pojawiły się na przykład następujące (każda z nich na oddzielnym skrawku papieru):

- W kilku miastach w Polsce przypadki samobójstw młodych mężczyzn – wyraźnie więcej wzmianek niż w inne dni tego samego miesiąca (22 marca 2002 roku – 170. rocznica śmierci Goethego).
- Podkarpackie: Brutalny mord starszej kobiety, która wytudziła pieniądze od 23-letniego sklepikarza. Mężczyzna do zabójstwa użył siekiry. Siostra kobiety, która wróciła do domu, kiedy mężczyzna jeszcze tam był, również została przez niego śmiertelnie raniona (9 lutego 2001 – 120 lat po śmierci Fiodora Dostojewskiego).
- „Tragicznie w skutkach zakończyła się zabawa weselna na jednej z wsi w województwie łódzkim. Jeden z weselników w ramach zakładu, będąc w stanie upojenia alkoholowego, amputował sobie nogę i wykrwawił się na śmierć”. Obok wycinka z gazety, odręczna notatka Pacuszki: Dokładne miejsce zdarzenia: Lipce Reymontowskie (5 grudnia 2002).

- 10 lipca 2004, TVN24: Dzielny owczarek niemiecki Jack w ostatniej chwili ratuje 5-letnią dziewczynkę przed nadjeżdżającym TIR-em (35. rocznica śmierci Romana Pisarskiego, autora „Psa, który jeździł koleją”).

W latach 2000–2004 profesor Pacuszko traktował całą sprawę jako rodzaj intelektualnej zabawy, treningu pamięci, gry w skojarzenia. Dwie ostatnie wymienione notatki wskazywać mogą raczej na lekki stosunek do tematu.

Dopiero jesienią 2005 roku zrozumiał powagę swojego odkrycia.

Zwrot

Był wieczór 20 listopada 2005 roku. To wtedy Pacuszko wracał z ośrodka opiekuńczego na Bielanach, w którym od kilku miesięcy mieszkała Wandzia. Jej dzieci nie były w stanie się nią zająć, a mąż zmarł rok wcześniej na zawał. Przykro mu było patrzeć na schorowaną, zagubioną i samotną siostrę, która przecież jeszcze niedawno potrafiła mu dowcipnie dogryźć w kilku słowach.

Drogę z i do ośrodka pokonywał metrem, a każdą minutę podróży poświęcał na czytanie. W kieszeni kurtki nosił kolorowe karteczki. Zaznaczał nimi fragmenty, w których któryś z bohaterów umierał. Wymyślił nawet specjalny kod: różowa karteczka – morderstwo w afekcie; żółta – samobójstwo; czerwona – śmierć z dużą ilością krwi; zielona – nieszczęśliwy zbieg okoliczności. Używał w sumie około trzydziestu różnych kolorów, a i tak co kilka miesięcy okazywało się, że któryś z autorów potrafił go czymś zaskoczyć. Wieczorami przeglądał swoje prywatne archiwum prasowe. Sprawdzał, czy sytuacje opisane w książce danego pisarza nie znajdują czasem odzwierciedlenia w realnych zdarzeniach mających miejsce w rocznice jego śmierci. Kolejne przypadki notował już nie na luźnych karteczkach, ale w specjalnym zeszycie.

Tym razem jednak zapomniał wziąć ze sobą książki. Rozglądał się bez celu po peronie na stacji metra. Ludzie wsiadali i wysiadali do pociągu jadącego w przeciwnym kierunku. W pewnym momencie, na ławeczce kilka metrów dalej, dostrzegł młodą dziewczynę. Czekająca zamyślona na pociąg w stronę Kabat. Kiedy z głośników wybrzmiał komunikat o zbliżającym się metrze, zrobiła kilka szybkich kroków w stronę torów, podbiegła bardzo blisko, przebiegła już linię wyznaczającą bezpieczną odległość, ale w ostatniej chwili zatrzymała się. Pociąg przyjechał. Pacuszko już miał wsiadać do wagonu, ale nagle z kieszeni wypadł mu kajecik, który zawsze trzymał pod ręką, ten z rocznicami śmierci pisarzy przypadającymi na dany tydzień. Na peron rozsypało się też kilka długopisów i kolorowe karteczki, jego ulubione narzędzie pracy. Zanim udało mu się wszystko wybierać, drzwi pociągu zamknęły się. Spojrzał w lewo – dziewczyna wciąż stała na peronie, a teraz na jej twarzy malowała się jakaś mieszanka przeraźliwego smutku i desperacji. „Co zamierza zrobić?” – pomyślał. Na ławeczce za sobą zostawiła czerwoną torbę z Biedronki. Pacuszko otworzył notesik i przerzucał karteczki jedna po drugiej. Już miał chować wszystko do kieszeni, słysząc zbliżające się kolejne metro, kiedy przy dzisiejszej dacie, przy 20 listopada, zobaczył nazwisko Tot-stoja.

Odwrócił się w lewo. Gdzie jest dziewczyna? Dostrzegł, że próbuje skoczyć. W ostatniej chwili złapał ją za rękę, a ona spojrzała na niego zaskoczona.

– Ja... Ja chciałam... – i zupełnie się rozkleiła.

Usiedli na ławce, opowiedziała mu historię swojego życia, najważniejsze wydarzenia, choć okraszone innymi realiami, nie były dla Pacuszki specjalnym zaskoczeniem: zdradzała męża, jej znajomi i rodzina nie mogli jej tego wybaczyć, ostatnio przesadzała z lekami na sen. Kobieta dziękowała profesorowi i powiedziała, że właściwie nie wie, co w nią wstąpiło.

- Jak ma pani na imię? – zapytał na koniec.
- Ania – odpowiedziała.

Tamtego dnia Pacuszko zrozumiał, że spoczywa na nim odpowiedzialność. Udało mu się uratować kobietę, która z nieznanых mu jeszcze przyczyn miała podzielić los swojej powieściowej imienniczki. Wiedział, że nie może być bierny wobec tego przedziwnego literackiego fatum. Dotarło do niego, że pewne rzeczy może zatrzymać. Musi jedynie uważnie analizować tropy.

Miesiąc po tamtym zdarzeniu zmarła Wandzia. To chyba sprawiło, że Pacuszko z jeszcze większym oddaniem poświęcił się nowej misji. Najpierw dokładnie uporządkował zebrane dotychczas materiały. Każdemu wydarzeniu, w którym odnalazł ślad literatury, nadał oddzielny numer, dodał przypisy z dokładnym oznaczeniem, do jakich fragmentów w których wydaniach powieści należy się odnieść, aby zrozumieć daną zależność. Na koniec dołączył do każdego krótką biografię pisarza z wytyuszczoną datą śmierci.

W miarę możliwości zamieszczał też dodatkowe dane potwierdzające na przykład, że przestępstwo konkretnego typu na przestrzeni lat popełniane było z większą częstotliwością w te, a nie inne dni.

Regularnie odwiedzał komisariat przy Malczewskiego. Zgłaszał się też do prywatnych detektywów, którzy odmawiali jednak podjęcia za darmo tak szeroko zakrojonego śledztwa, dotyczącego w dodatku spraw, które dopiero miały się wydarzyć.

Coraz mniej spał w nocy, w głowie powtarzał daty. Nie przestawał myśleć o książkach, które przeczytał, i tych, które przeczytać jeszcze powinien. W swoim dwupokojowym mieszkaniu

przestrzeń użytkową ograniczył do minimum: posiłki jadł w małej kuchni, wszystkie swoje rzeczy przeniósł do małego pokoju, a salon zamienił w swoją główną bazę. To tam trzymał materiały, których przybywało z roku na rok. Stosy książek z zakładkami i pozaznaczanymi fragmentami, kartki papieru kancelaryjnego, na których rozrysowywał najbardziej spektakularne przypadki, starając się wybrać elementy, które najlepiej przemówią do policji. Z braku czasu zaczął też opuszczać rodzinne obiady, których organizację po śmierci Wandzi przejęła jej córka.

Z każdym miesiącem i dniem Pacuszka wpadał w coraz większy obłąd. Coraz mniej osób brało jego teorie na poważnie, a on wiedział, że sam nie da rady. Czuł się za malutki wobec całego świata, aby móc spróbować zapobiec kolejnym zbliżającym się tragediom. W pewnym momencie, nie licząc wizyt na komendzie, praktycznie przestał wychodzić z domu. Opracowywanie kolejnych raportów było na tyle czasochłonne i wyczerpujące, że na nic więcej nie starczało mu sił.

Miał nadzieję, że policja weźmie sprawy w swoje ręce i stworzy specjalny zespół, który mógłby zapobiec przynajmniej części z okropności, które miały się jeszcze wydarzyć. Wiedział, że aby tak się stało, musi dać z siebie wszystko, wyjaśnić wszystko dokładnie, nie pominąć żadnego istotnego szczegółu.

Dowód ostatni

Kiedy 10 marca profesor Pacuszko, skurczony i zrezygnowany, jakby nagle opuściły go resztki sił vitalnych, wychodził z komissariatu, postanowił, że musi się uwolnić. Dłużej tak nie pociągnie. Daty śmierci pisarzy mieszały mu się w głowie ze scenami z kronik kryminalnych, które obsesyjnie przeglądał. Kiedy tylko nie spał,

jego mózg pracował na pełnych obrotach, a i we śnie podpowiadał mu kolejne powiązania.

– Basta! Kończę z tym! – postanowił.

Przyjdzie do domu i spali wszystkie notatki. Wyrzuci encyklopedie, zacznie uczyć się czegoś nowego, znajdzie sobie hobby, coś, co pozwoli mu zapomnieć. Jest przecież tyle rzeczy, które można robić na emeryturze. Po siostrze odziedziczył ogródek działkowy na Mokotowie, przydałoby się nim zająć, dawno nie był też na brydżu. Może zapisze się na kurs języka angielskiego? Why not? O tym wszystkim myślał, kiedy powolnym krokiem, noga za nogą, szedł na przystanek tramwajowy.

Zrobił wszystko, co mógł. Nikt nie chciał go już słuchać, nic nie wskórał, sam nigdy nie zrozumie w pełni stojącego za tymi okropnościami mechanizmu. A nawet jeśli, to co mógłby z tym zrobić? Przy ogromnym szczęściu udałoby mu się może uratować jedną osobę dziennie, a to przecież tyle co nic. Na niektórych stronach kalendarza było po kilka nazwisk, to należałoby przemnożyć przez ilość książek każdego autora, tę liczbę z kolei przez ilość uśmierconych bohaterów...

Koniec tego szaleństwa! Od jutra ten etap jego życia będzie można uznać za zamknięty. Może zresztą mają rację, wszystko to sobie zmyślił? To tylko czyste przypadki, a ten, który tym wszystkim zarządza gdzieś tam na górze, śmieje się do rozpuku ze zbliżowanego staruszka.

Skręcił w stronę przystanku i zobaczył na horyzoncie „osiemnastkę”. Na jego twarzy pojawił się uśmiech. Jeszcze tylko kilka przystanków i rozmontuje całą pracownię, pozbędzie się tego okropnego balastu. Już zrobił pierwszy krok – zieloną teczkę wepchnął do kubła na śmieci przy tablicy rozkładu jazdy.

Z poczuciem ulgi spoglądał na zbliżający się tramwaj, kiedy nagle jego noga poślizgnęła się na oblodzonej kałuży, aż się cały zachybotał. Nie wydał z siebie chyba żadnego dźwięku, ale usłyszał

rozpaczliwe kobiece głosy. Raz jeszcze, ostatni, mignęły mu przed oczami niezliczone daty, dni, miesiące, lata. Tramwaj najechał na profesora i na przejście dla pieszych na Puławskiej wypadł okrągły ciemny przedmiot. Przedmiot ten stoczył się na dół i podskoczył na kocich łbach jezdni.

Była to odcięta głowa Edwarda Pacuszki..

O AUTORCE

Magdalena Siemieńska (ur. 1988) – absolwentka filologii hiszpańskiej i francuskiej. Urodzona we Wrocławiu, mieszkała w Hiszpanii, Czechach i Belgii. Obecnie pracuje w przeszklonym biurowcu w Warszawie, choć jako dziecko chciała zostać trenerką delfinów. Układa w głowie większą fabułę, którą ma nadzieję przelać na papier. W dniu jej urodzin miało miejsce całkowite zaćmienie słońca widoczne nad Indonezją i zachodnim Pacyfikiem.

Agata Tułeczka-Hryciuk

Dobrodziej

Niedzicki zamek w blasku księżycy jest wyjątkowo posępny. Kamienne mury, wzniesione przed setkami lat, wiejące chłodem korytarze i wręcz natarczywa upiorność tego miejsca, tworzyły obraz niedostępnej twierdzy, w której to echem powinny rozbrzmiewać jęki średniowiecznych skazańców i dzwonienie ciężkich, zardzewiałych łańcuchów. Tymczasem w okolicy aż dudniło od gromkich wybuchów śmiechu, przasných przyśpiewek, irytująco głośnej muzyki i rytmicznych przytupów roztańczonego tłumu. W zamkowej restauracji bowiem odbywało się wesele. Zgromadzony, nieco już upojony pienińską śliwowicą tłum, bawił się w najlepsze. Stoły ugięły się pod ciężarem talerzy i półmiseków, pełnych pieczonego mięsiwa, wędzonych kiełbas i szynek, specjalnie na tę okazję pieczonych pasztetów, wylepianych przez lokalne gospodynie pierogów i bigosów, tak bogatych w lokalne grzyby, że ich aromat stawał się niemal mdłący. Weselni goście radośnie stukali się kieliszkami, rozchlapując przejrzysty płyn na kamienne podłogi, rozrzucaли wokół siebie niedojedzone kawałki pająd chleba i okruszki białego jak śnieg sernika, który mieszał się na talerzach z kawałkami boczku i śledzia. Biesiadowanie rozkręcało się na dobre, a wokół grającej w szaleńczym tempie orkiestry gromadziło się coraz więcej wirujących par.

Mariusz wstał wolno od stołu i dostojnym krokiem przemieścił się w stronę masywnego drewnianego wyjścia. Łagodnie przytykając oczy, nieznacznie kiwał głową do poszczególnych osób zgromadzonych na sali, posyłając im półuśmiechy pełne wyższości i majestatu, jaki był oczywisty dla człowieka cieszącego się jego estymą i poważaniem. Pogłodził swoją specjalnie na tę okoliczność zakupioną marynarkę, strząsając z niej niewidzialny pyłek. Uwielbiał w sobie ten perfekcjonizm, brak uznawania jakichkolwiek kompromisów, zarówno w życiu zawodowym, jak i prywatnym. Będąc mężczyzną w sile wieku, jak lubił o sobie myśleć, zażył na wiele przywilejów, jakimi obdarowywało go życie. Nawet teraz, patrząc na rozbawiony tłum, myślał sobie, że w całej okolicy nie widzieli bardziej wystawnego wesela niż to, które urządził dla swojej córki. Nawet jeśli ona sama na to nie zasługiwała, nawet jeśli jej wybranek wywodził się ze znacznie mniej inteligentnej warstwy społecznej niż ta, do której Mariusz sam lubił się zaliczać. Być może rodzina pana młodego zobaczy, jak wyglądać powinno prawdziwe polskie wesele, może nawet odrobinę zaktuje ich w duszy, że ich nie byłoby nigdy stać na to, by tak wystawne przyjęcie wyprawić dla swojej córki. Mariusz bowiem za wszystko zapłacił sam. Nie miał zamiaru zebrać o jakieś nędzne grosze do rodziny swojego przyszłego zięcia. Przynajmniej tym sposobem mógł urządzić wszystko po swojemu. Według własnego, nienagannego gustu. Nie musiał słuchać niczych lamentów na temat złoconej zastawy, jakiej sobie zażyczył, czy bogato haftowanych obrusów, które leżały na suto zastawionych stołach. Nawet kwiaty wybrał takie, jak sam lubił. Piękne, krwistoczerwone róże, zdobiły każdy kąt wypełnionej po brzegi sali. Lubił przepych i blichtr. Nie mógł zrozumieć tej ostatniej mody na minimalizm i oszczędność. Na szczęście ktoś o jego pozycji nie musiał się martwić tym, co się podoba innym. Przecież to on płacił, więc on decydował. Mariusz poczuł podniecenie na myśl o szeleście banknotów, jakie

przewijały się przez jego ręce. Kochał zapach pieniędzy. Uwielbiał ich dotykać i wyobrażać sobie, co można za nie dostać, co ważniejsze, kogo można za nie kupić. Dla niego świat zawsze był biało-czarny. Składał się zawsze z tych, którzy rządzą, i tych, którymi trzeba było rządzić. Tych, którzy, jak on, umieli zarobić swą ciężką pracą na właściwą pozycję, i tych, którzy byli zbyt leniwi, zbyt nierozgarnięci, by kiedykolwiek próbować nawet wyrwać się z okowów swojej biedy i niskiej pozycji w społeczeństwie. Przez myśl przeszedł mu obraz własnego syna, kolejnego nie wiadomo, po co zajmującego miejsce we wszechświecie osobnika. Stały, leniwy gówniarz. Nic z niego nie będzie; gdyby nie fakt, że nosił w sobie jego, Mariusza, cenne geny, już dawno by go pogonił do diabła. Chciałby kiedyś zobaczyć, jak ten młody gnojek się przed nim kaja, jak go błaga o ojcowską miłość i protekcję. Jednak jego nie było stać nawet na to. Bezczelnie nie chciał wyciągać do ojca ręki, choć to przecież jedyne, co jeszcze mogło go uratować. Mariusz poczuł, jak oczy świecą mu się siwoniebieską poświatą, jak zawsze wtedy, gdy był w stanie silnego wzburzenia. Nie, nie może dzisiaj myśleć o swoim synu. Musi przecież pokazać tej cholernej gawiedzi, jak wygląda prawdziwa rodzina i jego niewdzięczny syn nie zaktóci mu tego idealnego obrazu.

– Panie prezesie, można na słówko – przed Mariuszem wyłonił się jakiś tanio ubrany człowiek. – Pan ma dzisiaj taką ważną okazję do świętowania, a ja tu z interesem przychodzę – człowiek wyszczerzył się w uśmiechu pełnym zaniedbanego uzębienia – ale wie pan prezes kochany, że w dniu ślubu córki nie można nikomu odmówić pomocy – człowieczyna kontynuował, przebijając nerwowo nogami. – I ja tak sobie pomyślałem, że skoro prezes w takim uroczystym nastroju, to i do mojej prośby się dzisiaj przychyli.

Mariusz przyjrzał się mu badawczo wzrokiem węża, patrzącego na swoją ofiarę, przetknął śliną i siłąc się na uprzejmość, zapytał:

– Jak mogę panu pomóc? Oczywiście, że jak zwykle pomogę – w osobniku w tanim garniturze rozpoznał bowiem swojego kierowcę Andrzeja.

– No, bo święta są i w ogóle i wie pan prezes – chłopina się zrobił czerwony na twarzy albo ze stresu, albo z nadmiaru alkoholu, którym raczył się skwapliwie przez ostatnie parę godzin – no i ten mój syn, Mateusz, wie pan prezes, on jest bardzo chory i wzięli go do szpitala ze... ze sepsą – Andrzej wypowiedział ostatnie słowo niemal z dumą. – I ta moja Anka nie pracuje i tak cinko z kasą mamy... – tu głos mu się zawiesił, jakby w oczekiwaniu, że czcigodny pan prezes sam wpadnie na ciąg dalszy tej historii. Nie pomylił się.

– Ile potrzebujesz, Andrzej? – formy grzecznościowe zniknęły, gdy tylko pojawił się znajomy temat.

– No całą wypłatę by się zdało... I z tego, i z przyszłego miesiąca... – Andrzej jękał się nerwowo.

Mariusz poczuł, jak wzbiera się w nim złość na to, że ten bezczelny nieudacznik próbuje w tak ważny dzień zagrać kartą niczym z „Ojca chrzestnego”. W dodatku i tak już dostawał za dużo za swoje podrzędne usługi, które przecież każdy imbecyl umiałby wykonać. Z drugiej strony, trochę spodobał się sam sobie w roli dobrotliwego dona, taskawą ręką obdarzającego maluczkich.

– No dobra, niech będzie – westchnął. – Ale żeby było jasne, nic za darmo! – podniósł głos. – Niech ci się, Andrzej, nie wydaje, że teraz weźmiesz, a później się rozchorujesz albo twój syn nagle będzie siedział w tym szpitalu do usranej śmierci! Żeby to było jasne!

– Ależ oczywiście, panie prezesie, nie ma o tym mowy – kałat się Andrzej. – Ani myślę pana prezesa oszukać, co to, to nie! – żarliwie zapewniał. – Ja to nigdy pana prezesa nie zawiodę i... dziękuję, tak bardzo dziękuję za pomoc...

– Dobra, idź już na salę i baw się ze wszystkimi, masz żarcie i chłanie takie, żeś pewnie jeszcze nie widział – powiedział Mariusz, próbując jak najszybciej pozbyć się intruza. Pogrzebał w kieszeni i wyjął papierosa, którego z głębokim westchnieniem odpalił. Zaciągnął się dymem i górskim, przesyconym wyziewami z okolicznych domostw powietrzem. Czuł się hojny i wielki, gdy tak sobie teraz myślał o tym, jaką to właśnie ogromną przysługę oddał swojemu kierowcy. Niech wie, jak dobrego ma szefa, a co, każdy na miejscu tego Andrzeja dałby się pokroić za to, by móc pracować dla Transpolu – Mariusz pomyślał z dumą o swojej firmie.

– Witam szanownego ojca panny młodej – z uśmiechem wyszczerzonego rekina zbliżał się do niego kolejny mężczyzna, tym razem w ubiorze zdradzającym znacznie okazańszą zasobność portfela. – Ja wiem, że to rodzinna uroczystość i że pewnie znalazłoby się lepszą okazję do załatwiania interesów, ale aż żal nie skorzystać z okazji porozmawiania w cztery oczy. Polowałem tu na pana – uśmiechnął się przebiegle – no i się w końcu udało.

– Czym mogę panu służyć? – Mariusz zapytał z godnością, zupełnie niepasującą do zadanego pytania.

– Rafalski jestem, dyrektor elektrowni wodnej – mężczyzna przedstawił się, choć doskonale wiedział, że jego nazwisko na pewno nikomu nie jest obce. – Pana firma zajmuje się przewozem części do naszych maszyn.

– Tak, wiem doskonale – westchnął Mariusz, gdyż od razu zrozumiał, wokół jakiego tematu zaczyna krążyć rozmowa.

– Ja rozumiem, że przetargi przetargami, że procedury i tym podobne, ale korzystając z okazji bycia jednym z gości na tak rodzinnej imprezie jak ta tutaj – Rafalski machnął ręką w stronę gwarnej sali – pomyślałem sobie, że się jakoś dogadamy – znów pojawił się na jego twarzy uśmiech rekina – bo wie pan, to jest bardzo niedobra wróżba dla przyszłej panny młodej, jeśli szanowny ojciec odmówi prośby jednego z gości.

Mariusz czuł, jak wzbiera się w nim złość na ponowne postugiwanie się tym zabobonem jako wymówką do ubicia własnego interesu. Nigdy nie uważał się za człowieka przesądnego, ale wiadomo, lepiej nie kusić losu. Przezornie więc zawracał, widząc czarnego kota i dla pewności pluł przez lewe ramię, za każdym razem, jak wysypała mu się sól. Nie żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie, co to, to nie, ale nigdy nie wiadomo, kiedy przewrotna fortuna zdecyduje się spłatać mu figla.

– Słucham zatem – zapytał, wiedząc doskonale, czego Rafalski od niego chce.

– Współpracujemy z pana firmą już od jakiegoś czasu i nie mogę narzekać, układa się nam nie najgorzej. Jednak cena, jaką pan narzucił za ostatni transport, jest niedorzecznie wysoka i chciałbym wynegocjować jej obniżenie. Dla dobrych układów sąsiedzkich – wyszczerzył zęby w fałszywym uśmiechu. – Ja tu wszystkich znam, z każdą osobą albo piłem wódkę, albo ubijałem interesy, a najczęściej jedno i drugie. Nie chciałbym, aby ktokolwiek z moich znajomych, bądź co bądź dość prominentnych postaci, rzucił panu potem kłody pod nogi... Wie pan, jak to jest, my się tu znamy od lat, a pan jest przyjezdny, mógłbym panu pomoc wejść do naszego grona...

– Obejdzie się – warknął Mariusz i w tym samym momencie pożałował swoich słów, bo istotnie, Rafalski znał każdego, kogo warto było znać. Przeniknięcie do zamkniętej, góralskiej społeczności było niemal niemożliwe bez odpowiedniego wsparcia. Ciężko mu było jednak otrząsnąć się z poczucia bycia szantażowanym, a nie proszonym o przystupę. Mariusz był jednak doskonałym taktikiem i wiedział, że w tym wypadku nie może odejść gościa z kwitkiem, że stawka tej rozmowy jest zbyt wysoka, by po prostu Rafalskiego zbyć. – Myślę, że jako rozsądni ludzie na pewno się dogadamy – dodał szybko.

– Tak sądziłem – tym razem zupełnie szczerze ucieszył się dyrektor elektrowni. – To ja już nie zawracam głowy i wszystkich formalności dopełnimy w biurze. Wspaniałe wesele, widać, że nie żałował pan grosza na swoją córkę – dodał na odchodne, dość mało taktownie, ale akurat było to dokładnie to, co Mariusz chciał, żeby widzieli wszyscy z zaproszonych na wesele gości.

– Jakżebym mógł, rodzina to podstawa, gdyby nie moje dzieci, to nie byłbym tym, kim się stałem – napuszył się i wyciągnął rękę do Rafalskiego. Patrzyć później na oddalającego się dyrektora spod przymrużonych powiek, zastanawiając się, jak można by tu z owego jegomościa wyciągnąć dla siebie jak najwięcej. To znaczy, rzecz jasna, wyciągnąć dla swojej firmy i dla dobra wszystkich. Ogółu, tej całej buroszarej masy ludzkiej, która bez jego karmiącej ręki na powrót zanurzy się w odmętach beznadziei, pijaństwa i braku ogłady. Jakież to szczęście spotkało tych ludzi, że właśnie tutaj Mariusz postanowił rozbudowywać swoją firmę. On ich uratuje i wskaże właściwą drogę. Ktoś musi być dobrodziejem i ojcem dla tych mniej operatywnych jednostek w społeczeństwie. Cóż zrobić, że jemu akurat przypadł ten los. Oczywiście, że i w tej roli się odnajdzie. Można by wręcz rzec, że jest ona stworzona specjalnie dla niego.

Komisarz Marta Kwiecień podskoczyła na łóżku, zrzucając na podłogę coś, co wedle wszelkiego prawdopodobieństwa było dzwoniącym budzikiem. Widok za oknem nie zachęcał do wstawania tak wcześnie, szczerze mówiąc, nie zachęcał do wstawania wcale. Porywisty wiatr rzucał się wściekle na szybę, bębniąc deszczem i śniegiem o metalowy parapet, uderzając o niego od czasu do czasu jakąś gałęzią, brutalnie wyrwaną z drzewa nieokietnaną siłą natury. Marta zanurkowała pod łóżko, gdyż budzik okazał się dzwoniącym natarczywie telefonem.

– Halo – zaskrzeczała do słuchawki. Odchrząknęła i już pewnym głosem powiedziała: – Słucham?

– Wstawaj, dowodzisz grupą, która jedzie na miejsce, gdzie znaleźli trupa – w słuchawce odezwał się głos Piotrka, kolegi po fachu z komisariatu. – Stary chciał szczególnie, żebyś to ty się tym zajęła, ten denat to chyba jakiś ważniak, bo cały komisariat stoi na baczność, odkąd dostaliśmy zgłoszenie. Znajomy komendanta – szepnął teatralnie. – I ewidentnie chcą kogoś od nas, żeby się tym zajął.

– Gdzie znaleźli tego trupa? – Marta ziewnęła przeciągle do słuchawki.

– Niedzica, to kawałek za Nowym Targiem, jeśli nie kojarzysz – dodał komisarz Piotr Pochwała.

– Kojarzę, kojarzę, czy oni naprawdę nie mają nikogo stamtąd, kto by się zajmował ich góralskimi porachunkami? Muszą mnie ciągnąć z Krakowa? – Marta rzuciła okiem za okno, wyobrażając sobie, jak fatalne warunki będą panować na zakopiance, gdzie zima ma zwyczaj uderzać nagle i niespodziewanie dla służb drogowych, nawet jeśli jest to koniec grudnia..– Jadę do was, opowiedz mi wszystko po drodze – Marta, mówiąc to, już w pośpiechu zbierała swoje rzeczy, które potrzebowała zabrać do pracy. Komendant znany był z tego, że z byle powodu wpadał w furję i choć wszyscy podejrzewali, że te ataki są bardziej na pokaz niż z rzeczywistej potrzeby wyładowania gromów na swoich podwładnych, Marta nie chciała się narażać na jego złość. W pośpiechu wpadła do łazienki i nie spędzając tam więcej niż pięć minut, wyszła umyta, ubrana i nawet lekko umalowana czerwoną szminką. Złapała najcieplejszą kurtkę, jaka wisiała na wieszaku, zapominając jednak zabrać ze sobą czapkę i szalik, o których przypomniawszy sobie dopiero, siedząc w lodowatym samochodzie.

Droga była dokładnie taka, jak się spodziewała, miejscami śliska, za to wszędzie zakorkowana, pełna wolno sunących samocho-

dów na numerach rejestracyjnych z całej Polski. Zbliżający się koniec roku przyciągał w góry ogrom turystów, których nie sposób było zniechęcić nawet wysokimi cenami, tłokiem i kiepską pogodą. Większość przyjezdnych obciążona była nartami i deskami snowboardowymi, które to, pełni nadziei na idealne warunki do uprawiania zimowych sportów, wieźli na dachach swoich samochodów. Póki co matka natura zdecydowała się sptać im niemilego figla i zamiast puszystego śniegu na drodze leżała brunatna breja, a coraz mocniej padający deszcz rozpuszczał nieliczne już białe potacie, smutno niknące pośród pustych pól. Marta z niechęcią pomyślała o wyprawie w góry, które zamiast kojarzyć się z nieskażonym pięknem natury pełne były tłumów, fałszywych ciupag, podrabianych oscypków i straszących kolorowymi banerami zaniedbanych gospodarstw. Od dawna też należało zapomnieć o krystalicznym powietrzu, gdyż z komina każdej góralskiej chaty unosił się duszący, czarnosiny fetor – efekt ogrzewania domostw tym, co akurat było pod ręką. Zupelny brak poszanowania dla przyrody, która w tym miejscu okazała się aż nadmiernie hojna, złościła Martę i przepętniał ją bezsilnością. Dobro wspólne w tym przypadku okazywało się ziemią niczyją, na której bez oporów można było zostawiać ślady bezmyślnych zniszczeń. Zawsze zadziwiał ją również kompletny brak przywiązania do urzekających krajobrazów u samych górali, którzy niefrasobliwie rzucając do pieca co popadnie, niejako podcinali gałąź, na której siedzieli. Naród ten, zawzięty i nieufny, niewiele sobie robił z gorących apeli obrońców przyrody i nadal uważał, że czerpanie korzyści ze spragnionych sielskich widoków turystów dane jest im na zawsze. Wjeżdżając do samej Niedzicy, Marta z ulgą zauważyła, że jednak nadal istnieją miejsca, gdzie piękno natury wciąż wygrywa z barbarzyńskim działaniem człowieka. Mimo burej aury krajobraz, jaki się przed nią rozpostarł, zaparł jej dech w piersiach. Szara tafla wody odbijała wzniesiony na wzgórzu zamek niczym idealnie gładkie

lustro. Pozbawione liści drzewa porastające górskie zbocza sprawiały, że same góry wyglądały jak pokryte gęstymi kolcami. Mimo to człowiek miał nieodpartą ochotę je pogłaskać, zatopić w nich ręce, jak w zmierzwionej sierści psa.

Zatrzymali auto przed smutno wyglądającym, szarym, ptaskim kompleksem budynków. Odrażająco brudne mury sprawiały wrażenie opustoszałych hal magazynowych, tymczasem przez małeńkie okienka sączyło się z nich światło. Gdy weszli do środka, na miejscu pracowali już technicy i grupa policjantów z Nowego Targu. Stali w jasno oświetlonym, dużym pokoju z ogromnym biurkiem w kolorze ciemnego drewna, na którym leżała sterta porzuczanych w nieładzie dokumentów, długopisów i zmiętych kulek z papieru. Widać było, że właściciel biura nie należał do przesadnie pedantycznych. Na dużym, obrotowym fotelu, odsuniętym nieco od rzeźbionego brzegu biurka, siedział rozparty mężczyzna. Jego ręce bezwładnie zwisały po obu bokach, a na przymatej, błękitnej koszuli rozlewała się karminowa plama krwi. Niedopięte guziki odstaniały blady, pokaźnych rozmiarów brzuch, który wylewał się znad ciasno zapiętego paska. Mężczyzna miał zadartą do góry głowę, tak jakby morderca chciał go oprzeć o wezgłowie fotela, w czasie gdy nieszczęśnik odbywał swą podróż do krainy umarłych. Wiotka, szarawa szyja z obfitym podgardlem przedziurawiona została niczym balon, z którego zamiast powietrza tryśnięta żywoczerwona krew. Zabójca z całą pewnością trafił w tętnicę szyjną, gdyż mężczyzna ewidentnie wykrwawił się szybko. Rękaw niebieskawej koszuli przesiąknięty był zakrzepłą już w tej chwili krwią, która musiała spłynąć po krótkich, grubawych palcach wprost na podłogę. Na jasnych, dużych panelach widoczna była bowiem czerwona plama, tak nedorzecznie duża, jakby ktoś wylał tam puszkę farby. Czy to celowo, czy też przez przypadek morderca trafił w jeden z najbardziej newralgicznych punktów na ludzkim ciele.

Marta rozejrzała się po pomieszczeniu, szybko dostrzegając kamery monitoringu umieszczone w rogach, pod sufitem.

– Nawet niech sobie pani komisarz nie robi nadziei – powiedział nowotarski policjant, młody przystojny góral o hardym spojrzeniu. – To wszystko to tylko atrapy. Widać właściciel chciał, by wszyscy myśleli, że są obserwowani, ale żal mu było sygnąć groza na porządną sprzęt – dodał.

– Czyli nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał? – zapytała Marta.

– No, na to wygląda, niestety – pokiwał głową z rezygnacją. – To, co wiemy o denacie, to fakt, że nazywał się Mariusz Słowik, że miał 57 lat i że prowadził firmę Transpol zajmującą się transportem głównie wielkogabarytowych maszyn i części. Niedawno się sprowadził w te strony, a pochodził z Podkarpacia. Postanowił tutaj zbudować swój zakład, co przyjęto z entuzjazmem, bo u nas bezrobocie jest duże i jak nie ma turystów, to nie bardzo jest na czym zarabiać. Słowik zatrudniał około 60 osób, głównie jako kierowców. Przyjęli go tutaj z otwartymi rękoma, za to, że w końcu dał ludziom pracę. Choć z tego, co wiem, do przesadnie hojnych nie należał i nie zarabiał się u niego kokosów. Jednak mieszkańcy cieszyli się i z tego.

– No cóż, to wy róbcie, co macie do zrobienia, a ja pójdę pogadać z ludźmi. Popytam tu i ówdzie, na pewno ściany mają tu uszy – komisarz kiwnęła ręką na pożegnanie i wyszła z pokoju, w którym, mimo wielu osób i tak jedyne, co się dało wyczuć, to mdlący zapach śmierci.

Marta wyszła na zewnątrz i od razu uderzył w nią silny powiew wiatru i deszcz. Zastanawiała się, jak to się stało, że do tej pory nigdy sama nie dotarła do tego miejsca. Nie była nigdy wielką entuzjastką górskich wycieczek, jednak dawniej, wtedy gdy jeszcze wszystko było takie, jak być powinno, wyjeżdżała w góry ze swoim mężem. Ile to już lat minęło od tamtych dni? Marta pomyślała, że musiało to być chyba w innym życiu, a ta osoba, która

wówczas chodziła po górskich szlakach i narzekała na swój ciężki los, nie mogła być tą samą kobietą, która teraz stoi na niedzickim chłodzie, smagana ostrym wiatrem. Jak mogła być wtedy aż tak niewdzięczna, jak mogła aż tak nie doceniać tego wszystkiego, co miała? W tej chwili czuła się zupełnie pusta w środku, niezdolna do tego, by czymkolwiek prawdziwie się cieszyć lub mocno martwić. Wszystkie uczucia odeszły wraz z Konradem, on zabrał je ze sobą wtedy, gdy już wiadomo było, że nie wygra z ciężką chorobą, która spadła na nich jak grom z jasnego nieba. Po dwóch latach małżeństwa, po tym, jak oboje snuli plany na przyszłość, wymyślali imię dla ich przyszłego dziecka, Konrad rozchorował się na nagle i niespodziewanie. Po prostu pewnego razu wrócił z pracy i zemdał. I choć było to dziwne, gdyż był młodym, silnym mężczyzną, to do głowy im nie przyszło, że tuż za drzwiami czeka na nich taka diagnoza. Za drzwiami bowiem stała śmierć. Śmierć, która zabrała jej męża w ciągu dwóch miesięcy wraz ze wszystkimi planami i błahymi codziennymi problemami. Wraz z górskimi wycieczkami, których przecież tak nie znosiła, a teraz oddałaby wszystko, by móc pójść choć na jedną z nich, byle z nim. Marta nigdy nie była przesadnie wierząca, jednak od śmierci Konrada zaczęła zwracać większą uwagę na znaki, jakie z zaświatów wysyła do niej jej mąż. Nie chciała pogodzić się z tym, że jego nie ma, nigdzie, w całym wszechświecie, że zniknął na zawsze i już nigdy nie wróci. Dlatego często widziała jego twarz w swoich snach, zwłaszcza wtedy gdy miało zdarzyć się coś ważnego w jej życiu. Widziała jego twarz w tłumie, w obcym mieście, gdzieś, gdzie z całą pewnością nie była wcześniej. Przypadkowo widziane słowa na reklamach i banerach zawsze układały się w jego imię, a w restauracji przez przypadek przynoszono jej jego ulubione danie, a nie to, które Marta zamówiła. Wiedziała w głębi duszy, że nie ma żadnych tajemniczych mocy, które przemawiają do niej z wielkiej otchłani, w której znalazł się jej mąż. Jednocześnie, choćby nie

wiem jak bardzo się starała, nie mogła nie zauważać pewnej ko-
incydencji zdarzeń, niebezpieczeństw, przed którymi zdołała się
uchronić, ponieważ dostała ostrzeżenie od męża. I tym razem,
stojąc na szarym asfalcie, pokrytym błotnistą breją śniegu, wto-
piła wzrok w taflę zalewu, do którego nie wiedziała nawet, kiedy
dokładnie dotarła. Woda była szara i złowroga, spiętrzona tamą,
niebezpieczna, jakby tylko czyhająca na dogodną okazję, by zalać
całą okolicę poukrywanych w ciepłych domach ludzi, pochowane
w stajniach zwierzęta, pieczotowicie zgromadzony majątek i nie-
urodzajną ziemię, która czekała na wiosenne promienie słońca,
by w wielkich trudach móc dać kartowate plony. W szumie wia-
tru, zapachu wody i gór poczuła nagle ciepło, jakiego nie czuła
już dawno. Niczym muśnięcie policzka, dotyk ciepłej ręki, która
trzymała ją niegdyś mocno, by nie osunęła się ze stromej górskiej
ścieżki. Przecież wiedziała za każdym razem. Wiedziała, że on nad
nią czuwa. Nie mógłby przecież tak po prostu jej zostawić. Marta
otrząsnęła się, jakby ponownie dotarł do niej przejmujący chłód.
Telepiąc się z zimna, przywołała się do rzeczywistości. Konrada
nie ma, nie ma już od dawna i nie daje jej żadnych znaków, bo
nie istnieje życie po śmierci. Człowiek znika i jedyne, co nam po-
zostaje, to wspomnienia i wyobrażenia, ale na pewno nie żadne
tajemnicze siły, które próbują przedostać się do jej zwykłego życia.
Coraz rzadziej pozwalała sobie na takie chwile słabości, starała
się coraz mniej myśleć o zmarłym mężu, gdyż nie chciała znowu
wpaść w rozpacz, w jakiej znalazła się po jego śmierci. Nie była
pewna, czy raz jeszcze miałyby się wydostać z jej odmętów,
czy ludzie, którzy ją otaczali, mieliby chęć ponownie przywracać
ja do stanu, chociażby na zewnątrz przypominającego normal-
ność. Marta myślała zadaniowo, wiedziała, że praca jest w stanie
odciągnąć jej myśli od własnych rozterek i mimo że przyszło zaj-
mować jej się zbrodnią i doprowadzaniem winnych przed wymiar
sprawiedliwości, to paradoksalnie okazało się doskonałą receptą

na to, by nie myśleć o śmierci. Głęboko wierzyła w to, że świat staje się lepszy za każdym razem, gdy udawało jej się złapać kogoś, kto czynił innym złoto. Tym razem miała znaleźć mordercę lokalnego biznesmena i jak wielu o zmarłym twierdzi, dobrodziej. Nie bardzo miała ochotę wierzyć w to ostatnie, ale cóż, może jednak nie zna się do końca na ludziach i życie czymś ją jeszcze zaskoczy, tak dla odmiany w pozytywnym sensie.

Piotrek poszedł porozmawiać z rodziną denata. Marta przyjęła to z pewną niechęcią; sama wolalaby ich odwiedzić. Mimo że cenila komisarza Piotra Pochwałę za jego profesjonalizm, to nie mogła oprzeć się wrażeniu, że nie zawsze cechowała go wystarczająca spostrzegawczość, by zauważyć niuanse, które później okazywały się kluczowe dla sprawy. Piotr byłby doskonałym detektywem, z jego umiejętnością łączenia faktów i poszukiwaniem porzuconych przez morderców przystawionych niedopałków papierosów, jednak nie miał intuicji, dość typowej zresztą raczej dla kobiet, empatii i umiejętności czytania ludzkich zachowań, stąd dobry kłamca potrafił czasem sprzedać mu historię, którą Marta z daleka uznawała za mało wiarygodną. Ona, jako kobieta, prawdopodobnie lepiej czytała mowę ciała, mimowolne gesty i mimikę, wiedziała, czy cała historia spina się w całość, czy też przestłuchiwany próbuje coś ukryć. Piotr natomiast błyskawicznie wychwytywał różnego rodzaju logiczne nieścisłości, jednak mało kiedy zdarzało mu się wyczuć, że dana osoba kłamie.

Chcąc nie chcąc, Marta postanowiła porozmawiać z pracownikami zamordowanego. Chciała dowiedzieć się, jak najwięcej o tym, co mogło być przyczyną tego, że ów leżał nieopodal z rozprutym gardłem. Dostała wykaz zatrudnionych i choć miała szczerzy zamiar zacząć od przestłuchania kogoś, kogo można by uznać za prawą rękę Mariusza, to niestety, wszystko wskazywało na to, że właściciel Transpolu nikomu nie ufał na tyle, by kogośkolwiek takim tytułem zaszczylić. Wszystkimi ważniejszymi spra-

wami zajmował się on sam osobiście, sam sprawował pieczę nad dokumentacją firmy i jej finansami. Zatrudniał wprawdzie młodą dziewczynę Patrycję, której rolą było prowadzenie biura, jednak z całą pewnością nie miała ona dostępu do żadnych istotnych informacji dotyczących firmy. Była to dwudziestoparoletnia kobieta o pełnych kształtach i ładnej, pucułowatej, dziecinnej twarzy.

– Czy szef mógł mieć jakichś wrogów? – zapytała Marta. – Kogoś, kto mógł chcieć go zabić?

Pucułowata Patrycja popatrzyła na panią komisarz nieufnie, wreszcie westchnęła i z pewnym ociąganiem zaczęła mówić:

– No, wie pani sama, jak to jest z osobami, które odnoszą sukces. Zawsze się znajdzie ktoś, dla kogo ten sukces będzie solą w oku. Nie wiem nic konkretnie. Tylko że u nas to jednak nie za bardzo się chce zaakceptować przyjezdnych. A szkoda, bo szef był dobry. I sprawiedliwy... – dodała po chwili wahania.

– Jakoś konkretniej mogłaby mi pani przybliżyć, dlaczego tak pani sądzi?

– Szef miał syna Filipa, fajny chłopak, tylko w ogóle niechętny do roboty. Taki młody jak ja, przystojny do tego i mówić zawsze umiał tak ładnie... – Patrycję nagle oblał rumieniec. – I kiedyś się tak zdarzyło, że ten jego syn to ukradł ojcu tira. Szef nie wiedział, że to on, i chciał zgłosić sprawę na policję, a tu się okazało, że bach! Tir się znalazł, ale złodziej też się znalazł i że to ten syn właśnie. Mimo to szef się ulitował, znalazł adwokata i próbował młodego z tego wyciągnąć...

Marta nagle podniosła wzrok znad notesu, w którym notowała każde słowo Patrycji. – Ale jak to? Wynajął adwokata? Skoro tylko chciał zgłosić sprawę na policję, ale nim to zrobił, to tir się znalazł? Co w nim było?

Patrycja przybrała jeszcze bardziej buraczkowy odcień. Marta wiedziała, że trafiła w punkt.

– Ja nie wiem, pani komisarz, ja naprawdę nie wiem. Ja się tam w ogóle nie znam na prawie, nie wiem, po co mu był ten adwokat, taki ważniak w gajerze przyjechał, bo to jakaś poważna sprawa się z tego zrobiła. Naprawdę, prezes nic nie wiedział, nic nie wiedział – żarliwie zapewniała Patrycja. „Aż nazbyt żarliwie” – pomyślała Marta. Jasne, że dziewczyna ma jeszcze coś w zana-dru, o czym nie chce powiedzieć. Wiedziała, że jeszcze przyjdzie czas, aby to z niej wycisnąć. Teraz zaczerwieniona twarz Patrycji i przeszkłone oczy zwiastowały raczej rychły wybuch płaczu niż sensowną rozmowę. Komisarz skrupulatnie zanotowała wszystko, czego dowiedziała się od dziewczyny, stawiając sobie wykrzyknik wokół słowa „syn”. Bardzo też zainteresowało ją to, o czym szanowny prezes tak „nie wiedział”, że jego pracownica postanowiła bronić go niczym lwica. Patrycja jednak trzęsa się z płaczu, łkając żałośnie i głośno smarkając.

Marta po zastyszanych rewelacjach ciekawa była bardzo, czego jeszcze dowie się od pracowników zamordowanego. Po wysłuchaniu z jednej strony peanów na temat zmarłego prezesa, a z drugiej – fali wyzwisk płynących pod jego adresem („Wiem, że nie wolno źle mówić o zmarłych, świeć Panie nad jego duszą”) była na równi znudzona i zniechęcona, ponieważ wszystko wskazywało na to, że Mariusz jednak żadnym dobrodziejem nie był i miał na sumieniu parę niezłych świństewek, jednakowoż żadne z nich nie było wystarczające, by zasłużyć na śmierć.

Kolejną osobą, jaką przyszło jej przestuchać, był niedawno zwolniony kierowca, Andrzej. Marta sama zapukała do jego drzwi, które po dłuższej chwili oczekiwania otworzyły się z głośnym skrzypinięciem, ukazując zaciekawioną twarz młodej kobiety, najpewniej pani domu.

– Komisarz Marta Kwiecień, Wydział Kryminalny, czy mogę porozmawiać z panem Andrzejem Zawadzkiem?

– Tak, tak, wiem, kim pani jest – z oczywistych względów każdy w okolicy wiedział, czym zajmuje się para policjantów, która przyjechała z Krakowa. Martę uderzyła jednak jawna niechęć w tonie kobiety. Pani Zawadzka była drobnej postury, ze swoimi wielkimi niebieskimi oczami i bladą twarzą wyglądała raczej na eterycznego elfa, a nie solidnie stającą po ziemi góralkę. Marta nagle poczuła się przy niej ogromna, zwalista i niezgrabna i jakby na potwierdzenie swoich odczuć wchodząc za drzwi, potrąciła stojący w rogu zegar, który zakotysał się niebezpiecznie. Był to zresztą jedyny element w domu, który wydawał się autentycznie piękny i oryginalny, gdyż cała reszta mebli była albo bardzo zużyta, albo bardzo tandetna, a w większości jedno i drugie. Dom jednak był czysty i pachniał świeżo gotowanym rosół, co zresztą wywołało w Marcie nagłą potrzebę zjedzenia czegoś, co jest ciepłym, prawdziwym jedzeniem. Z pokoju wyłonił się dość krępy mężczyzna, który uśmiechając się niepewnie, podszedł do Marty.

– Chciałabym z panem porozmawiać o pańskim byłym szefie Mariuszu Słowiku – komisarz zaczęła rozmowę i usiadła, wcale o to nieproszona, na prostym krześle. – Czy jest coś, co według pana prezes Słowik mógł zrobić, by ktoś chciał jego śmierci? Czy słyszał pan kiedykolwiek, by ktoś mu groził? – Marta zadawała chyba dziesiąty raz tego dnia te same pytania. Nie spodziewała się jednak usłyszeć odpowiedzi, która padła z ust kierowcy.

– Każdy by chciał go zabić, pani komisarz. Toż to ostatnia szuja była. Sam z nim rozmawiałem na ślubie jego córki, prosiłem, błagałem, żeby mi wypłacił moje pieniądze. A wie pani, on i tak dawał zarobić tyle, co nic. Z tym nędznym groszem i tak zalegał, choć jemu samemu na nic nie brakowało. Syn nasz się pochorował i moja Anka od zmysłów odchodziła, nie wiadomo było, czy chłopak z tego wyjdzie. Wypuścili go w końcu ze szpitala, ale wie pani, leki drogie, a dziecku żałował nie będę. Potrzebowałem naprawdę tych pieniędzy. Obiecał, że zapłaci i co? Następnego

dnia mnie wywalił z roboty. Z dnia na dzień zostaliśmy bez niczego i z chorym dzieciakiem. Sam bym prezesa ukatrupił – zaperzył się Andrzej i momentalnie zorientował się, że pani komisarz badająca zabójstwo szefa nie powinna była usłyszeć takich słów. – To znaczy, nie, że naprawdę, tylko tak mówię, wiadomo – dodał szybko. Marta popatrzyła na przestraszonego swoim wyznaniem mężczyznę i choć nie mogła tego powiedzieć, to jednak zupełnie go rozumiała. Nie miała też wątpliwości, że stojący przed nią człowiek nie miał nic wspólnego ze śmiercią swojego szefa, choć miał z pewnością wszelkie podstawy, by żywić do niego głęboki żal. Po tej rozmowie utwierdziła się w przekonaniu, że Mariusz Dobrodziej, jednak nigdy nie istniał. A szkoda, pomyślała, gdyż dobrze byłoby mieć większą wiarę w ludzkość. Jak dotąd jednak nikt jej nie zaskoczył, wszyscy ludzie, z którymi do tej pory miała do czynienia, nie byli ani jednoznacznie dobrzy, ani jednoznacznie źli. Każdy przestępca, którego udało jej się złapać, miał swoją historię, która, w jakimś stopniu, tłumaczyła to, kim się stał. Nikt nie rodził się zły i każdy zawsze miał szansę na to, by wybrać właściwie. Niestety, ścieżka, którą szli prawi obywatele, dla niektórych okazywała się zbyt wyboista i trudna do pokonania. Pokusy, jakie ich otaczały, stawały się zbyt silne. To byli ludzie, którzy nie umieli walczyć ze swoimi demonami. Coraz mocniej na poszczególnych etapach ich życia zasysała ich ciemność. Po pewnym czasie ta nowa droga była jedyną, jaką znali. Zło, które spotykało ich na poprzednich etapach życia, przelewali na swoje ofiary, niemoc i bezsilność znajdowała ujście w aktach przemocy, sadyzmu, odbierania życia innym. Stawali się sprawcami ogromnych krzywd, niejednokrotnie hodując przy swym boku sobie podobnych, wynaturzonych degeneratów. Marta czuła za każdym razem, że świat ją rozczarowuje i przeraża. Wiedziała, że jedyną możliwością ochrony samej siebie w tym nieprzyjaznym środowisku jest doprowadzanie winnych do tych, którzy mieli władzę, by wymierzać im karę. Eliminowanie ze

społeczeństwa tych, co czynią krzywdę, zawsze dawało jej choć namiastkę poczucia sprawiedliwości.

– Czy zna pan kogoś, kto podobnie jak pan mógł zaznać od zmarłego jakiejś nieprzyjemności? – zapytała na koniec

– Pani żartuje chyba – uniósł się Andrzej. – Pokaże mi pani lepiej takiego, kto nie zaznał. On jedną ręką dawał, drugą ręką tłukł, tak to było, pani komisarz. Jak ktoś mówi, że on był taki wielki, dobry człowiek, to tżę jak pies.

– A jakby pan ocenił stosunki pana szefa z rodziną? Czy tam też były jakieś konflikty?

– Tego nie wiem – zadumał się mężczyzna. – Rodzinie jego to raczej nigdy nic nie brakowało, to wesele, co córce wyprawiał, wie pani, to było na trzysta osób. Samochód miała porządny i syn też podobnie, za granicę na wczasy jeździli, tak jakby co lepszego miało tam być niż w naszej Niedzicy. Ale do końca to człowiek nigdy nie wie, co nie? Chodziły plotki, że prezes i ta młoda sekretarka z biura to coś tam razem kombinowali. Wiem, bo znam jej chtëpa, strasznie się wściekł, jak się dowiedział i mówił, że dziada zabije. Tylko że wątpię, żeby zabił, to bardziej tylko takie gadanie było – dodał szybko, jakby znowu sobie przypomniał, z kim rozmawia.

Wychodząc z domu od Andrzeja Zawadzkiego, Marta spostrzegła, że zapadł już mrok i czas najwyższy było wracać z powrotem do Krakowa bądź rozejrzeć się za jakimś noclegiem. „Z powodu szacunku dla władzy”, jak ją poinformowano, udało się jej znaleźć dwa maleńkie pokoiki dla siebie i dla Piotrka. Na dole hoteliku znajdowała się niewielka restauracja, gdzie komisarze mogli wymienić się informacjami, przy okazji pożerając parujące placki ziemniaczane z gulaszem.

– Z tego, co wstępnie ustalono, zamordowano go przy użyciu jakiegoś ostrego narzędzia, które zapewne znalazło się pod ręką zupełnie przypadkiem – zaczął Piotr.

– Nożyczki? – zapytała Marta. – Czy jakiś nóż? Na biurku pewnie jednak leżały nożyczki lub nóż do papieru.

– Tak, najpewniej to właśnie posłużyło mordercy do załatwienia prezesa – odpowiedział Piotr lekko, jakby właśnie mówić o swoim obiedzie, a nie o narzędziu zbrodni. – Jednak na miejscu ich nie odnaleziono, sprawca musiał je zabrać ze sobą.

– Można się tu dość skutecznie pozbyć dowodu w sprawie – Marta kiwnęła głową w stronę spiętrzonej wody zalewu. – Myślisz, że to był ktoś bliski? – zapytała. – Ojciec i syn nie żywili chyba do siebie za ciepłych uczuć.

– Może tak być – odparł Piotrek, przeżuując wielki kawał placaka. – Rana zadana w okolicy szyi, sądząc po utracie krwi, dość sprawnie wycelowano w tętnicę, morderca musiał wiedzieć, że wystarczy ten jeden cios, by zabić. Był pewnie albo tak wściekły, albo zdeterminowany, albo...

– Starszy fizycznie – dokończyła Marta. – Mógł wiedzieć, że jakakolwiek szamotanina skończy się tym, że Słowik wygra. Był z niego silny kawał chłopa.

– Trzeba też brać pod uwagę, że zbrodni mogła dokonać kobieta... – dodał Piotr. – Wbicie nożyczek czy noża w szyję nie stanowiłoby problemu nawet dla takiej drobnej kobitki, jak...

– Jak Anna Zawadzka... – powiedziała Marta. Piotr spojrział na nią zdziwiony. – Tylko głośno myślę – dodała. – Byłam dzisiaj w domu u Zawadzkich i mają oni wszelkie prawo czuć urazę do Słowika, jednak ten Andrzej nie wygląda mi na takiego, który mógłby zabić. Co do jego żony to już nie byłabym tego taka pewna. Mogą czuć się wściekli, Słowik zostawił ich w ciężkim momencie bez grosza przy duszy.

– No to posłuchaj teraz tego – zaczął Piotr. – Słowik z całą pewnością ustawiał przetargi, tak by były jak najkorzystniejsze dla jego firmy. Rozmawiałem dzisiaj z dyrektorem elektrowni i sam przyznał, że ze Słowikiem można było robić interesy, które nie

do końca były zgodne z prawem. Ponoć miał ostro na pieńku z konkurencją, niekończące się sprawy sądowe nad głową, w tym sprawę o molestowanie pracownicy. Zwykle Słowik wychodził ze wszystkiego bez szwanku, ale myślę, że jego szczęście mogło się nagle skończyć bądź też tak mocno nastąpił komuś na odcisk, że postanowili się go pozbyć. Z tego, co rozumiem, to nasz denat był bezwzględny graczem i nie bardzo miał skrupuły w interesach. Zresztą przez parę lat udało mu się zdobyć całkiem pokaźny majątek...

– Kosztem ludzi, których zatrudniał – dodała Marta. – Miał zwyczaj nie płać na czas albo nie płać wcale. Z tego, co zauważyłam, to wręcz lubował się w doprowadzaniu do sytuacji, gdy ludzie błagali go o pieniądze. On wtedy łaskawie godził się na to, by je wypłacić, ale często i tak nie dotrzymywał słowa.

– Fajny facet, nie ma co – mruknął komisarz Pochwała i wepchnął sobie do ust resztkę obiadu, pieczotowicie zgarniając z talerza resztki sosu.

Następnego dnia pogoda okazała się łaskawsza. Zajeżdżając na znajome podwórze zakładu, policjanci byli w znacznie lepszych nastrojach i nawet szare budynki nie wydawały im się aż tak brzydkie i niepasujące do reszty otoczenia jak poprzedniego dnia. Na miejscu znowu natrafili na nowotarskich funkcjonariuszy, jednak tym razem pokój, w którym znaleziono denata, nie różnił się znacząco od każdego innego biura. Zwłoki zostały zabrane z miejsca zbrodni, a ślady zabezpieczone i oddane do dalszej analizy. Z podłogi usunięto ogromną plamę krwi i jedynie pozostawiony nieporządek mógł wskazywać na to, że w biurze doszło do jakichś nagłych zdarzeń, ciężko by jednak było odgadnąć, że odbyło się tam morderstwo.

– Ktoś na was czeka – powiedział znajomy nowotarski funkcjonariusz, ten o hardym spojrzeniu. – To znaczy na panią komisarz – skłonił lekko głowę przed Martą, która otworzyła szeroko oczy

ze zdziwienia. Weszła do mniejszego pokoju, wskazanego przez policjanta i spostrzegła siedzącą na niewielkiej kanapie szczupłą, szarooką kobietę.

– Dzień dobry, jestem Alicja Słowik – przedstawiła się. – Jestem córką zmarłego – dodała, nagle blednąc, co było niemal niemożliwe, gdyż i tak już miała twarz tak przeraźliwie jasną, że sprawiała wrażenie niemal przezroczystej.

– Dzień dobry, komisarz Marta Kwie... – zaczęła Marta, ale nie dokończyła, gdyż szczupła kobieta wyjęła z torebki rzecz, która odjęta policjantce mowę.

– Proszę – powiedziała Alicja, wręczając komisarz nóż do pa-pieru o rzeźbionej rękojeści, cały pokryty zaschniętą krwią. – To ja zabiłam ojca. To jest narzędzie zbrodni, pewnie pani tego szuka – kontynuowała tak beznamiętnym tonem, jakby właśnie przyniosła ofertę zestawów lunchowych, a nie przyznała się do morderstwa, za które trafi za kratki. – Nic już nie szukajcie, to moja wina. Ojciec znęcał się nade mną i bratem. Brat nic nie wiedział o moich za-miarach – dodała szybko.

W tym momencie z pokoju obok usłyszały podniesione męskie głosy i szamotaninę, a w drzwiach ukazał się młody, przystojny, może dwudziestoletni chłopak, trzymany przez jednego z poli-cjantów

– Pan go tu wpuści – powiedziała Marta. – I zamknij za sobą drzwi.

– Ala, co ty robisz?! – krzyknął. – To ja zabiłem ojca! Pani ko-misarz, to ja, to ja! Wbiłem mu nożyczki prosto w szyję, Bóg mi świadkiem, zasłużył sobie na to! Chłopak z wyrazem desperacji w oczach rzucił się do Marty. – Za całe życie katowania swojej rodziny zabiłbym go z chęcią raz jeszcze!

Marta podeszła do wzburzonego młodzieńca i siłą popchnęła go na drugi fotel.

– Spokojnie – powiedziała. – Zaraz mi wszystko opowiecie. Proszę tu usiąść i przestać się wydzierać, bo jeszcze ktoś pana usłyszy. Chłopak przerzucił nerwowe spojrzenie na swoją siostrę, która nadal nie zdradzała po sobie śladów najmniejszego wzburzenia i przysiadł na brzegu fotela, na który popchnęła go Marta.

– No słucham – powiedziała policjantka. – Bo chyba oboje go nie zabiliście, prawda? Czy chcecie mi wszystko opowiedzieć? – przenosiła spojrzenie z jednego do drugie, przybierając najsurowszy wyraz twarzy, na jaki ją było stać.

Rodzeństwo milczało. Po dłuższej chwili, odezwała się Alicja.

– A ile mamy czasu? – Jej głos brzmiał bezbarwnie i bardzo cicho.

Marta wiedziała, że tych dwoje ma do opowiedzenia więcej niż tylko to, jak popełniono zbrodnię. W szarych, wielkich oczach kobiety i szaleńczym wzroku chłopaka czaił się ból i strach, a jednocześnie rezygnacja i pogodzenie się ze swoim losem.

– Tyle, ile potrzebujecie – powiedziała Marta. Podeszła do drzwi, wychyliła się za nie, wydając szybko jakieś instrukcje do pracujących policjantów. – Nikt nie będzie nam przeszkadzał – dodała.

Siedząc w małym pokoiku i słuchając opowieści Alicji i jej brata, Marta czuła się tak, jakby ktoś zrzucał na nią coraz większy ciężar. Wszystko zaczęło się wtedy, gdy odeszła matka. Słowik musiał winić kogoś za jej śmierć, więc obarczył za nią swoje potomstwo. Taki był zawsze sposób jego działania. Musiał mieć winnych. Postanowił, że dzieci zapłacą za jego nieszczęście, za rozbięcie w pył wizji sielanki, w której on miał być głową rodziny. Prawda była taka, że nawet za życia matki żadnej sielanki nie było. Wtedy wszelkie jego frustracje i ataki agresji ponosiła matka. Czy bił ją? O tak, przecież była taka bezmyślna. Leniwa. Zawsze gorsza niż wszystkie inne kobiety na świecie. Dzieci też zdarzało mu się wtedy uderzyć. Jednak najbardziej lubił je upokarzać. Koniecznie przy świadkach, kolegach, koleżankach. Zawsze potrzebował audyto-

rium. Agresja w czterech ścianach ich domu była zupełnie inna. Uwielbiał je karać. Wymierzać sprawiedliwość. Po to, by nauczyć się być tak perfekcyjne jak on. Alicja nadal pamiętała, jak jej trzyletni brat Filip stał na mrozie, bo rozlał sok. Ona wtedy miała dziesięć lat. Była samotna i nie wiedziała, jak ma powiedzieć komukolwiek, że ojciec ją molestuje. Nie знаła wtedy nawet takiego słowa. Wiedziała tylko, że dzieje jej się wielkie zło. Ojciec mówił, że to przez mamę. Że teraz ona musi być taką matką mamą. Pamiętała samotność, która otulała ją jak wielki, gęsty szal. Po śmierci matki nie wiedziała już, jak to jest, gdy ktoś o nią dbał. Im była starsza, tym ojciec częściej bił. Tak, by nie zostawić śladów. Tak, by nikt nie zauważył, by nikt nie uwierzył. Choć kiedyś uderzył syna tak, że złamał mu nos. Chłopak próbował oddać, nie miał jednak szans. Ojciec tłukł, dopóki Filip nie leżał na ziemi, zalewając się krwią. Zawiózł go potem do szpitala, oczywiście do znajomego lekarza. Nos został złożony, a dokumentacja medyczna z tego zdarzenia nigdy nie powstała. Czyli nic się nie stało.

Opowieść o wielu latach katowania rodziny była przesycona takim dramatem, z jakim tej dwójce przyszło się zmierzyć, że komisarz coraz bardziej miała wrażenie, że nie potrafi już myśleć o zamordowanym Słowiku jak o ofierze. Starsze dzieci oznaczały jedynie większe kłopoty, wymyślił więc ciągły szantaż jako sposób na zamykanie im ust. To on decydował o wszystkim, odsuwał znajomych, każdego, kto stanowił potencjalne zagrożenie. Dzieci były tylko jego, to byli jego niewolnicy i poddani. Z czasem sytuacja zaczęła wymykać się spod kontroli. Najpierw dorosła córka, a później zaczął dorastać syn. Z nim było nawet gorzej niż z nią, nie było łatwo już go poskromić, pokazać, gdzie jego miejsce. Alicja wyszła za męża, ojciec mówił, że za jakiegoś nieudacznika, ale to nawet lepiej, nie było nawet komu łamać charakteru. Ot, takie zero, takie nic. Z synem była zupełnie inna historia, ten nie chciał się poddać, był nieokiełznany, krnąbrny.

– I wtedy ojciec wymyślił plan – powiedziała Alicja. – Może Filip sam opowie...

Chłopak miał w oczach łzy, jednak jego głos brzmiał spokojnie i miękko.

– Ojciec czasem kazał mi przewieźć jakiś transport z jednego miejsca w drugie – rozpoczął. – Miałem wszystkie uprawnienia, zgadzałem się zawsze na to, bo czułem, że w taki sposób choć trochę odpłacam mu za moje fanaberie. Fanaberie – tak zawsze nazywał to, że trzeba mnie było nakarmić i ubrać. Pojechałem więc na Podkarpacie, stamtąd miałem przewieźć jakiegoś tira, nie pierwszy raz to robiłem i myślałem, że nie ostatni. Ojciec dał mi wszystkie dokumenty, miałem wieść jakieś kable i maszynę do elektrowni, nic specjalnego. Nigdy nie sprawdzam, co wiozę, biorę dokumenty i jadę. Tym razem było tak samo. Po drodze zatrzymał mnie ITD, a oni pierwsze, co robią, to patrzą, co się wiezie na pace. Jak sam zobaczyłem, to ugięły się pode mną nogi. Z góry na dół tir był załadowany papierosami z Ukrainy. Z przemytu. Podejrzewam, że to nie pierwszy raz, gdy ojciec sobie takiego ściągnął. Trochę za dużo zarabiał jak na samo wożenie kabli i maszyn. Jak mnie złapali, to ojciec się wszystkiego wyparł. Powiedział, że tira to ja ukradłem i że ja ciągnąłem to całe gówno od granicy. Że to wszystko moja wina i że jeszcze ukradłem ciężarówkę, bo mi była potrzebna. Wsadzili mnie do aresztu, ale wypuścili, bo ojciec zapłacił poręczenie. Wynajął adwokata, ale chyba płacił mu za to, żeby wsadzili mnie z powrotem, taki był nieudolny. Wszystkim mówił, jaki to on jest wspaniatomyślny, że on mnie tak wyciąga z bagna, mimo że ze mnie jest takie zero. Wiedziałem jednak, że uniknę więzienia tylko wtedy, jak ojciec się przyzna, że to jego towar, że on to ustawił. Tylko że nie było na to szans. Przecież od początku chodziło tylko o to, żeby mnie złamać, ukarać. Wyeliminować. Tak... – chłopak gwałtownie wciągnął powietrze. – Żeby się mnie pozbyć.

– Czy jest ktokolwiek, kto może to potwierdzić? Czy ktoś był świadkiem, że to ojciec zlecił transport? – zapytała Marta. Kręciło jej się w głowie. Było jej niedobrze.

– Owszem, Patrycja – odparł chłopak. – Tylko że ona zawsze chciała mieć bogatego faceta i w końcu jej się udało, więc chroniła ojca, jak mogła. Co z tego, że był dwukrotnie starszy od niej. Sowiec ją wynagradzał, żeby trzymała język za zębami. Pewnie jak ją pani przycisnie, to opowie jeszcze o niejednym takim transporcie, zwłaszcza że ojciec już nie żyje i więcej pieniędzy już na nim nie zarobi.

– Idźcie do domu – powiedziała. – Dam wam znać...

Rodzeństwo postusznie opuściło maty pokój i wyszło z biura. Nikt ich nie zatrzymał. Przed Martą nadal leżał zakrwawiony nóż. Na srebrnym ostrzu widoczne były rdzawe smugi, od których komisarz nie mogła oderwać wzroku. Wyobraziła sobie, jak ostre krawędzie wbijały się w szyję Słowika, jak jego zimne oczy z niedowierzaniem patrzyły na swojego oprawcę. Jak gaśły. Na zawsze.

– Poproście mi tu tę młodą sekretarkę Słowika – wydała polecenie do policjantów, chowając pośpiesznie narzędzie zbrodni do plastikowej torebki. – Wczoraj z nią nie skończyłam, nie będzie zaskoczona.

Marta usiadła na fotelu i wpatrywała się w ścianę. Nie myślała o niczym. Myślenie bolało, wyło w jej głowie, jazgotało. Chciała poczuć przez chwilę ciszę. Zanurzyć się w niej jak w rześkiej wodzie. Obmyć się nią. Otulić.

Po chwili usłyszała ciche pukanie. W drzwiach ukazała się pucutowała twarz Patrycji. Tym razem nie wyglądała już tak dziecinnie. Oczy miała spuchnięte i przekrwione, otoczone ciemnymi podkowami. Włosy nietknięte były grzebieniem, a za duży, nieładny płaszcz ukazywał pod spodem sprany dres.

– Dzień dobry... – przywitała się chrapliwie dziewczyna.

– Witam – Marta omiotła wzrokiem zaniedbaną Patrycję. – Mam parę dodatkowych pytań. Przede wszystkim chciałabym, żeby podzieliła się pani ze mną historią o skradzionej ciężarówce pełnej przemycanych papierosów. Co konkretnie się wtedy stało? Wiem, że to pani szef zlecił ten transport.

Patrycja westchnęła i przez chwilę sprawiała wrażenie, jakby się wahala. Poczucie lojalności do zmarłego Słowika walczyło z chęcią do ujawnienia prawdy.

– Tak, to prezes przemycał te papierosy... – powiedziała w końcu. – Miał znajomości, gdzie się tylko dało, służby celne nie były wyjątkiem. Filip nie wiedział, co jest w samochodzie, często coś przewoził dla ojca... Pech chciał, że to na niego trafili ci z ITD. Szef przecież próbował go z tego wyciągnąć, ale chyba rozumie pani komisarz, branie winy na siebie byłoby niedorzeczne. Bez prezesa nie byłoby firmy i tyle osób znowu nie miałoby z czego żyć, a bez Filipa wszystko zostałoby po staremu. Głupi by szef musiał być, naprawdę... Ludzie by pracę potracili... Rozumie to pani? – dodała piskliwie.

– Nie przyszło pani do głowy, że wrobienie kogoś w przestępstwo jest nie w porządku? Że wsadzenie chłopaka za kratki za cudzą winę złamie mu życie?

Twarz Patrycji była bez wyrazu. Widać było, że dziewczyna nigdy nie była skora do tego typu przemyśleń. Marta miała wrażenie, że jedyne, co ją w ogóle obchodzi, to fakt, że nagle sama została bez dochodu.

– Proszę tu zostać – powiedziała w końcu komisarz. – Kolega się zaraz panią zajmie. Ja tymczasem... Do zobaczenia... Wróć do pani niedługo.

Marta pośpiesznie sięgnęła do swojej torebki. Poczula dotyk zimnego, ostrego ostrza. Wiedziała, co ma zrobić. Sprawiedliwość. Słowo klucz. Droga do spokoju i szczęścia. Wybiegła z biura, kierując się w stronę tamy. Nie widziała po drodze żadnych

ludzi, choć na pewno gdzieś tam przemykali turyści. Gnata jak szalona. Jakby się bała, że zmieni zdanie. Sapiąc, stanęła na tamie, wpatrując się w burą wodę. W ogrom wody. W bezmiar. Szybkim ruchem sięgnęła do torebki i dotykając ostrego, jak brzytwa noża, z rozmachem wrzuciła go do wody. W jej ogrom. Bezmiar. Zamknęłam oczy. Po policzkach popłynęły mi łzy.

O AUTORCE

Agata Tułeczka-Hryciuk (ur. 1980) – urodzona w Lublinie, mieszka w Krakowie. Ukończyła studia na Wydziale Stomatologii na Uniwersytecie Jagiellońskim w 2004 roku i od tamtej pory pracowała jako lekarz stomatolog w Krakowie, a następnie w Warszawie. Lata 2008–2013 spędziła w Kanadzie, później mieszkała w Niemczech. Prywatnie interesuje się literaturą i motoryzacją, uwielbia zwierzęta. Jest mamą siedmioletniego Marka i pięcioletniej Kasi.

Kurs Kreatywnego Pisania Kryminałów Miasta Literatury UNESCO

W styczniu zakończyła się druga edycja Kursu Kreatywnego Pisania Miasta Literatury UNESCO, tym razem poświęcona wyłącznie jednemu gatunkowi – kryminałom. Podczas 10 weekendów od września aż do początku 2017 roku 12 młodych pisarzy uczyło się warsztatu pod okiem 16 prowadzących – znanych autorów, specjalistów z branży wydawniczej, marketingowej i kryminalnej. Równolegle na łamach portalu Lubimy Czytać publikowaliśmy kolejne części „Przestuchań”, czyli rozmów Marcina Wilka z przedstawicielami zawodów zajmujących się sprawami kryminalnymi, m.in. profilerką i psycholożką śledczą, podinspektorem policji oraz prawnikami. Materiałom online towarzyszyły również serie filmów, w których polscy i zagraniczni pisarze – Szczepan Twardoch, Katarzyna Bonda czy Michael Cunningham – dzielą się sekretami swojego warsztatu. Wszystkie materiały towarzyszące kursowi można znaleźć pod adresem pisz.miaistoliteratury.pl.

Podobnie jak w ubiegłym roku, kursowi towarzyszyło bardzo duże zainteresowanie. Na podstawie dziesiątek zgłoszeń z próbkami opowiadań, wybraliśmy 12 najbardziej zdolnych uczestników. W ramach programu obejmującego 100 godzin wykładów i warsztatów, młodzi pisarze rozwinęli swój warsztat pod okiem

twórców-praktyków i zdobyli wiedzę potrzebną do zaistnienia na nietłętym rynku wydawniczym.

Zajęcia prowadzili czołowi polscy autorzy kryminałów, m.in. Katarzyna Bonda, najpopularniejsza autorka powieści kryminalnych w Polsce, Katarzyna Puzyńska, twórczyni sagi o Lipowie, oraz Mariusz Czuba, pisarz oraz profesor antropologii kultury na Uniwersytecie SWPS. Swoją wiedzę podzielili się także eksperci z branży wydawniczej: agentka literacka Magdalena Hajduk-Dębowska, Filip Modrzejewski związany z GW Foksal czy Paweł Ciemniowski związany z Wydawnictwem Literackim. Wykłady poprowadzili również Arek Matras, psycholog twórczości; Marcin Wilk, publicysta i redaktor; Maciej Marcisz, PR Manager oraz Maciej Szaszkiewicz, psycholog i biegły sądowy.

Kurs, którego autorkami są Karolina Macios i Magdalena Zielińska – redaktorki z wieloletnim doświadczeniem wydawniczym – jest elementem programu wsparcia debiutów literackich w Krakowie Mieście Literatury UNESCO. Należy do niego także przyznawana corocznie Nagroda Conrada, mająca wyróżnić najlepszych debiutantów i ułatwić im drogę dalszej kariery.

Organizatorem kursu, realizowanego w ramach programu Kraków Miasto Literatury UNESCO, jest Krakowskie Biuro Festiwalowe.

Copyright © for texts by Authors, 2017

Copyright © for this edition by Krakowskie Biuro Festiwalowe, 2017

Redakcja:

Oliwia Fryc

Współpraca redakcyjna:

Igor Kuranda, Barbara Skowrońska

Korekta:

Dorota Bednarska

Projekt graficzny:

Michał Próchniewicz

Skład i łamanie:

Aleksandra Pieńkosz

Wydawca i organizator

Kursu Kreatywnego Pisania Miasta Literatury UNESCO

Krakowskie Biuro Festiwalowe, ul. Wygrana 2, 30-311 Kraków

Dyrektor: Izabela Helbin

Koordynator Kursu Kreatywnego Pisania Kryminałów: Jakub Kulasa

Koncepcja merytoryczna kursu: Karolina Macios, Magdalena Zielińska

Strona kursu:

pisz.miastoliteratury.pl / pisz@miastoliteratury.pl

www.miastoliteratury.pl

